

# Palestyna po raz trzeci



KSAWERY PRUSZYŃSKI

## *Palestyna po raz trzeci*

*Opracowanie tej książki zostało sfinansowane na pamiątkę Wandy Romualdy Malinowskiej z domu Skłodowskiej, 16.04.1940–23.03.2019.*

*Wydanie dla Przyjaciół*

Pojechałem do Palestyny dlatego, że uderzyła mnie różnica tonu, w jakim o Nowej Palestynie mówi się w moim, polskim, społeczeństwie, a w jakim mówi się o niej coraz bardziej w społeczeństwie żydowskim. Pojechałem, jak dziennikarz jedzie do miejsca, w którym miało nastąpić jakieś religijne widzenie, zjawisko podobne do Teresy z Konnersreuth<sup>1</sup> na przykład, gdzie jeszcze nie ustalono, czy chodzi tu o humbug<sup>2</sup>, czy chodzi tu o cud.

Jeżeli reportaż ten dla społeczeństwa polskiego ma mieć jakąś wartość, to chyba tę, że zastanawia się nad konsekwencjami tego, raczej niedocenianego u nas, faktu, że ideały getta i ideały asymilacji schodzą u współczesnego żydostwa na plan coraz dalszy, robiąc miejsce idealowi odbudowy Syjonu. Jeżeli może mieć jakieś znaczenie dla społeczeństwa żydowskiego, nieobcego dziełu palestyńskiemu, to zapewne jako zdanie człowieka zupełnie obcego, bezstronnego świadka, o tym, co w Palestynie tworzą Żydzi, co „człowiek z boku” tam zobaczy.

Istnienie trzech milionów Żydów w Polsce jest, zdaje się, faktem dostatecznie usprawiedliwiającym powstanie tego reportażu. Czy chcemy, czy nie chcemy, ani nam nie może być obce, do czego oni dążą, ani im, jak się do tych dążeń ustosunkowujemy. Lepiej niż gdziekolwiek indziej winien być nad Wisłą znany wielki wysiłek tego kraju, który oto za naszych dni wchodzić w historię świata, czyni to nie po raz pierwszy.

### Z CHALUCAMI<sup>3</sup> NA JEDNEJ PRYCZY

„Dacia” jest niewielkim, starej konstrukcji parowcem, utrzymującym komunikację na szlaku Konstanca — Hajfa. Jest to na ogół mniej uczęszczana droga do Palestyny: doskonałe parowce włoskie linii Triest — Jafa odciągnęły na ten szlak większość podróźnych. Rumuńska „Dacia” zachowała dla siebie dwie kategorie ludzi: turystów, których pociąga malownicza droga przez Konstantynopol, Ateny, morza greckie, i najbiedniejszych z biednych emigrantów żydowskich. To się widzi już pierwszego wieczoru: na „Dacii” są cztery różne klasy, klasy pomieszczenia, wyżywienia i — płacy. Cztery. Ale naprawdę są tylko dwie: klasa turystów i klasa chaluców.

W najniższej części statku, cztery metry niżej poziomu zanurzenia okrętu, długa drewniana nora nazywa się czwartą klasą. Wzdłuż ścian niskie drewniane prycze. Dwa piętra prycz. W lepszych pryczach pierwszego piętra można nawet siedzieć, nie uderzając głową o deski. Na pryczach jest oficjalnie miejsc na pięćdziesiąt kilka osób. Ale do

<sup>1</sup> Teresa z Konnersreuth, właśc. *Therese Neumann* (1898–1962) — niem. mistyczka i stygmatyczka katolicka, członkini Franciszkańskiego Zakonu Świeckich; dzięki modlitwie miała wyleczyć się z kilku poważnych schorzeń, miała też popadać w stany ekstazy, podczas których przepowiadała przyszłość, mówiła obcymi językami (np. po aramejsku, którego jako córka szewca nie mogła znać) itp. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *humbug* — sprawa, która zyskała sobie rozgłos, stała się sensacją, a ostatecznie okazuje się oszustwem. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *chaluc* (hebr. חלוצ) — pionier, osadnik; por. *He-Chaluc*: młodzieżowa żydowska organizacja syjonistyczna założona w 1914 w Rosji. [przypis edytorski]

czwartej klasy przyjmuje się bez ograniczeń miejsca: można stu, można dwustu. Takie jest prawo kapitana. Obecnie jedzie osób osiemdziesiąt siedem. Cyfra ta będzie się zmieniać w każdym porcie, raz się zwiększy, raz zmniejszy. Ale zawsze pozostanie wielu, wielu takich, którzy przez ten tydzień nie zdobędą innego miejsca jak na własnych walizkach, rozkładanych w środku czwartej klasy. Kilku ucieknie o pół piętra wyżej: w nocy tam mniejszy zaduch, ale za to bije skwar od maszyn. Może to jednak lepiej.

Wielki salon okrętu, jeszcze nim „Dacia” podniosła kotwicę, był rzeświście oświetlony. Teraz przeszedł tam z jadalnej sali na dole cały *high life* górnych klas. Toalety. Brydż. Muzyka. Przez okrągłe okno od pokładu widać, jak powoli, powoli topnieją śmietankowe lody w srebrnych czarkach i konwenansowe „lody”. Te ostatnie dużo wolniej. Towarzystwo jest widać bardzo niezgrane i całe we wszystkim swej własnej dystynkcji, jak król Karol II<sup>4</sup> (ten z wielkiego portretu, w stroju admiralskim, na głównej ścianie salonu) w orderach. Panowie chodzą, stoją. Obnoszą się. Wielkie fotele klubowe i małe pluszowe krzeselka stoją niepotrzebnie. O trzy piętra niżej nie ma jednej niezajętej walizki. Wszyscy tam odśpiewali przed chwilą, wyjeżdżając z portu, hymn chaluców, czym nastraszył się nawet młody pomocnik kapitana: mogą to być rzeczy komunistyczne i przyczepi się policja. Teraz wszyscy śmieją się, rozmawiają, krzyczą jeden przez drugiego. Wszyscy są młodzi.

Jestem jedyny nie-Żyd na tych osiemdziesięciu siedmiu. Poza paroma zaledwie wyjątkami są to wszystko młodzi Żydzi rumuńscy. Jadą do Palestyny. Stąd taka radość. Jadą na stałe. To znaczy oficjalnie na stałe, z urzędowymi „certyfikatami” emigracyjnymi, jedzie niespełna dwie trzecie, jako autentyczni, wychowani w kadrach organizacji młodzieżowych żydowskich, wykształceni na osadników i pracowników, chaluce. Chaluc, hebrajskie słowo, oznacza pioniera. To są właśnie młodzi pionierzy dzieła, tak długo i tak ciężko prowadzonego dzieła, o którym jeszcze się u nas nieraz mówi jak o utopii i chimery, a które przecież wydało już rezultaty o skali większej niż ta, jaką zamysłali jego pierwsi twórcy. Mało który jest starszy nad dwadzieścia jeden lat. Wszystko tu niemal 18–20. Dziewczyny to samo. Jest nieco mniej dziewczyn niż chłopców. Są cichsze, może się mniej cieszą.

Jedyną formą organizacyjną, jakiej nie złamały, przeciwnie, raczej wytworzyły tu właśnie warunki czwartej klasy, jest podział na prycze. Wspólność legowiska *obligé*<sup>5</sup>. Prycze — to jakby dzielnice, okręgi dzielnicowe. Tych trzy, cztery osoby to jedna hewra<sup>6</sup>, od razu żyta, jeśli jeszcze mówiąca przypadkiem po rosyjsku (a wielu tu jest z Besarabii), od razu, z samego faktu ulokowania swych rzeczy tu, a nie na przykład pod tamtą ścianą, mówiąca do siebie *per ty*. Bynajmniej nie są to starzy znajomi. Hewra, gdyś wyszedł na pokład, pilnuje, czy kto czasem nie „pożyczy” nieschowanego do walizki lusterka. Hewra nie pozwoli, by koleżanka z sąsiedniej pryczy odsunęła twoje walizki. Na odwrót, hewra będzie patrzeć krzywo, jeśli swymi pomarańczami z Konstancy lub choćby herbatą z termosu częstować będziesz mieszkańców innej pryczy przed własnym sąsiadem: różne, rozmaicie, w różnych razach rozmaite, niestałe i nie w tych samych występujące przejawach, są obyczajne pryczowe wspólnoty.

Potem przychodzi noc, burzliwa, ciężka noc na Czarnym Morzu. A potem idzie długich siedem dni i nocy, cały tydzień spędzony na tym samym pokładzie i na tych samych razem pryczach. Tylko w koszarach, więzieniu i emigracyjnych barakach oddycha się tak w nocy powietrzem, które już przeszło przez sto innych płuc, i żyje, mając swe własne życie wplątane wszystkim, co się robi, w to, co robią ci inni. Im silniej się to wplątało, im ciałniej jest w czwartej klasie „Dacii”, tym bliżej, bardziej zażyłe, bardziej po bratersku można się żyć z młodym, spotkanym przypadkowo Żydem wyrobnikiem z Kiszyniowa czy Botoszan. Czarne hebrajskie literki na ich „certyfikatach” — otwierających prawo do osiedlenia w Palestynie — pozostaną na długo, może na zawsze, hieroglificznym seza-

<sup>4</sup>Karol II (1893–1953) — z domu Hohenzolern-Sigmaringen, najstarszy syn króla Ferdynanda I i Marii Koberg król Rumunii w latach 1930–1940; początkowo, w 1925 r. pozbawiony prawa do tronu na rzecz swego syna, Michała (król Rumunii jako Michał I w l. 1927–1930 i 1940–1947), w 1930 wskutek działań jednej z frakcji politycznych skłoniony do powrotu do kraju i koronowany, a w 1940 r. usunięty z tronu, zmarł na uchodźstwie; odznaczony orderami Orła Białego i Virtuti Militari przez Józef Piłsudski w 1922 r. podczas wizyty naczelnika państwa polskiego w Rumunii. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*obligé* (fr.) — zobowiązuje; obliuguje. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*hewra* (z hebr., gw. miejska) — towarzystwo, paczka; banda, zgraja; pierwotnie: pobożne bractwo. [przypis edytorski]

mem dla Aryjczyka. Ale otworzy się przed nim nieznaną dotąd, oddzielony siedmioma górami i rzekami świat wewnętrzny „ja” tych ludzi. Siedem dni razem na samym dnie emigracyjnego okrętu robi wiele. Wielką zaiste siłę spajania ludzi posiada wspólne życie u dołu.

\*

Mojżesz Schamroth jest jednym z tych, z którymi żyłem się najszybciej. Ma lat dwadzieścia, wygląda na mniej, gdyż jest fizycznie wątły. Mieszka od dziesięciu lat w Bukareszcie, pracował w ekspedycji żydowskiego dziennika. Jest inteligentny, lekturą przerósł o dużo swe wykształcenie regularne, które zakończyło się bodaj na trzeciej klasie gimnazjalnej. Zresztą w całej czwartej klasie „Dacii” jest zaledwie czterech chaluców, którzy byli na uniwersytecie, żaden zaś go nie ukończył. Mojżesz Schamroth lubi informować. Robi to bardzo starannie i pedantycznie.

— Co was, młodych, skłania, żeby wynieść się do Palestyny?

— Widzisz — mówi Mojżesz — są cztery motywy, raz silniej, raz słabiej występujące. Przede wszystkim tradycje narodowe: to nasza ojczyzna. Jest to moment, który występuje u każdego, ale prawie nigdy nie jest głównym motywem; wyjątek stanowiliby syjonistyczni rewizjoniści, reakcyonerzy. Ale tutaj nie ma ich...

— A dalej?

— Po drugie — klasyfikuje chaluc — to skutki kryzysu. Zdobycie jakiegokolwiek sposobu utrzymania dla młodego Żyda bez pieniędzy staje się coraz mniej możliwe, trudne, beznadziejne. Ci ludzie w obcym społeczeństwie nie mogą już żyć, choćby dlatego tylko, że nie zarobią i pięciu lei dziennie. Palestyna daje możliwość pracy, która w najgorszym razie zapewnia utrzymanie. Jest to moment nieideowy. Jeżeli jest jedynym momentem, który skłania kogoś do pojechania do kraju — no to tego już się utraci. Wreszcie — obecnie bardzo silnie, może najsilniej — działa jeszcze jeden moment; nie wiem, czy ci mówili, ale my wszyscy wstępujemy do rolniczych kolektywów, komun. Palestyńskie komuny i Rosja to jedyne punkty, gdzie świat naprawdę szuka jakichś nowych form życia, gdzie już się wyzwolił spod przewagi klas nieprodukujących. Jest to naszą ambicją wziąć udział w tym wyzwoleniu, w tym olbrzymim dziele. Nasza Palestyna pokaże drogę światu.

Schamroth wynurza się już sam lub odpowiada na wtrącone przeze mnie zapytania krótko, zdecydowanie. Mówię mu, że syjonizm nie jest ruchem czerwonym.

— Tak — przytwarza — ale my jesteśmy czerwoni... — Narodowi komuniści zatem? — Śmieje się. — Tak, można i tak powiedzieć. Ja — mówi — byłem komunistą. Gdy mnie przekonano, że komunizm da się pogodzić z ideą narodową, stałem się syjonistą.

Ale Mojżesz Schamroth stał się nim jeszcze z innej racji: oto nie wierzy w bliskość komunizmu. — Komunizm przyszedł na świat za wcześnie: był to przedwczesny, wojną spowodowany poród. Dlatego był taki krwawy; dlatego chroma. — (Mojżesz Schamroth jest zbyt trzeźwy na to, by się dać zmylić prospektami piatiletki<sup>7</sup> i zbyt pedantycznie uczciwy, żeby kłamać; niepowodzeń komunizmu nie ukrywa, woli je raczej wytłumaczyć). Ludzkość — zdaniem jego — odwracają od ustroju komunistycznego dwie rzeczy: właśnie ogrom ofiar ludzkich, jakie kosztowało jego wprowadzenie, i przymusowy od A do Z charakter. I oto w Palestynie już wyrosły podwaliny ustroju komunistycznego bez przelewu krwi i bez przymusu, a więc te, których ludzkość nie odrzuci, które wybawią ją z kryzysu. Wielka misja dziejowa Izraela.

Poza ZSRR i koloniami palestyńskimi jest przecie jeszcze jeden kolektyw na świecie: mieści się on właśnie wśród tych młodych chaluców z okrętu. Poglądy Mojżesza Schamrotha, którego wpływ nie ogranicza się do towarzyszy z jednej pryczy, są w mniej

<sup>7</sup> *piatiletka* (z ros. *пятилетка*: pięciolatka) — pięcioletni plan rozwoju gospodarki narodowej realizowany w ZSRR; kolejne takie plany przyjmowano od 1928 r.: pierwszy, na lata 1928–1932, zakładał zlikwidowanie prywatnej własności środków produkcji, rozwój rolnictwa i przemysłu ciężkiego; drugi, na lata 1933–1937, przewidywał likwidację resztek kapitalizmu i podziałów klasowych, zaprowadzenie socjalistycznego sposobu produkcji jako jedyne w państwie oraz dalszą szybką przebudowę przemysłu itd.; ostatnia, trzynasta pięciolatka (1991–1996) została przerwana z powodu rozpadu Związku Radzieckiego. [przypis edytorski]

Idealista, Praca, Własność,  
Władza, Rewolucja, Realista

jaskrawy sposób poglądami ogółu. Ale Mojżesz Schamroth, sierota i samouk, nie doliczył się jeszcze jednego momentu, który, choć raczej uczuciowy, jest dla wychodźstwa chaluców bodźcem bardzo silnym: pociąg do swobody.

\*

Odkryła mi go, że istnieje tak silnie właśnie wśród tych wpólskomunizowanych młodzieńców, Klara Zalatkowska. W przeciwieństwie do cherlawego, wątłego wyrostka, jakim jest Schamroth, jest to silna, rosła dziewczyna. Jest prawie piękna i nie wygląda na Żydówkę. Jest córką „czystej, proletariackiej rodziny” — jak mi to aż dwukrotnie obwieszczał Mojżesz Schamroth, który sam, niestety (jak mówi), nie ma za sobą tak czystego proletariackiego pochodzenia. Jej wykształcenie, poza bardzo słabymi podstawami, polega bodaj tylko na obsłuchaniu się w dyskusjach, które prowadzili inni. Wśród dziewczyn z „Dacii” jest to niemniej najinteligentniejsza.

— Wszyscy prawie mieli w kraju (kraj znaczy tu Rumunię) bardzo smutne życie. Już nie ciężkie warunki, ale smutne życie. Jest nie do uwierzenia, jak silne są codzienne kłótnie młodych i starych w tej samej rodzinie. Nasi starzy zmienili się bardzo mało: pozostali tacy, jak temu dwadzieścia, trzydzieści lat. Jak ja patrzę na rumuńskie dziewczyny, to mam wrażenie, że one są mniej nowoczesne niż nasze. A przecież ich rodzice dotrzymali kroku czasowi lepiej. Dobre stosunki ze starymi układają się dopiero wtedy, gdy my, młodzi, wychodzimy z domu. Im dalej odchodzimy, tym lepiej.

Ten rozdział pokoleń to może być istotnie problem bardzo głęboki w ubogim społeczeństwie żydowskim.

— I — mówi dalej Klara — młodzi dziś czują się zupełnie inni i od rodziców, i od wszystkich innych rzeczy...

— Całego świata? — próbuję wykrzesać jej, nieznajującą stosownych słów, myśl.

— Tak — chwytą to słowo Klara — całego świata. Widzicie, jakoś tak się zrobiło, że tak jest. Gazety rumuńskie piszą, że młodzi Żydzi są wszyscy komuniści. No, ja widziałam różnych i mnie się zdaje to inaczej: nie, oni nie są komuniści, nawet jak się tym zajmują. Oni tylko idą przeciw temu, co jest, i próbują, a nuż w komunizmie znajdą to, co im odpowiada? W syjonizmie też szukają. I raz przechodzą tu, a raz tam.

Rozmowa ta toczyła się wieczorem czwartego dnia podróży. Z górnego pokładu przy szalupach patrzyliśmy na zapalającą się i gasnącą co pół minuty latarnię morską Pireusu.

— A dlaczego przechodzą potem do syjonizmu?

— Widzicie, w tym wszystkim to właśnie jest może najłatwiejsza jeszcze rzecz do wyjaśnienia: oni nie chcą czekać... Oni chcą dla siebie stworzyć takie życie, jakie chcą — dla siebie. Więc biorą najbliższą okazję. Kolektywy rolne w Palestynie — no, to tak, jakbyśmy już przeskoczyli całą rewolucję w nowym ustroju. To prędzej. To nawet — zaraz.

Dwa dni potem Klara wróciła sama do owej rozmowy i dodała jeszcze uwagi, które przysły jej potem do głowy. Są one takie:

— Nie tylko możliwość natychmiastowego, dla siebie, realizowania swych pragnień życiowo-społecznych skłania ku Palestynie. W grę wchodzi tu inny jeszcze czynnik: młodzi, najbardziej przekonani do komunizmu, mimo wszystko nie wiedzą, czy przecież raz znalazłszy się w nim, nie doznają zupełnego rozczarowania. A trudno już będzie „znowu świat przewracać”. To jedno. Potem — tamto „w Rosji” wszystko już jakoś okrzepło, jest, jakie jest.

— Coś jak ikony — żartuję. Ale Klara nie chwytą porównania. Przywodzę jej na myśl sztywne, znieruchomiałe w swym geście, postaci bizantyńsko-cerkiewnych malowideł.

— Tak jak ikony — podchwytuje. — *Trogat' wospreszczajetsia*<sup>8</sup>. A w Palestynie wszystko właściwie się zaczyna i wedle swoich wzorów. Próbują tak, próbują inaczej. Tam próbować będziemy sami. Nie podoba się wszystkim, zmieni się. Nie podoba się mnie — pójdę sobie.

— A wy sami — jakże zrobicie?

<sup>8</sup>*trogat' wospreszczajetsia* (ros. *трогать воспрещается*) — zabrania się dotykać. [przypis edytorski]

Klara, jak wiele dziewczyn, nie wie. No, z początku oczywiście do kolektywu. Inaczej nie ma opieki, ani miejsca może nawet. Później — *kak łuczsze*. Jak lepiej.

\*

Ta śmiejąca się, a poważna dziewczyna jest jedną z nielicznych dziewcząt, które jada do Palestyny same. Większość ma stałych, czasem od lat kilku, przyjaciół, narzeczonych, mężów. W pewien sposób wszyscy oni uciekli z domu. To tylko na pierwszy rzut oka dno nędzy. Obok mnie spał na pryczy syn zamożnego kupca zbożowego spod Buzoa; tylko że o tym dowiedziałem się od jego współpowietników<sup>9</sup>. Sam raz jeden napomknął coś na ten temat. Z niechęcią wskazywał mi nań Mojżesz Schamroth. Mojżesz Schamroth nie lubi nie tylko jego, nie lubi także kilku młodych dziewczyn, delikatnych, ubranych z pewną — och, jakże skromną — pretensją do szyku. — Te nie będą pracować — powiedział raz. — Nie są słabsze od ciebie — odrzekłem. Nie zrozumiałem wtedy, ile w tym zupełnie odruchowym powiedzeniu było okrucieństwa. Mój towarzysz odszedł i tego dnia stronił ode mnie. Wrócił oczywiście do naszych długich rozmów, zapewniłem go, że praca ogromnie wyrabia, że w południowym klimacie szybko się męźniej, że wcale nie jest słaby. Ale pozostał cień tamtej rozmowy. Uderzyłem tego cherlaka w najślabszą jego stronę.

Właśnie w tym czasie mniej więcej zdarzył się taki wypadek. Któregoś rana, bardzo wcześnie, zastałem na pokładzie przy sterze paru starych Żydów i trzech młodych, z trzeciej klasy. Nałożyli rytualne szaty i czytali *Pismo*. Przyglądałem się temu widokowi i miałem wielką ochotę sfotografować tę grupę chasydzkich pielgrzymów do Jerozolimy na Morzu Jońskim, bałem się tylko, że się obrażą. W tej chwili od przodu okrętu nadszedł mój przyjaciel. Zobaczył to — i uśmiechnął się do mnie. Była taka długa chwila. Na statku i morzu trwała cisza. Żydzi dalej kiwali się w swych pacierzach, ja patrzyłem dalej na uśmiechającego się ironicznie dalej młodego Żyda. Tego dnia zacząłem mówić z chałucami o religii. Nie istniała dla nich. W różny zresztą sposób. Mojżesz Schamroth okazał się raz jeszcze materialistą dziejowym, pełnym, konsekwentnym komunistą, załamany jedynie na odcinku narodowym. Religii nie lubił, z obrządku szydził. Dla innych rzecz się miała inaczej. Jest Bóg czy go nie ma, to są kwestie dalekie bardzo i wątpliwe. Co jest zaś niewątpliwe, lub mniej wątpliwe, to to, że nasze praktyki religijne (i praktyki religijne innych wyznań zapewne — dodawali nie mniej pewnie) nie mają sensu. Mogły być dobre kiedyś, gdy forma religijna była konieczna do obwarowania pewnych higienicznych, społecznych, narodowych wymogów. Dziś jej nie trzeba. A zresztą! To, co jest, to, co dziś, naprawdę, namacalne jest — to Palestyna.

Religia

## ODPRYSKI DROGI

„Powita was słońce, ziemia i wino greckie” — tak pisze jakiś turystyczny prospekt. Przyszedł mi on na myśl właśnie w chwili, gdy zbierałem całą moją wiedzę starogrecką (gimnazjum klasyczne starego typu), by na niesłychanie długiej liście potraw wybrać „prawdziwie greckie”. Właśnie byłem się uratował szczęśliwie przed zamówieniem *felenes oites*, która — jak się okazało — była po prostu wiedeńskim sznyclem. Istotnie, szczególny pech: przybyć do Hellady, by odnaleźć Galicję. Kołatało mi po głowie, że w jednym z końcowych ustępów *Apologii Sokratesa* (czy też może *Krytona*, ani rusz nie mogłem sobie przypomnieć) mądry Plato wyliczył cały szereg potraw attyckich. Plato nie był plebejem i był filozofem, znał się więc zapewne na kuchni. Niestety, nic nie zapamiętałem z *Apologii* prócz wyводу o „dajmonach”, siedzących w człowieku i radzących mu — jak twierdził przed sądem Sokrates — czego nie ma robić, lecz nie radzących mu (niestety), co ma. Sznyceł wiedeński zniechęcił mnie ostatecznie do rad kelnera, postanowiłem wybierać na chybił trafił. W rezultacie zamiast zupy dostałem przedziwną salatę z grzybów i oliwek, której smak przyszło gwałtownie ratować „attycką czystą”. Wszystko to dotąd było raczej niesolidne. Szukałem więc i szukałem długo, wreszcie odczytałem: ba-bu-nia.

Stało to napisane uroczyście pięknymi greckimi literami, ale brzmiało raczej po polsku. Uch, pomyślałem, też sens tak nazywać potrawę. Już z samego punktu widzenia

<sup>9</sup>współpowietnik (daw.) — mieszkaniec tego samego powiatu. [przypis edytorski]

reklamy to nie pociąga. Mniejsza o kanibalizm, oczywiście; ale taka perspektywa spożycia kogoś, co dla kogoś innego jest babunią — nie! Jeszcze żeby wino, rozumiem, dyskretna aluzja do sędziwego wieku. Ale mięso! Na chwilę zatrwożyłem się. A nuż to taki... befsztyk z „babuni”? Ale kelner uspokoił mnie, pokazując gestami, że „babunia” owa pływa. No, jak ryba, to jeszcze.

Najpierw stało się tak, jak — czytałem — dzieje się w restauracjach paryskich: w blazowanej nikielowej rynience przyniesiono mi nie jedną, ale całą kompanię babuń, pluskających się tak żywo jak rodzone wnuczki. Ich łuska miała przyjemny srebrnoczerwony odcień. Z miną znawcy wybrałem pierwszą lepszą i ta zaraz poszła się skwarzyć. Trwało to bardzo niedługo. Potem na srebrnym półmiesieczku podano też samą „babunię”, nadzianą jakimś tajemniczym farszem i polaną czerwono-żółtym sosem. Wiedziałem o nim tyle tylko, że wchodziło w niego i słodkie wino z Eubei czy Salaminę. Zaczem wspomniałem bitwę morską z Persami pod Salaminą i spożyłem „babunię”. Z wielkim smakiem i brakiem skrupułów.

\*

Popołudnie nauczyło mnie tej wielkiej, w bedekery na razie niewpisanej jeszcze prawdy, że człowiek błądzi nie tylko w ateńskim jadłospisie, ale w ateńskich ulicach. Właśnie miało to miejsce, gdy spod parlamentu (równie pompatyczny, jak banalny) szukał „najkrótszej drogi” na widny jak na dłoni Akropol. Jak zacząłem tej „najkrótszej” szukać, to oczywiście owa „dłoń” wydłużyła się do „łokcia” i właśnie dochodziła do węzłowego muskułu ramienia, gdy ostatecznie przez *hodos* Lykurgi (która to *hodos* — droga — była jedynie godnym Suburry zaułkiem) dostałem się na szerszy nieco plac. Krzyki, pochód, policja. Pochód może trzydziestu ludzi, ale pochód. Policja rozgania — to znaczy macha pałką w powietrzu, po czym pochód rozlatuje się na lewo i prawo. Policja gna zziajana tu i tam — bo oczywiście „masy” będą demonstrować na nowym placu. I znowu trzeba będzie pomachać w powietrzu pałką. Wszystko się tu pogodnie odbywa w Atenach.

Dobrotliwa policja nie zdiera komunistycznych plakatów, więc na najbliższym kiosku mogę odczytać wielką proklamację do *ergotetes kaj agrotetes* (robotników i chłopów), by wzięli udział w „panateńskim jubileuszu Marksa”. Pięknie to brzmi owo słowo „panateński”, nie ma co mówić, prawdziwie po helleńsku. Ale tymczasem wybiega przed nami asfaltowana droga i młody, u zbrocza uczepony gaj — i Akropol.

Posmak mitologii miało już dla mnie samo wejście; zastałem tu bowiem stojących u bramy i nieprzekraczających jej paru towarzyszy podróży. Do wnętrza nie mogli wejść z tych samych racji, co owe dusze, którym nie włożono w usta obola na opłacenie Charona. Charonowie dzisiejszego Akropolu cenią go więcej niż błonia z tamtej strony Styksu; płacić tu trzeba pełnych 50 drachm. Nie czytało się Homera w oryginale i nie ma się w walizce podróży filipik Demostenesa na próżno: wszedłem. I wtedy, w tym, co zostało, uderzyła mnie różnica, jaka istnieje między dwoma umarłymi miastami: Konstantynopol — Ateny. Tak podobne, tak zupełnie różne.

Konstantynopol jest miastem w żałobie. Od ulicznego czyściciela butów, rozkładającego swe mosiężne, różnokształtne ampulki u odrzwi najbardziej uczęszczanej przez turystów moszei<sup>10</sup>, aż do starego, z dostojnością prawdziwie pańską kroczącego muftiego, wszystko to nosi żałobę po dawnych stołecznych czasach. W żałobie jest Aja Sofia, w żałobie moszeja Achmeda, w żałobie moszeja Bajazyta.

Otóż Ateny nie są w żałobie.

Ateny także mają swego umarłego. Po latach wyekshumowały go z pietyzmem i z pietyzmem szukają w grobie za najmniejszą, najdrobniejszą dochowaną jego cząstką. Ale Wielki Zmarły Aten — zmarł dawno. Czas noszenia żałoby upłynął. I nie ma cienia żałoby, nie ma cienia żalu po jego ekshumacji.

Akropol, prócz trzech ruin świątyń, jest dziś polem zasianym kamieniami. Leżą obok siebie, jak szczątki czegoś, czego w jedną dawną całość nie zdoła zespolic żadna dziś moc.

<sup>10</sup>moszeja (daw.) — meczet. [przypis edytorski]

Patrząc<sup>11</sup> sprzed ciężkich kolumn świątyni Tezeusza, wygląda to na cmentarz. I jest cmentarzem.

W zachodzącym słońcu doryckie kolumny Akropolu świecą nie tylko białą swych marmurów; świecą także żółtymi plamami zwietrzeń na szarudze i powietrzu. Mają wtedy koloryt wysuszonej do cna, wieki całe w ziemi przetrwałej czaszki ludzkiej. — Szare, ziemiste mury starego Konstantynopola mają chwilami ponurą barwę trupa, którego jeszcze nie zdjęto z katafalku.

## KRAJ, KTÓRY NIE ZNA KRYZYSU

*Budżety wszystkich państw mają dziś za ideał zamykanie roku bez niedoboru: budżet Palestyny od lat kilku daje stale nadwyżkę dochodów.*

Pozycja zbrojeń jest wszędzie ogromna: Palestyna opłaca jedynie tych parę stojących tu pułków.

*Wszystkie państwa zamknęły się granicami celnymi: Palestyna, za nielicznymi wyjątkami, zna tylko cła fiskalne.*

*Wszędzie kapitał uwiązł lub go brak: w Palestynie jest go wiele i jest płynny.*

*Wszędzie indziej istnieją szeroko rozbudowane systemy podatkowe: Palestyna zna tylko najprostszy podatek majątkowy i politykę ochrony, a nie dewastacji podatnika.*

*Toteż, gdy wszędzie jest bezrobocie, w Palestynie brak rąk do pracy.*

Taka była krótko odpowiedź na pytanie, skąd pochodzi obecny dobrobyt Palestyny. Dawał mi ją Bernard Hausner, konsul Rzeczypospolitej w Tel Awiwie. Staliśmy na balkonie gmachu, w którym mieści się konsulat: Tel Awiw leżał przed nami białą plamą domów i ulic, objętą roztoczą zatoki jafskiej i zielenią pomarańczowych gajów. Ale to, na cośmy patrzyli w tej chwili, to nie było morze ani kraj, lecz miasto. Patrzyliśmy, jak rośnie.

Na prawo i lewo od nas, tuż przed nami, nieco dalej i zupełnie daleko — budowano. Montefiori street — to nie są jakieś przedmieścia. Wszędzie, tu i wszędzie, gdzieśmy mogli sięgnąć okiem, nie uderzało nic innego jak to, że budują. Płowy piasek i białe kupy cementu, betonowe pale przyszłych domów, szalowanie i fundamenty wszędzie. Robiło to takie właśnie wrażenie, jakby to lachy nadmorskie pęczniały w górę i wyrzucały z siebie coś, co w innych miejscach zakrzepło już świeżymi ścianami domów.

Pierwsza rzecz, która uderzyła mnie w Palestynie, to był ogromny dobrobyt kraju. Po szarej, zbiedzonej Turcji, po kryjącej swą nędzę Grecji, od tego kraju aż bije pomyślność. *Tu nie ma kryzysu.* W Hajfie, wielkim porcie przyszłości, murarz zarabia 10–15 złotych dziennie. Murarze są tu przeważnie niekwalifikowani: wśród chaluców nie ma prawie ludzi, którzy choćby przez czas krótki nie pracowali jako murarze. Murarzami — to prawie że symbolicznie wygląda — były krócej lub dłużej, a może będą, dwie trzecie emigrantów ostatnich ośmiu lat. Koszt utrzymania waha się koło 5–6 złotych dziennie. Nie udało mi się nawet w przybliżeniu ustalić liczby zatrudnionych przy budowie w Tel Awiwie, Jerozolimie i Hajfie, trzech miastach, gdzie się najwięcej buduje, szacuje się ją jednak na 12–18 tysięcy. W przeważnej swej większości ludzie ci przejdą potem na rolę, a dziś, korzystając z koniunktury budowlanej, oszczędzają z myślą o tym. Przy istniejącym stosunku kosztów życia do zarobku ich możliwości kapitalizacyjne są raczej znaczne. Powiększa je jeden jeszcze moment: oto w świadomości tych przypadkowych murarzy, jak zresztą w świadomości ogółu robotników palestyńskich, tkwi odstrasający przykład robotnika amerykańskiego, który w latach koniunktury gospodarczej rozszerzył swą konsumpcję do granic zarobkowania i znalazł się zupełnie bezradny z chwilą kryzysu i bezrobocia. — U nas kadry murarskie zmieniają się szybko — mówił mi pewien młody architekt. Dorobiwszy się, odchodzą na rolę.

Nie ma bezrobocia, przeciwnie: brak rąk do pracy. Brak rąk, mimo że Palestyna, która przed wojną (odjąwszy oczywiście imigrację syjonistyczną) zaczynała niemal okazywać tendencje ku rozpoczęciu ruchu emigracyjnego, jest dziś typowym krajem imigracyjnym. W sezonie prac rolnych musiano na gwałt posłać uczniów wyższych klas na roboty rolne:

<sup>11</sup>Patrząc sprzed ciężkich kolumn (...), wygląda to na cmentarz — popr. np.: Jeśli patrzy się sprzed ciężkich kolumn (...), wygląda to (...). [przypis edytorski]



do tego stopnia dochodził ów kryzys *à rebours*. Brak rąk mimo mas proletariatu arabskiego, który może posiada niechęć do pracy Hiszpana, ale jest też i tani jak chiński kulis. Brak rąk do pracy, mimo że olbrzymie przestrzenie sadów pomarańczowych, tzw. *pardes*, wymagają starannej, dokładnej, niemechanicznej uprawy. Brak rąk, mimo że obok regulowanej kontyngentowo imigracji robotniczej istnieje jeszcze, nader liczna, imigracja przybywających tu jako „turyści” i zostających na stałe w kraju. Brak rąk, chociaż w ciągu tych czterech lat podwoiła się ludność Hajfy, a pierwotna żydowska dzielnica arabskiej Jafy wyrosła na sześćdziesięcioletnie prawie miasto, chociaż Jeruzolima rozrosła się o dwie wielkie dzielnice, kolonie rolne zamieniły się w miasteczka, szereg ogromnych robót publicznych, przede wszystkim w dziedzinie komunikacji, został już niemal wykończony.

Pełno kapitału. Jest to pierwsza refleksja, jaka przychodzi na widok tego bogactwa. Istotnie, pełno kapitału. Ale sięgnąwszy do cyfr, okazuje się, że zainteresowanie obcego, wielkiego kapitału tym małym kraikiem to rzecz, która dopiero się zaczyna. Jak dotąd, wielki międzynarodowy kapitał, przede wszystkim angielski, potem amerykański, skoncentrował się w budowie portu w Hajfie, wielkiej elektrowni Rutenberga, salinach potasowych Morza Martwego. Występuje tu zresztą obok kapitału żydowskiego. Natomiast dwa młode centra przemysłowe — Tel Awiw i Hajfa — nasiąkły nim w niezmiernie małym stopniu. W rolnictwie nie ma go zupełnie. Otóż Palestyna to rolnictwo, Palestyna — to plantacje pomarańcz, które już dziś biją na rynkach świata wszystkie inne. To wszystko to kapitał żydowski. Kapitał potężnych instytucji narodowych, zbierających po całym świecie składki na odbudowę *home'u* duchowego dla żydostwa, kapitał prywatny zamożniejszych warstw emigrantów. Kapitalistów na wielką skalę jest wśród nich niezmiernie mało.

Ma się z początku wrażenie, że to wszystko chyba sztuczne: wszędzie naokół nędza. Francja dusi się od złota, a przecież francuska Syria, tuż pod bokiem, przeżywa niesłychanie ostry kryzys, przeżywa go z Europą. Grecja, Egipt, Turcja, Transjordania tak samo. Palestyna wydaje się tu oazą. Jakaś szczególna ambicja, jakieś „zastaw się, a postaw się”, kazała chyba żydostwu milionowymi ofiarami stworzyć ten fenomen. Jest w tym może jakaś misterna spekulacyjna intryga, jakieś budowanie obcemu kapitałowi „na wabia”, humbug na światową skalę! Wystarczy przyjrzeć się temu nieco i okazuje się, ile w takim sądzie jest prawdy.

Palestyna powstała sztucznie. Jest to fakt niezbity. Dziesiątki lat inwestowano w ten kraj materiał ludzki i kapitał. Inwestycje te były inwestycjami niehandlowymi, nieopłacalnymi. Ludzie szli tu dla idei, jak do Ameryki szli dla zysku. Kapitał szedł tu z filantropii, ze szlachetnej fantazji magnatów pieniądza. I ludzie, i kapitał szli na przepadłe, szli w najlepszym razie na zyski niższe kilkakrotnie niż te, którymi nęciło dziesięć innych krajów. Aż dziw, że naród o tak handlowym zmyśle mógł być tak mało handlowy. Palestyna, odrodzona, Erec Izrael, kraj Izraela, jak ją zwie żydostwo, powstała sztucznie. Ale istnieje naturalnie.

Złoto, którym pulsuje ten kraj, bucha z dwóch wielkich arterii: płynie od wychodźstwa diaspory, czy to jako drobne, milionowe składki, czy to jako kapitał przywożony przez nowe fale osiedleńców. Złoto płynie jednak do Palestyny i za plody tej ziemi. To, co w Palestynie zbudowano, jest rentowne. Inwestycja niehandlowa, nieopłacalna, inwestycja łożona w chwili, gdy myślano co najwyżej o hodowli baranów czy wina, gdy mowy nie było jeszcze o wielkim skarbie kraju — pomarańczy — okazała się nie tylko opłacalna, okazała się kokosowym interesem. Zilustrujmy: cena dunama ziemi w regionie pomarańczowym wynosi dziś od 18 do 40 funtów palestyńskich. Funt równa się 32 złotym, dunam — około jednej dziesiątej hektara. Biorąc średnio, cena dziesięciny ziemi, nieuprawnej jeszcze (pomarańcze przynoszą dochód po latach czterech), a posiadającej jedynie ceną w tych stronach wodę, wynosi 6–8 tysięcy złotych. Mimo tych cen, na pomarańcze rzucili się dziś wszyscy.

Mit o tym, jakoby Palestyna żyła żebraniną składek, sztuczną infuzją złota, wali się z każdą cyfrą. Palestyna, która jest, przestała już od lat żyć z diaspory. Palestyna, która jest, i diaspora pracują razem nad tworzeniem Palestyny, która będzie: nad rozszerzeniem żydowskiego stanu posiadania w tym kraju. Kryzys osłabił możliwości finansowe diaspory,

ale stało się to w tym samym czasie, gdy, po raz pierwszy od ery starożytnej, kraj ten stał się na nowo mlekiem i miodem płynący.

## „PIĘKNIEJSZY OD PARYŻA”

— Mówią, że Tel Awiw jest piękniejszy jeszcze od Paryża.

Mówiła mi te słowa młoda studentka żydowska w Polsce, która zapewne nie widziała Paryża, a na pewno Tel Awiwu. Hajfa. Hajfa jest cudownym miastem. Będzie wielkim portem Lewantu i pozostanie cudownym miastem. Tylko okroił się lazur zatoki o wąski i długi pas: to morze wyparto dla lanych w betonie pomostów, moli, nadbrzeża. Po tej długiej, szarej płaszczyźnie, na której pobudują się, jak w Gdyni, składy towarowe i hangary, krążą obecnie małe wagoniki z cementem na rozszerzenie miejsca przyszłego portu. Ale tuż za nim jest stara arabska Hajfa, Hajfa wąskich zaułków i obramionych portykami placików, gdzie stada spędzonych na targ owiec wylegają się w słońcu na płytach ogromnych jak marmurowe płyty meczetowych podworców. Zaś dalej rozrosło się miasto zupełnie nowoczesne, amfiteatralne: ścianą tego amfiteatru o jednej jedynej ścianie, amfiteatru, co za arenę ma okrągły wrzez zatoki, jest porosły w oliwki i sabry długi grzbiet Karmelu. Miasto wygląda, jakby podmywało górę: zagarnia jej coraz więcej, jak gałęziami pnący ulicami ujmuje stoki, które okryje wkrótce jakby bujnością liści szarymi i czerwonymi dachami. Ale Karmel, góra Eliasza i pustelników, nie jest zdobywana tylko od podnóży: na szczycie przez gaj pinii i cyprysów przedarła się już elipsa asfaltowej szosy, z cudnym widokiem na dalekie, zamglone, błękitne morze. Wille, pałacyki, sanatoria. Niepodobna sobie wyobrazić bardziej różnorodnego miasta: na dole, nad morzem, blaszane ściany cystern przypominają, że tędy przeciąga się gigantyczny rurociąg, którym z odległych na setki kilometrów szybów Mosulu spływać będzie wprost do okrętów nafta. Na górze zaś są najcudowniejsze dzielnice miasta-ogrodu, rozrzucone dzielnice mieszkań. Handel, szyldy, witryny, zgiełk, lady, kramy — to wszystko zamiast się rozleźć po Hajfie, skoncentrowało się u dołu, blisko portu. Pod górę drapie się wolniej, ociężalej. W tym mieście handlowym przeciw, mieście o olbrzymim handlowym znaczeniu skanalizowano handel w jeden zamknięty *residus*<sup>12</sup>.

Ale Tel Awiw...

Ktoś w Polsce napisał, że miasto jest tandetne. I jest. Dziennikarz amerykański, którego poznałem, mówił mi, że nie lubi tego miasta. Przeciętne, trzeciorzędne miasto amerykańskie, typowe *made in USA*. Miał rację. Przyznawałem im obu rację. Przyznawałem ją innym, ale... Ale jest tu coś takiego, że to właśnie miasto, które jest młodsze od studiujących dziś na uniwersytetach młodzieńców, którego najstarszych kilka domów dobiega sędziwego wieku lat dwudziestu sześciu, otoczone jest jakby nimbem, jakby aureolą, jak aurą czegoś, co tworzy, że jego nazwę wymawia się w pół jak nazwę jakiegoś legendarnego, cudownego miasta, a w pół jak w tym kraju o skąpej wodzie mówi się „źródło” lub gdzieś pod biegunami „słońce”. I jeszcze inaczej: Tel Awiw, nazwa nie większego od Katowic, Przemyśla, Białegostoku młodego miasta, miasta zacisznych burżuazyjnych domków, małych fabryczek i cienistych bulwarów, Tel Awiw, ta nazwa miasta bez wczoraj, brzmi w ustach tych ludzi — i Żydów, i Arabów, i innych — bohatercko: Hastings<sup>13</sup>, Cuszima, Jemappes, Olszynka Grochowska, Radzymin. Gdy sobie to uświadomiłem, zabawiła mnie nieco ta myśl, ale tak niemniej jest. O Tel Awiwie mówi się jak o wielkiej bitwie, uwieńczonej świetnym zwycięstwem. Tak i właśnie tak. Kraj, który posiada jedyne w świecie miasto jak Jerozolima, kraj, który ma za centrum portowe rzecz tak cudną jak Hajfa, durzy się po prostu w mieście, w którym świeżo zaskrzepł asfalt jezdni, a nie wyszło wapno ścian. Tajemnica.

Miasto, Młodość

<sup>12</sup>*residus* (z fr. *résidus*) — pozostałość, pozostałości. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*bitwa pod Hastings* (14 października 1066) — starcie, w którym inwazyjna armia księcia Normandii, Wilhelma, zwanego później Zdobycą, pokonała wojska angielskie pod dowództwem króla Harolda II. Król Harold zginął w bitwie, zaś w jej wyniku najeźdźcy z kontynentu europejskiego opanowali cały kraj. [przypis edytorski]

To miasto, którego nazwę wymawia się, jak my mówimy „Kłuszyn<sup>14</sup>”, nie ma w sobie nic gigantycznego. Najdłuższe ulice nie są dość długie i dość szerokie, by ich perspektywy nie zakrywała zielen młodych drzew. Nowa opera jest gmachem pięknym, ale nie monumentalnym. Wielka synagoga ustępuje jeszcze operze. Związki Zawodowe mieszczą się w wielkim gmazysku będącym, jeśli chodzi o wrażenie artystyczne, czymś godnym zamku Wilhelma w Poznaniu, z tym że jest budowany dużo taniej i robi wrażenie lichej dekoracji teatralnej. Naprawdę gmachem okazałym jest magistrat i kilkanaście większych prywatnych już gmachów. Jest to miasto niewielkich, paropiętrowych ledwo domów, za to tonących w ogrodach: żadnej parceli budowlanej nie wolno tu zabudować całkowicie. Zielen przedziela jedne od drugich tanie i nowe domy Tel Awiwu; nierzadko w ogródku przed domem, znajdującym się w śródmieściu, spotkać można widok rozwieszanej na wietrze bielizny, jak to bywało tam „w kraju”, w Kutnie, Suwałkach... Wewnątrz mieszkań znajduje się jeszcze dużo lichych oleodruków<sup>15</sup> czy „gobelinów” o motywach biblijnych, jak u nas. Są to ostatki.

To miasto jest wielkim stosem rozpalonym na brzegu morza po to, by przybywający tu Żyd palił na nim łachmany gett świata. Tu jeszcze słyszy się żargon<sup>16</sup>, tu Żydzi mówią jeszcze między sobą i po polsku, i po rosyjsku, i po niemiecku. Tu jeszcze spotyka się Żydów takich jak u nas, takich jak wszędzie w diasporze: brudnych i lękliwych, i z tym jakimś smutkiem, w chwilach zastanowienia, na twarzach. Tu odbywa się wielka kwarantanna narodu po dwudziestu wiekach jego nędzy. Nie ma Żyda, który przyjeżdżając do kraju, nie przeszedłby przez Tel Awiw!

Jest to szczególna kwarantanna. Zamiast być odseparowanym w barakach, człowiek tu po prostu wchodzi w życie. Tu nie on zaraża chorobą, ale jego zarażają nowym bytem. Człowiek nic innego nie robi, tylko chodzi i patrzy, nim pracować zacznie. Widzi miasto, które powstało tak szybko, jak mało które miasto na świecie... Tam, gdzie stoją banki i kina, i kawiarnie, na ulicy Lorda Allenby, zdobywcy Palestyny na Turcji, były w roku 1924 wielkie wydmy piaszczyste. Na Montefiori rosły później jeszcze rzadkie pustynne trawy. W 1909 roku Tel Awiw został miastem, pierwszym od tysięcy lat miastem, zbudowanym i zamieszkałym tylko przez Żydów. Wtedy miało mieszkańców 550; Żydzi z sąsiadującej z nim bezpośrednio arabskiej Jafy przynosili się do nowego miasta bardzo powoli. W 1919 roku było jednak mieszkańców 3000, zaledwie w trzy lata potem przybyło nowych 10 000. Dziś ludność miasta przekroczyła już 50 000. I rośnie.

Meir pochodzi z Białegostoku. Czymże był w Białymstoku? Czym miał być? Był stolarzem. Jest w Palestynie już ósmy rok. Czy mu się dobrze powodzi? Meir uśmiecha się, uśmiecha niemal filuternie ten stary Meir. Czemu ma się mu źle powodzić, komu się tu źle powodzi? A co robi stolarz Meir? Co robi? — A samochody!

W roku zeszyłam Nachum Sokołow przyjeżdża do Jerozolimy. Wspaniała ten Tel Awiw, mówi, co za rozwój; przemysł powstaje z niczego. Ta fabryka samochodów...

Panowie z egzekutywy syjonistycznej za głowę się wzięli. Co, gdzie, jak? No, mała uliczka w bok ulicy Herzla. Pojechali. Istotnie. Hangar, ośmiu Żydów. Czterech stolarzy, dwóch tapicerów, kamasznik, ślusarz. Razem: fabryka karoserii autobusowej. Autobusy są głównym środkiem komunikacyjnym w Palestynie. Żydzi wpadli na prosty pomysł sprowadzania podwozi i motorów, a fabrykowania karoserii na miejscu. Mieli mały kapitalik, gdzieś się zapożyczyli, trzy pierwsze autobusy postawiły ich na nogi.

<sup>14</sup>*bitwa pod Kłuszynem* (4 lipca 1610) — starcie podczas wojny polsko-rosyjskiej 1609–1618, między wojskami polskimi pod wodzą hetmana Stanisława Żółkiewskiego a armią moskiewską dowodzoną przez kniazia Dymitra Szujskiego wraz z posiłkami szwedzkimi pod komendą Jakuba Pontussona De la Gardie; natarcie wojsk Żółkiewskiego rozbiło wojska moskiewskie i skłoniło do zaprzestania walki przez posiłki cudzoziemskie: bitwa zakończyła się paniczną ucieczką Szujskiego i ocalałych Rosjan; w następstwie klęski pod Kłuszynem bojarzy zdetronizowali cara Wasyła Szujskiego i obwołali carem królewicza polskiego Władysława, a Żółkiewski wkroczył do Moskwy. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*oleodruk* — odbitka naśladowująca obraz olejny uzyskana na płótnie a. papierze techniką oleografii a. chromolitografii; szczególnie popularne w XIX w., oleodruki pot. stały się synonimem taniej podróbki, kiczu. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*żargon* (daw., pogard.) — tu: w języku jidysz; w międzywojniu używano tego określenia, odmawiając jidysz rangi pełnowartościowego języka. [przypis edytorski]

Czym były przed wojną Nalewki? Setki drobnych fabryczek, mieszczących się w podwórzach domów, na poddaszach, w suterynach. Drobnoustroje kapitalistyczne, które zaopatrywały w towar wielkiego kolosa — Rosję. Dziś Rosji tej nie ma, posmętniały fabryczki.

Tel Awiw ma swoje Nalewki: są to Nalewki inne, bo w zieleni i czystości, i w słońcu. Są to Nalewki innego typu Żyda. Ale tak samo pracują tam małe fabryczki, tak samo aprowidują one szerokie zaplecze Lewantu. Gdzieś daleko, w Manchesterach i Birminghamach, w zacisznych gabinetach szefów trustu, śledzi się z niepokojem w raportach filii przyczyny cofania się ekspansji handlowej *dreadnouthów*<sup>17</sup> brytyjskiego przemysłu. Czyżby Arabowie szli śladem Hindusów? Czyżby intryga sowiecka podcinała kontakty z tymi rynkami? Kryzys?

Bardzo się nad tym głowią panowie dyrektorzy koncernów, strategowie dumpingu i konkurencji. Mają za sobą odbytych kilkadziesiąt kampanii, mają więcej przeciwników na rozkładzie, niż miał zestrzelonych samolotów nieprzyjacielskich lotnik niemiecki wielkiej wojny, baron von Richthofen<sup>18</sup>. A teraz teren wymyka się spod nóg koncernów, teraz kurczy się dumne Imperium o Lewant. Nalewki telawiwskie okazały się konkurentem trustów. Każdoroczny bilans handlowy tych krajów stwierdza ich postępy. Drobnoustroje fabryczek przeżarły podstawę kolosów. Tel Awiw Meira.

Dwaj synowie Meira nie mieszkają w Tel Awiwie. Jeden pracuje obecnie na szosie koło Tel Chai, drugi będzie od pierwszego kierował pracami odwadniającymi, jakie się prowadzi gdzieś w górze kraju, na świeżo odkupionych terenach. — Obaj pracowali fizycznie — mówi Meir. Mówi to tak, jakby będąc Polakiem powiedział — „obaj byli w Legionach”. Przypomina mi się, że wczoraj rozmawiałem z pewnym delegatem pewnego ministerium w Polsce, Żydem. Opowiadał o siostrzeńcu, który jest w Tel Awiwie i, niech sobie pan tylko wyobrazi, pracuje jak prosty robotnik! Meir jest rzemieślnikiem, ale z tym wszystkim jest bardziej spekulantem: to taki nalewkowski fabrykant. Meir mówi o tych synach, o ich pracy fizycznej, jakby dawał do poznania: moja rodzina jest znakomita, ja — to wiele gorzej. Meirłożył na to, by jego synowie skończyli szkoły,łożył nawet na uniwersytet. Meir wtedy w Białymstoku cieszył się z synów i jak teraz opowiadał pewnie sąsiadom: — Moi synowie to zdolni ludzie. Będą panami doktorami, mecenasami. O, oni nie będą zwykłymi robotnikami!

Meir jest już starym człowiekiem. Starzy ludzie się nie zmieniają. A jednak Meir zapomniał o swych białostockich marzeniach. Meir mówi o tej szosie, na której najdosłowniej tłukł kamienie jego syn („pan mecenas”), jakby mówił o promocji doktorskiej tego syna. Starzy ludzie się nie zmieniają. Natura narodu się nie zmienia. Dwa tysiące lat przepajały żydostwo niechęcią do pracy fizycznej, pogardą.

Meir nie poszedł budować szosy. Meir nie poszedł na ziemię, Meir pozostał w mieście. Ale Meir patrzy na swych synów, na tych robotników, jako na coś lepszego, socjalnie lepszego od niego. Jest to ta jego lepsza część. Mówię z nim o przemyśle palestyńskim. Mówię, że podziwiam ich zmysł handlowy, że podoba mi się ta zwycięska walka biednych Żydów z Nalewkami z potęgą koncernów i trustów. Że tu wyrośnie wielkie centrum przemysłowe największego kontynentu świata. Że zrobi pieniądze, wielkie pieniądze... Morgan... Rothschild... Nie inaczej tamto...

Stary Meir uśmiecha się i jasno, i zabawnie zarazem. Jak dziecko do jakiejś miłej obietnicy. Meir widzi za mymi słowami rotszyldowską drogę do fortuny? Ale nie: Meir bierze mnie za rękę w przegubie dłoni, oczy mu się rozświeciły ku czemuś. — Wie pan, za Bet-Hanan, tam jest jeden taki piękny *pardes*. Tylko jeszcze dom postawić...

*Pardes*...

<sup>17</sup>*dreadnought* (ang.) — pancernik. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*Richthofen, Manfred Albrecht Freiherr von* (1892–1918) — niem. lotnik, największy as myśliwski okresu I wojny światowej, nazywany „Czerwonym Baronem” (pochodził z arystokratycznej rodziny niem. osiadłej w okolicach Wrocławia, mającej prawa do tytułu barona, tj. *Freiherr*); wygrał 80 bitew powietrznych, sam zginął 21 IV 1918 r. nad przełęczą Morlancourt w okolicach Sommy ostrzelany z broni maszynowej z ziemi. [przypis edytorski]

*Człowiek zmienia tu cele marzeń.* Ale jest i młode pokolenie inteligenckie, które rosło z Tel Awiwem, którego rodzice stanowią patrycjat miasta. Z poetą Bialikiem<sup>19</sup> pracuje cały zastęp intelektualistów żydowskich nad tworzeniem, rozszerzaniem życia duchowego w Erec Izrael.

Niemiecka, nieco ciężka i poważna kultura salonu rozsadzana jest powoli przez południowy temperament ludzi. Nad życiem towarzyskim ciąży kult muzyki. Nie znam się na niej, ale w dzisiejszej Palestynie muzyka zajmuje chyba to miejsce, co teatr w dawnej Grecji, co walka byków w Hiszpanii, co życie kawiarniane w dawnym Wiedniu. Zainteresowanie nową literaturą hebrajską jest tak silne, jak ukraińską w kołach młodej inteligencji tego narodu. Tu chodzi o rozszerzanie hebrajszczyzny. Święci ona zresztą pełny triumf. Wszystko jest hebrajskiej; jidysz jest wprost tępiony, tak tępiony, jak język polski pod zaborcami. Założenie pisma żargonowego<sup>20</sup> byłoby nie do pomyslenia, spotkałoby się z bojkotem i więcej niż bojkotem. Język hebrajski to jeszcze jedna miara, na której chcę w tej książce mierzyć wielkość dokonanego w Palestynie dzieła. Na razie pomyślmy tylko, że łacina była *jeszcze* językiem żywym, gdy hebrajski był już językiem martwym. Mussolini za wszelką cenę wskrzesza w Italii Rzym antyczny, dokonał na tym polu olbrzymiego dzieła. Wskrzeszenie łaciny uważałoby się tam jednak za mrzonkę, za niemożliwość. Wskrzeszenie hebrajszczyzny jest faktem.

„Piękniejszy od Paryża”. Te słowa wróciły mi jeszcze raz pewnego wieczoru schodzącemu ku plaży przez Allenby *street*. Był to wieczór szabat. W szabat ustaje tu wszystko, nawet autobusy. A wieczór jest wielkim świętem. Tego dnia było podwójne święto. Przed esplanadami kawiarni, po gładkich asfaltach jezdni, w blasku lamp łukowych ludzie tańczyli na ulicy.

Radość na ulicy żydowskiej w Warszawie, gdzie indziej, ma dla mnie charakter jakiegoś spazmu, jest czymś nerwowym, wrzaskliwym, męczącym. To co się mówi „istny chajder<sup>21</sup>”. To było, jakby w domach nie było miejsca i wszyscy wylegli lepiej się zabawić, bez kłopotu o miejsca potańczyć. Tańczenie na ulicy było rzeczą tak ogromnie prostą, tak sobie naturalną, jak tylko może być. Z wielkiej kawiarni na rogu, której ściany są żółte jak bursztyn i która oczywiście nazywa się „Szafirem”, dźwięczała hora, taniec tańczony grupami, jak balet, jak tańce antycznego świata. Hora wypełniała ulicę i miasto aż po plażę z jasnymi kawiarniami, z dansingami pod nabitym gwiazdami niebem. Spazm żydowskiej radości w diasporze, krzykliwy zgiełk naszych małych miasteczek rozplynął się tu był rytmem ogromnej pogody. Żyd, który w najbardziej zażydnym mieście świata nie mógł nie czuć się obcy, tu czuł, że ma pełne tytuły prawne, po raz pierwszy ma je, że jest *u siebie*. Oto tajemnica, dlaczego Tel Awiw jest dla Żydów tym, czym jest. Tęsknota za domem budowała temu narodowi Tel Awiw w takim tempie. Patrzy nań poprzez radość zaspokojenia tej tęsknoty, poprzez radość kresu wędrówki. Tel Awiw, miasto zwane pagórkami wiosny, jest piękniejsze od Paryża.

## ŻYDZI, KTÓRYM W PALESTYNIE JEST ŹLE

Gdy przyjechałem do Tel Awiwu pierwszy raz, było południe, o godzinie czwartej byłem u naszego konsula, a już przed szóstą jechałem autem konsulatu do kolonii, otaczających wieńcem miasto. W Palestynie od samego początku czuje się to, co już napisałem, że Palestyna, ta prawdziwa, ta nowa Palestyna, to nie są miasta, to wieś, pardesy, Samaria, kraj nad Tyberiadą, Emek. Wszystko inne jest tu mniej więcej jak pan Meir mówiący: „Ja to nic, moi synowie, ci pracujący na szosie, to dopiero ludzie”. — Okazję, że sekretarz konsulatu jedzie dziś z delegatem jednego z ministerstw polskich do Petach Tikwa, sławnej starej kolonii żydowskiej, schwyciłem w lot. Ale prócz nas trzech w tym samym aucie znalazła się pewna pani, piękna pani, elegancka pani.

Elegancka pani jest z Polski, z Warszawy. Jej mąż jest wybitnym lekarzem czy adwokatem, temu osiem miesięcy przeniósł się do Tel Awiwu, do „ojczyzny”. Zadaję eleganc-

<sup>19</sup>Bialik, Chaim Nachman (1873–1934) — żydowski poeta tworzący w języku hebrajskim oraz jidysz, prozaik, tłumacz, eseista i wydawca; okrzyknięty odnowicielem poezji hebrajskiej i narodowym wieszczem Izraela. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>żargonowy (daw., pogard.) — tu: w języku jidysz. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>chajder — początkowa szkoła religijna dla chłopców w kulturze żydowskiej; cheder; tu najwyraźniej słowo o znaczeniu: hałas, zgiełk. [przypis edytorski]

kiej pani parę pytań, ale muszę się po chwili ograniczyć do odpowiadania. Co Warszawa? „Adria”<sup>22</sup>? „Banda”? Nie może być, więc Ordonka doprawdy tu przyjeżdża? Ja zawsze czytałam „Wiadomości Literackie”<sup>23</sup>! To pan zna Grydzewskiego<sup>24</sup>? Ale Krzywickiej<sup>25</sup> nie? Czy pan ma może coś z książek polskich? Ostatnia rzecz, która mnie doszła, to *Zazdrość i medycyna*<sup>26</sup>.

Na przyszłą zimę elegancka pani przyjedzie do Polski. Jaki był tutejszy karnawał? Tak, dobrze panu opowiadali, był śliczny. To bardzo ciekawy widok, taka powszechna radość, te krzyki, tańce. Bardzo zabawny widok. Razu jednego tańczyłam z Arabem, o, to był bardzo kulturalny, bardzo elegancki Arab. Ale Warszawa...

Auto szło siną asfaltową szosą, jakby ślizgało się po lodzie. Dawno odrzuciliśmy za siebie przedmieścia miasta. Po obu stronach symetrycznie zasadzone rosły pomarańcze: drzewka dwumetrowe na cienkim pniu, z burzą gęstych, silnie zielonych liści. Było to jakby morze zieleni, jak gąszcz nieprzebyty, jak step. Gdzieniedzie nad gaikiem czerwienił się dach domu. Aż szosa wpadła w szpaler cyprysów i miasteczko.

— Co to? — spytała pani.

— Petach Tikwa.

— Ach, więc to jest Petach Tikwa??

To nie pytał ani delegat z ministerstwa, ani ja, to pytała elegancka pani z Tel Awiwu, Żydówka. Ale teraz to już myśmy się dziwili. Petach Tikwa leży tak pod Tel Awiwem, że niepodobna wprost jej nie znać, jak w Warszawie trudno nie znać Wilanowa, w Wilnie Werek czy Trok. To nawet więcej, bo ta kolonia ma za sobą całą legendę bohaterskich wysiłków, prac, walk, legendę, której ostatnie karty zapisały rozruchy arabskie 1928 roku... Jestem pierwszy dzień w Tel Awiwie i już pędzę do tej Petach Tikwa, o której temu tydzień nie wiedziałem jeszcze nic. Jestem Polakiem z krwi i kości. Elegancka pani mieszka tu od ośmiu miesięcy. Elegancka pani jest Żydówką. Elegancka pani wyjeżdża dziś poza Tel Awiw po raz pierwszy. Opowiada o tym tak obojętnie, jakby to mówił ktoś, kogo to, co się tu dzieje, nic a nic nie interesuje.

Nasze zdziwienie jest jednak zbyt wyraźne i trzeba tu coś powiedzieć, wytłumaczyć. Pani mówi więc o tym, że ją z tym wszystkim niewiele właściwie łączy. Nie jest syjonistką, o nie, w ogóle nie uznaje „zacieśnienia się do pewnej narodowości”. Czuje się Europejką, o tak, właśnie Europejką. Warszawa, tak lubi Warszawę, naszą Warszawę! Tu jest nie tylko jakieś wszystko nowe zupełnie, ale i takie surowe, takie nieswobodne. Proszę pana, ten szabat, czy pan uwierzy, ja tu nic w sobotę nie mogę dostać? Nic a nic. Wieczorem otrąbia się święto. Tak jak w tych naszych małych, brudnych miasteczkach. Przecież w Polsce ja wszystko dostanę i w sobotę, i w niedzielę. Tu — nic.

Chodzimy po kolonii, podczas gdy delegat spełnia swe ważne ministerialne zadania w wielkiej radzie gminnej Petach Tikwy. Z rynku dość zaśmieconego, miasteczkowego, zeszliśmy w aleję, gdzie pełno niewielkich domów, opiętych pnączami. Przed domami, zamiast malw, niskie palmy kokosowe i drzewa pomarańczy. Szczębiot eleganckiej pani trwa dalej. Ona by nigdy nie chciała tu mieszkać, cóż, że ta willa z werandą ładna, cóż, że

<sup>22</sup>*Adria* — modny w l. 30. XX w. lokal gastronomiczno-rozrywkowy, mieszczący się w elegancko urządzonej suterenie (tzw. przyziemiu) oraz podziemiach budynku przy ul. Moniuszki 10 (po wojnie Moniuszki 8) w Warszawie; lokal składał się z hallu, kawiarnianego ogrodu zimowego pod szklanym dachem (z roślinami oraz ptakami), sali kawiarnianej, baru oraz sali dancinowej (tu atrakcję stanowił parkiet obrotowy); kierownikiem i współwłaścicielem „Adrii” był Franciszek Moszkowicz; lokal funkcjonował w l. 1931–1944; w międzywojniu w „Adrii” spotykała się elita towarzyska i kręgi rządowe. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>„*Wiadomości Literackie*” — niezwykle ważny w dwudziestoleciu międzywojennym, opiniotwórczy tygodnik społeczno-kulturalny, założony i redagowany przez Mieczysława Grydzewskiego, wydawany w l. 1924–1939 w Warszawie; na jego łamach publikowali skamandryci, m.in. Julian Tuwim, Antoni Słonimski, Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń, Jarosław Iwaszkiewicz, Józef Wittlin, Stanisław Baliński, Zuzanna Ginczanka, a także: Jerzy Liebert, Tadeusz Boy-Żeleński, Irena Krzywicka, Ksawery Pruszyński, Michał Choromański, Zbigniew Unilowski, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska czy Karol Irzykowski; tu w 1933 r. debiutował Bruno Schulz. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*Grydzewski, Mieczysław* (1894–1970) — polski historyk pochodzenia żydowskiego, felietonista, dziennikarz, redaktor czasopisma „Skamander” oraz tygodnika „Wiadomości Literackie”. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Krzywicka, Irena* (1899–1994) — polska pisarka żydowskiego pochodzenia, publicystka i tłumaczka literatury pięknej; feministka, propagatorka świadomego macierzyństwa, antykoncepcji i edukacji seksualnej; od 1965 zamieszkała we Francji. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Zazdrość i medycyna* — powieść Michała Choromańskiego (1904–1972) wydana w 1932 r. [przypis edytorski]

ci ludzie są bogaci, ale to mimo wszystko odludzie. Pewnie, że kolonia o ośmiu tysiącach mieszkańców może sobie drwić z Arabów, ale jednak... I ta głuchość... I ten brak naszego, europejskiego, życia...

I mówi wręcz, że nie rozumie. Nie rozumie tych młodych ludzi z dyplomami uniwersyteckimi, którzy poszli bić szosy w Galilei, nie rozumie ludzi, którzy całą swą młodość „zakopali” w jakimś kolektywie („jak to się nazywa? Aha, kibuc? To pan już to wie?”), w takim właśnie kibucu nad Jordanem, gdy przecież nie musieli! Potem taki kibucnik, młody chłopak, już ma troje dzieci. Tak, proszę pana, tak... To można nazywać bohaterstwem, to może być dla dziennikarza ciekawe, bez tego toby tu były dalej piaski... No, i ostatecznie wielkie nieszczęście, żeby nawet i były?

Mylisz się, Czytelniku, zupełnie, jeżeli myślisz: to był typ kobiety *précieuse*<sup>27</sup>, kobiety o ptasim mózgu, lalki. Wcale, wcale nie. To była po prostu osoba uznająca życie racjonalne, życie opłacane, życie największych materialnych zadowoleń najmniejszymi materialnymi kosztami. To była pani przeniknięta prostym racjonalizmem burżuazji. Ani te słowa mówię z pogardą, ani z emfazą. Zdanie tej pani nie byłoby dalekie od zdania ludzi wielkiej bardzo kultury. Ludziom, którzy poszli bić szosy i suszyć bagna, mogąc żyć z kapitału papy, wziąć ładny posąg z niebrzydką żoną, ludziom, którzy ostatecznie mogli dorabiać się choćby ciężko w młodości, ale wreszcie dorobić własnego, ludziom tym, jeśli ich zauważyć raczył, dziwiłby się i szlachetny, najwytworniejszy *arbiter elegantiarum*<sup>28</sup>, Petroniusz.

Idealista, Realista, Pozycja społeczna

\*

Spotkałem w Tel Awiwie młodego, nieśmiałego doktora, który jechał „Dacją” — oczywiście nie w czwartej, ale w drugiej klasie. Spytałem, co już widział. Okazało się, że mimo tygodniowego pobytu widział bardzo niewiele, bo tylko Tel Awiw. Wy tłumaczył mi dlaczego. Oto nie przyjechał tu właściwie jako turysta, przyjechał, by tu osiaść, praktykować, zarabiać...

Czuł się bardzo niepewny i nieśmiały. Więcej: czuł się zgubiony, obcy. Ze znalezieniem pracy jakoś nie szło. Palestyna na potrzeby tego kraiku wielkości Wileńszczyzny ma może mało robotników, ale za to inteligencji pracującej (nie na szosach) dostatecznie. Ci nie znajdują pracy tak łatwo jak murarze. Uniwersytet jerozolimski jest wprawdzie czynny w praktycznym tego słowa znaczeniu (tj. w produkowaniu młodych prawników, medyków, filologów itd.) na razie na jednym tylko medycznym wydziale, ale napływ młodzieży z dyplomami bardzo łatwo zaspokoił niewielkie stosunkowo zapotrzebowanie kraju. Pocięsałem doktora, że niebawem znajdzie zajęcie. Po prostu, młodszy od niego, musiałem go pocieszać. Nie bardzo już wiedziałem, co mu powiedzieć w końcu.

— No, jest pan w ojczyźnie, w kraju — powiedziałem.

Doktor popatrzył na mnie, a potem długo mówił. Oto właśnie, że nie jest „w kraju”. On do Palestyny nie tęsknił nigdy. On nie uznaje ojczyzny. Owszem, taki kawał ziemi, gdzie się człowiek urodził, zna wszystkich, mieszka z dawna. Ale daleki, szeroki kraj — nie. Nie uważa, żeby to było źle czy dobrze. Można za to kochać religię albo klasę. (Nie nabrałem wrażenia, by doktor kochał jedno lub drugie). W małopolskim mieście, w którym zaczął praktykować, źle mu szło. Przepelnienie. Przyjechał tu. — Nie uwierzył pan, jak ja się tu czuję okropnie, okropnie obcy.

Antysemityzm, Obcy

Studiował we Lwowie. Były rozruchy antysemitki. Studenci tworzyli szpaler i przepychając Żydów bili ich. Mój doktor krzyknął: — Nie jestem Żydem, uważam się za Polaka. — Łomotnął go ktoś tym silniej pałką po głowie. Jego koledzy Żydzi słyszeli ten okrzyk. Byli wśród nich tacy jak on, którzy go rzucili dumnie w roześmiany radością bicia człowieka tłum. Ale ci koledzy — on ich zna — oni w ten krzyk *wierzyli*. On — nie wierzył. W Berlinie krzyknąłby: — Jestem Niemcem. — Pan się dziwi, oczywiście, i pan to uważa za oportunistę? Trudno, proszę pana, pan nigdy nie był w pozycji człowieka bitego za krew, którą ma w arteriach!

<sup>27</sup>*précieuse* (fr.) — cenna. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*arbiter elegantiarum* (łac.) — arbiter elegancji; osoba mająca rozstrzygający głos w sprawach elegancji. [przypis edytorski]

Od tego dnia — opowiadał dalej — zrobiła się jakby luka między jego kolegami Żydami a nim samym. Asymilanci wiedzieli, że on w ten okrzyk nie wierzył. Syjoniści gardzili nim tym bardziej. Z takimi, jak on sam, on jakoś nie bardzo współżył. Dziś jest w Palestynie. O tym, żeby być w Palestynie, marzą w Polsce, Rumunii, świecie tysiące tych tam chaluców. On jest. I jest obcy.

Widzi pan, mnie stać na szczerość. Pan jest obcy człowiek, pan oglądnie sobie i pojedzie. Pan rozumie, że człowiek może nie myśleć o kochaniu jakiejś ojczyzny, tak jak nie musi kochać religii. Z tego, co o Palestynie słyszałem, zrozumiałem, że tam jest wielki ruch. Ludzie budują, zorywują nieużytki, spuszczają bagna, ludzie pracują, ludzie się śpieszą, ludzie nie mają czasu pytać pana, co pan tam sobie myśli czy nie myśli. No, i w każdym razie nie o pochodzenie. Tu, proszę pana, ludzie się kłócą i zwalczają, ale jednak oni myślą to samo. Ja wcale z nimi nie myślę. Udawać? I trudno, i — ja bym nie potrafił. Na razie nie potrafię.

Rozmawialiśmy tak bardzo długo. Mówił o tym, jak tu panuje niewidzialna dyktatura syjonizmu. Jak tępiony jest żargon, jak zniszczono by maszyny redakcji żargonowego pisma, jak gdy podczas świąt żydowskich, wedle religii nie wolno jeść chleba, tylko macę, któraś postępową piekarnia wystawiła w oknie chleb, to robotnicy („Pan uważa? robotnicy, oni są przecież socjalistami”) rozbili wystawę i tłum spalił ów chleb na ulicy, jako prowokację. Tak, panie. Tu też jest dyktatura, jak we Włoszech, jak w Rosji.

Doktor zatrzymał się i rzekł:

— Dyktatura jest dzieciństwem każdej idei.

Powiedziałem:

— Za jedynym bodaj tylko wyjątkiem: chrystianizmu.

Doktor pomyślał znowu i odparował:

— Tak. W religii dyktatury są okresem młodości.

Idealista, Religia, Przemoc,  
Władza

\*

Tych dwoje widzę zawsze razem. Byli to jedyni ludzie niezadowoleni z Palestyny, jakich spotkałem w mej drodze. A umyślnie spotykałem bardzo wielu. Zdaje się, że wszyscy niezadowoleni, jacy w ogóle są w Palestynie, to właśnie ludzie tego typu... I otóż, żeby czuć się dobrze w Palestynie, żeby być tam naprawdę jak w raju na ziemi (a widziałem takich, którzy tak się tam czują), trzeba nie tylko, jak wymagają przepisy emigracyjne, mieć przy sobie certyfikat wyjazdowy bądź kapitał 1000 funtów, bądź wreszcie wjechać jako turysta i — zostać, trzeba jeszcze, trzeba po prostu, najzwyczajniej w świecie, być nasiąkłym ideą syjonistyczną.

Jest to bardzo jasne i bardzo proste. Kraju tego, ni mniej, ni więcej, tylko gdyby nie ta idea, nie byłoby w ogóle. Coś takiego można najlepiej i jedynie uzmysłowić na przykładzie: gdyby nie było idei niepodległości Polski, Warszawa by istniała i ludzie by w niej żyli. Gdyby nie było syjonizmu, hasła powrotu do ziemi ojców, w żydostwie, toby jednak nie było Tel Awiwu, toby nie było nie tylko Tel Awiwu, ale nie byłoby ani Petach Tikwa, ani Richonu, ani Magdiel, ani całego Emek Izrael, tych bogatych, malowniczych kolonii, a tylko piaski, bagna, malaria. I właśnie dlatego, że tu jeszcze nie ma prawie nic powstałego przez interes, że w każdym razie przeważa tu powstałe przez ideę, idea ta rzeczywiście jest tu tak wszechobecna jak ten, objawiający się za każdym czynem swego ludu, biblijny Jehowa Izraela.

Może kiedyś będzie inaczej. Nurt życia podmywał większe jeszcze idee. Na razie tak nie jest. Do Palestyny można jechać bez pieniędzy. Mojżesz Schamroth miał na całą drogę sto lei, tj. dosłownie pięć złotych. Ale nawet gdyby nim się nie zaopiekowała organizacja, to poszedłby „na budowę” w Hajfie i byłby spokojny. Doktorek i elegancka pani nie mają pieniężnych kłopotów. Ale mają głębsze jeszcze troski. Myślę, że tych dwoje Palestyna wygrzyzie. Jadąc do niej, nie myślałem nigdy, że pewnego wieczoru, błądząc po bulwarach telawiwskich, będę, jako Polak, cudzoziemiec, słuchał wyznań Żyda, że się w tej Palestynie czuje tak okropnie obcy. Żydzi nie-syjoniści, Żydzi nietęskniący za Ziemią Obiecaną, nie emigrujcie do Palestyny!

Państwo, Żyd



## POCHÓD IZRAELA

Rok 1882, gdy grupka kilkunastu pierwszych imigrantów założyła pierwszą palestyńską kolonię, były to czasy, gdy ruch powrotu na ziemię ojców nie przybrał sobie żadnych prawie form organizacyjnych. Dziesiątek lat, jaki minął potem, to istne syzyfowe prace nad utrzymaniem się przy roli. Arabowie, władze tureckie, obcy klimat, malaria i nędza splatają się w każdej z tych czasów opowieści. Minęło lat kilkadziesiąt, kolonie kwitną w bogactwie, a jednak po dziś dzień oficjalne publikacje tego nienależącego do skromnych narodu nie wahają się stwierdzić, że był czas, gdy tylko potęga jednego człowieka uratowała dzieło syjonizmu od niechybnego załamania. Nie Herzla<sup>29</sup>, ale jego właśnie postać umieszcza się w tych publikacjach na miejscu najpierwszym. Socjaliści palestyńscy wymawiają z szacunkiem jego imię, nazwisko i tytuł: Edmund baron Rothschild<sup>30</sup>.

Kolonie wegetowały wówczas nieliczne, bez pieniędzy, bez ludzi. Malaria odstraszała wszystkich: pokolenia całe marły. Żeby usunąć malarię, trzeba było osuszyć bagna, zasadzić na nich wyciągające wilgoć eukaliptusy. Potrzeba było nie tylko ludzi, ale i kapitału. — Rothschild dał kapitał. — Był pierwszą falą szerokiego przyływu złota, złota wielkich, jak on, kapitalistów-filantropów, złota milionowych drobnych ofiar po domach żydowskich całego świata. Z nim zaczęła się też naprawę organizacja.

W 1901 roku przekazuje on swe dzieło palestyńskie i fundusz weń włożony JCA (Jewish Colonisation Association, dziś PJCA — Palestine Jewish Colonisation Association), która założyła w Dolnej Galilei Kfar Tabor, Yavniel, Sedjera i dwie inne kolonie. Jako wielki fundusz nabywania z rąk Arabów ziemi pracuje obok innej instytucji, finansowego kolosu, sławnego Keren Kayemet Leisrael — Funduszu Narodowego Żydowskiego. Na swoją rękę wykupuje ziemię i powstają, równoległe do pracy kapitałów Rothschilda, kolonie Ben Shemen, Hulda, Kinereth, Daganja Pierwsza, Merhawja.

Już po wojnie przybywa do tej pary trzecia instytucja: w kwietniu 1921 roku zakłada się Keren Hayessod, Fundusz Odbudowy. Gdy tamte dwie miały za zadanie *wykupno* ziemi dla przekazania jej kolonistom, to ta nie zajmuje się już tym dziełem, ma na oku tylko jedno: dostarczenie osadnikom narzędzi, inwentarza. Zresztą służy w ogóle „rozbudowie potrzeb ekonomicznych i kulturalnych Palestyny”, wchodząc dosłownie we wszystkie dziedziny życia.

To, że te organizacje o wielomilionowych kapitałach zakładowych powstały, to było koniecznością Palestyny. Tylko na miejscu można widzieć, jak wszelki krok bez nich byłby niemożliwością. Palestyna jest klasycznym krajem, gdzie naprawę wielkie rzeczy może dokonać jedynie zbiorowość pieniędzy i zbiorowość ludzi. Palestyna jest klasycznym krajem, gdzie się łoży na przepadłe: ziemi nie sposób nabywać tu inaczej, jak wykupując całe połacie, całe latyfundia; osiedlenie się samotne Żydów między Arabami byłoby szaleństwem. U nas ziemię się kupuje i potem zaraz się orze. W Palestynie nie można niemal oddać dunama ziemi pod uprawę bez przeprowadzenia melioracji: tak np. z obszaru ziemi, nabytego za pieniądze Keren Kayemet, trzeba było poddać melioracji dwie trzecie. Jest to praca przewracająca wszystko do góry nogami: jedno ziemie się osusza, gdy drugie nawadnia. Rolnicy rozumieją najlepiej, co można by zrobić, gdyby to zadanie było zdane na drobnych osadników, rozumieją najlepiej, ile znaczy fakt, że przed kolonizatorem-chalucem, jak tank przed żołnierzem idącym do ataku, posuwają się już dwie takie maszyny, jak PJCA i Keren Kayemet, zdobywając mu (najdosłowniej, acz najbardziej pacyfistycznie w świecie) teren, gdy sekundujący im Keren Hayessod wyposaża go w budynki, inwentarz żywy i martwy.

W ten sposób dokonał się nowy pochod Izraela: szedł on od morza. Trzydzieści parę kilometrów na południe od Jafy rozpoczyna się mniej lub więcej zwarta ława osadnictwa. Jest to najbogatszy, pardesowy, region Palestyny; jest to zarazem region prywatnych kolonistów. Obchodzi on Tel Awiw i pnie się w górę — przez Petach Tikwę, Herzliję, ku francuskiej dziś Syrii. Coraz częściej pojawiają się szmaty ziemi, nabytej już nie

<sup>29</sup> Herzl, Theodor (1860–1904) — żydowski dziennikarz urodzony w Cesarstwie Austrii (w węgierskim Peszcie), twórca i główny ideolog syjonizmu. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> Rothschild, Edmond James de (1845–1934) — francuski kolekcjoner i mecenas sztuki pochodzenia żydowskiego, baron; filantrop hojnie wspierający działalność ruchu syjonistycznego oraz osadnictwo żydowskie w Palestynie. [przypis edytorski]

przez prywatny kapitał, lecz przez Fundusz Narodowy, Keren Kayemet. Z Wadi Hawarat rozpoczyna się wielkie, 43000-dunamowe latyfundium Keren Kayemet. Przy bogatej Hederze wyrasta grupa kolonii kapitału prywatnego; ale już nieco dalej przychodzi z kolei kraj PJCA. Wreszcie koło Hajfy sąsiadują ziemie kapitału prywatnego i Kerenu, który tu wykupił ziemie między Hajfą a Acre, mające, z racji budowy portu w Hajfie, wielką przyszłość. Tu się pochód od morza kończy.

Ale jednocześnie z tej najgórnieszej, północnej jego flanki wypada ku południowo-wschodowi olbrzymi pas ziemi, jedna z najważniejszych części Nowej Palestyny, Dolina Izraela, 164 000 dunamów. Emek Izrael dociera aż do doliny Jordanu, gdzie nieco na północ istnieją stare kolonie rotszyldowskie i kayemetowe, nad Tyberiadą i wyżej; są to już wielkie i najdalsze forpoczty Izraela, jego wyspy. Szereg mniejszych osad idzie na dole, na południu od Tel Awiwu ku Jerozolimie. Takim oto szykiem posuwa się osadnictwo żydowskie w głąb Palestyny.

Ile kosztowało to wszystko? Nawet pieniądze tylko trudno to dziś ocenić. Prywatną, bardzo potężną kolonizację pozostawiając na uboczu, trzeba nam zesumować koszty nabycia i melioracji ziem Keren Kayemetu i Keren Hayessodu — 2 004 733 i 4 669 547 funtów szterlingów. Organizacje inne, jak lecznicza Hadassa, która włożyła w kraj półtora miliona funtów, pozostaną jeszcze na boku, jak pozostają, dla swej różnorodności lokat i długiego przeciągu czasu, dobrodziejstwa fundacji rotszyldowskich. Doskonale statystyki angielskie nie dają przecież zupełnie pewnego obrazu inwestowanych tu kwot. Poza tym Palestyna (będąca dziś w rzeczy samej doskonałym terenem inwestycyjnym) stara się — całkiem słusznie — przedstawić te swoje walory w jeszcze lepszym świetle. Wolę więc nie mówić o rzeczy, której z całą dokładnością osobiście zgłębić nie mogłem — i która, jak wszystko w kraju rosnącym w oczach, będzie przedawniona po paru miesiącach.

## DOSTAWCY LUDZI I DOSTAWCY PIENIĘDZY

Przed odjazdem do Palestyny poinformowano mnie już, że Polska ma w tym kraju wcale ważny rynek zbytu dla swych towarów. Zdziwiający jest, że nasze bielskie materiały konkurują tam, na serio i zupełnie dobrze, z materiałami angielskimi. To samo tyczy się wyrobów łódzkich i białostockich: Żyd przyjeżdżający z Polski, a choćby z Rosji (dziś emigracja z Rosji, zakazana przez ZSRR, należy do przeszłości, ale dziesięć lat temu była duża), nie zna tekstyliów angielskich, zna za to i przyzwyczał się do naszych. O dobrej ich sławie może coś powiedzieć i fakt, że nowo założona fabryka sukna w Tel Awiwie nosi raczej niehebrajską nazwę „Lodzja”. Istnieją próby rozszerzenia naszego eksportu. Jak zwykle, tak i teraz, faworyzowany przez nas przemysł bierze górę nad rolnictwem, co do ważności którego, jako prawdziwej podstawy gospodarstwa narodowego, dopiero ostatnio zaczyna świtać nieco rozsądniejszy pogląd. Zapewniano mnie bardzo poważnie, że drzewo i kartofle (Wileńszczyżno, pomysł!) mogłyby tu mieć ładny zbyt. Najprawdopodobniej skończy się znowu na tym, że Palestyńczykom pytającym o kartofle wsadzimy w ręce specjalnie wydany memoriał, że kartofle najlepiej sadzić u siebie w kraju, zaś z zagranicy sprowadzać nawozy sztuczne, i bardzo się zdziwią nasze głowy stanu, że ciż Palestyńczycy wykonają wreszcie pierwszy plan memoriału, tj. nie kupią kartofli, ale, szelmy, nie domyślą się drugiego — i nawozy sztuczne sprowadzą z Chile, nie z Chorzowa. Niezależnie od tego wszystkiego Polska wraz z innymi krajami o wielkim skupieniu Żydów występuje jako — że użyjemy tej handlowej przenośni — eksporter dwóch „towarów”: ludzi i pieniądza.

Na dostawców ludzi i dostawców pieniądza dzielą się w oczach Palestyny wszystkie niemal kraje świata. Oczywiście jedne są typowymi eksporterami materiału ludzkiego, inne kapitału. Oczywiście też żaden kraj nie dostarcza samych tylko osadników ani samych tylko pieniędzy. Te dwa czynniki kierowane przez wielkie organizacje osiedleńcze rozlewają się planowo po kraju.

*Otóż klasycznym państwem-dostawcą ludzi jest Polska, a klasycznym dostawcą pieniądza są Stany Zjednoczone.*

Mówi się bardzo często o sprzeczności interesów polsko-żydowskich. Nie jest zadaniem książki ani jej autora zapuszczać się tu w długą czy nawet krótką na te tematy dyskusję. Sądzę jednak, że najbardziej przekonany o szkodliwości Żydów dla Polski anty-

semita nie zaprzeczy, że jeśli chodzi o kwestię Palestyny, sprzeczność ta nie ma miejsca. Jeżeli już się zakłada, że element żydowski jest u nas niepożądany, należy zapewne powitać z zadowoleniem fakt, że właśnie Polska objawia ze wszystkich krajów diaspory *najsilniejszy* ruch emigracyjny, najslabszy zaś stosunkowo emigracji kapitału.

W ciągu całych dwunastu lat normalnego funkcjonowania mandatu palestyńskiego emigranci polscy reprezentują w ogólnej emigracji światowej żydostwa do Palestyny grupę *najsilniejszą*. Procentowo wyraża się to w liczbie 39,8%, liczbowo w przeszło 50 000 ludzi. Nie jest to wiele, jeśli zważymy na trzymilionową masę żydostwa zamieszkującego Polskę, jest to jednak dużo, zważywszy na obszar Palestyny, zważywszy na to, że emigracja żydowska przechodzi przez bardzo trudne do przebycia filtry władz angielskich. W każdym razie nie jest to bynajmniej *quantité négligeable*<sup>31</sup>, zwłaszcza w epoce, gdy bezrobocie wśród proletariatu i młodej inteligencji daje się tak dotkliwie w kraju odczuwać. Nie jest nim również i wtedy, jeśli sobie uświadomimy, że to, co emigruje od nas, to przeważnie ludzie młodzi, ludzie biedni, chaluce, wnoszący do Palestyny przeważnie niewiele więcej niż swój zapal młodzieńczy i ręce do pracy.

Natomiast jeśli chodzi o odpływ kapitału z Polski, to z pierwszego miejsca wśród państw świata schodzimy na piątą. Po nas idzie już tylko Rumunia, a potem kraje, gdzie procent Żydów jest minimalny: Czechy, Holandia. Często podkreśla się u nas bogactwo trzymilionowej masy Żydów polskich. Otóż ta trzymilionowa masa, w której wpływy syjonistyczne są rzeczą niedającą się już chyba przez nikogo negować, począwszy od 1919 roku przesłała do Palestyny tytułem składek na Keren Hayessod 217 999 funtów szterlingów. Na nasze pieniądze wynosi to około 6 976 048 złotych. Jako wpływ z przeciągu lat jedenastu z górą (statystyka ta jest z 1931 roku) nie są to chyba wielkie pozycje. Oczywiście, że poza tymi składkami pozostaje kapitał prywatny, wywieziony przez emigrantów, a na jego wyliczenie brak już danych. Niemniej cyfry tu przytoczone dają pewną ilustrację. Stany Zjednoczone, skupienie Żydów nie o tak wiele od polskiego mniejsze, wysłało do Palestyny w tym samym czasie dwadzieścia trzy i pół razy mniej ludzi niż Polska, a jedenaście razy pieniędzy więcej.

Tak rzeczy te wyglądają naprawdę, niezbywane krotocwilami o tym, że ile razy jeden Żyd z Polski do Palestyny przyjeżdża, tyle razy dwóch innych czym prędzej z powrotem do niej jedzie. Tak wygląda i legenda o miliardowych sumach, jakie rokrocznie wysysa Palestyna z Polski. Zwykły nasz wywóz towarów do tego kraju, w którym bez osadnictwa syjonistycznego nie powstałby nigdy nowy rynek zbytu, przerasta o dużo te „miliardy”.

\*

Keren Kayemet i Keren Hayessod w swej długoletniej działalności, która odznaczała się tym, że w kraju stosunkowo bardzo małym, bardzo biednym, a o wielkich, jak dziś widzimy, możliwościach, obracała tak, że cele niehandlowe przeważały zawsze nad handlową kalkulacją, zrobiła w rezultacie, że obok kapitału prywatnego utworzył się kapitał filantropijno-społeczny o tak olbrzymiej stosunkowo do warunków kraju roli, że niepodobna jej porównywać do ról jakichkolwiek innych organizacji filantropijnych świata, działających w społeczeństwach i krajach dojrzałej cywilizacji.

Nad istniejącym tu (a raczej nieistniejącym) kapitałem prywatnym miał ów kapitał filantropijny ogromną przewagę: kolonie prywatne wyrosły z jego zapomóg i pożyczek. Dziś jednak Palestyna posiada spory obszar ziem osadnictwa żydowskiego, które egzystują niezależnie od poparcia z zewnątrz. Palestyna chaluców i kolektywów ma obok siebie Palestynę dawnych kolonii. Może najlepiej będzie je oglądać<sup>32</sup>.

## MALARIA I MILIONY

X., którego jestem gościem na jednej z najstarszych kolonii żydowskich, znanej nam już Petach Tikwy, należy najniewątpliwiej do typu zamożniejszych prywatnych kolonistów żydowskich. Osiadł tu jeszcze przed wojną, gdy dość silna fala osiedleńcza z Rosji, związana z pogromami i antysemityzmem, skłoniła go do emigracji. Opowiada dużo o ciężkich

<sup>31</sup> *quantité négligeable* (fr.) — ilość nieznaczna; ilość do pominięcia (zignorowania itp.). [przypis edytorski]

<sup>32</sup> *oglądać* — dziś popr. forma: obejrzeć. [przypis edytorski]

latach wojny, o napadach arabskich, w których zginął jego nieletni syn. Mniej chętnie wprowadza mnie w to, co mnie właściwie najwięcej interesuje, to jest w to, jak tu jest teraz. To samo było wczoraj w Rechoboth, to samo w Nesszionah. To samo jest mniej więcej we wszystkich prywatnych koloniach. Ludzie ci wiedzą, że jeżeli o Palestynie mówi się po świecie jako o kraju bez kryzysu, to o nich jako o bogaczach tego kraju. Niezbyt chętnie udzielają wyjaśnień o swym dobrobycie.

Krańce Petach Tikwy zajmują jeszcze niewielkie domy: dom mego kolonisty to właściwie duża willa. Ogrodu nie ma prawie wcale, nawet ogrodu warzywnego. Za to do jednej ze ścian domu formalnie przylegają drzewka pomarańczy. Kolonista X. ma wszystkie czterysta dunamów *pardesu*. Na warunki polskie jest to mały folwarczek o czterdziestu hektarach; właściciel jego nie ma już na posyłanie dzieci do gimnazjów. Jeden dunam, oczywiście uprawny i owocujący od lat, kosztuje tu do stu pięćdziesięciu funtów. Majątek kolonisty wynosi zatem sześćdziesiąt tysięcy funtów, czyli przeszło dwa miliony naszych złotych.

Mój gospodarz bardzo prosi, by o nim nic nie pisać, robi wszystko co można, by mi dać jak najmniej informacji, ale przecież! Opowiada, że syn kształcił się na politechnice w Berlinie, córka niedawno wróciła ze studiów na Zachodzie... Rzeczywiście mówi bardzo pięknie po francusku. Oglądamy pole sąsiednie. — Ładny *pardes* — powiadam. Mój gospodarz mówi, że jest na sprzedaż, i dorzuca: — No, ale cóż on za to, biedak, dostanie, to ledwo siedemdziesiąt dunamów, jakieś dwanaście tysięcy funtów... Jakieś dwanaście tysięcy funtów! Z taką nonszalancją o takiej sumie nie mówi w Polsce od lat najbogatszy obszarnik-ordynat... Potem pyta się o ceny ziemi na Wołyniu... Nie umiem go poinformować zbyt dokładnie, ale bardzo niedługo dochodzimy do wniosku, że stać by go było na ładnych parę tysięcy morgów.

Żyd jest mile zabawiony, oblicza sobie, że byłby w Polsce „takim samym panem jak hrabia Potocki”. Niestety, nie pamięta już dobrze, o jaki to majątek Potockich ukraińskich chodzi mu w tej chwili. Potem się reflektuje i mówi: „No, nie takim”. Przypomniały mi się nasze ziemiańskie stosunki i zapewniłem go, że jeszcze większym. Widać, że już dawno utracił wszelki kontakt z Wołyniem, bo wziął to za złośliwy żart.

Jest to bardzo ciekawy typ tych kolonistów, oczywiście kolonistów sprzed kilkunastu lat, ludzi, którzy się już dorobili. Typ zbliżony zapewne do typu dawnych kolonizatorów Ameryki, na których umysłowości odbiły się i trudy lat pierwszych, i bogactwo ostatnich. Są to ludzie przede wszystkim z natury oszczędni. Młode pokolenie wydaje już dużo, ma potrzeby zbliżone do potrzeb zamożnej młodzieży na Zachodzie. Oni — nie. Jest w nich pewne zadowolenie ludzi, którzy mogą sobie naprawdę powiedzieć, że poszli do tego kraju piachów z czystej idei, wbrew rozsądkowi, a dziś okazało się, że zrobili tysiąc razy mądrzej niż ich krewni i znajomi z Ukrainy sowieckiej. Ale jest w nich także i pewna twardość. Na każdym *pardesie* pracuje kilkunastu, kilkudziesięciu czasem robotników; praca wokoło kilkuset drzewek, które trzeba okopywać, nawadniać, obcinać, ma właściwie charakter bardziej ogrodniczy niż rolny. Otóż na tym polu miały miejsce ostre starcia. Obok młodego robotniczego elementu żydowskiego, *chaluców*, którzy dopiero z czasem mieli pójść na własną ziemię, zjawili się Arabowie o bardzo małych wymaganiach. Wśród kolonistów starego pokolenia objawiła się też skłonność do posługiwania się robotnikiem arabskim. Okazało się to jednak na dłużej niemożliwością; w Palestynie potęga syjonistycznej opinii publicznej poczęła likwidować tego rodzaju stan rzeczy, który by automatycznie zahamował wszelki dalszy napływ mas żydowskich do Palestyny. Za to poczęła się pojawiać nowa tendencja: obniżania płac robotnika żydowskiego. W chwili gdy byłem w Petach Tikwie, właśnie na tym — jak chcą niektórzy, na innym jeszcze — tle wybuchł strajk robotniczy.

Opowiadania o tym, jakoby na koloniach żydowskich pracowali Arabowie, Żydzi zaś byli jedynie bogatymi właścicielami, jest jednak bajką. Byłem we wszystkich większych koloniach, przejeździłem kraj autobusami, samochodem, zeszedłem piechotą, zwiedziłem bardzo dokładnie gospodarstwa kilkunastu kolonistów. Przeważającym, i to o du-<sup>33</sup>żo, elementem robotniczym jest żydowski. Arabski występuje wszędzie, najpowszechniej

Robotnik, Własność, Praca,  
Naród, Nacjonalizm,  
Pieniądz, Interes

<sup>33</sup>o duzo — dziś popr.: o wiele. [przypis edytorski]

niej jednak na pograniczu terytorium żydowskiego. Na ogół pewne wymieszanie się obu elementów. To samo ma miejsce przy robotach w mieście.

\*

Wieczorem kolonista X. rozgwarzył się na temat starych czasów. Moje ukraińskie, kresowe pochodzenie stanowiło jakby pewien zbliżający węzeł. Kolonista opowiadał o Petach Tikwie. Była to pierwsza z najpierwszych kolonii założonych w ogóle w Palestynie. Jeszcze w roku 1878 przybyło tu osiem osób. Petach Tikwa — Brama Nadziei — nazwali kolonię, założoną na pustynnym wzgórzu. Nie było tu nic. O kilometr wyszczerbione ruiny zamku krzyżowców czy Saracenów, Ras el Ein, dalej jeszcze wieś arabska na ruinach dawnej Antipatris, gdzie za czasów rzymskich więziony był św. Paweł, a w średniowieczu była stolica jednego z feudalnych hrabstw krzyżowców. Ruiny. Wszędzie niżej — bagna. Wielkie, malaryczne bagna. Bano się napadu Arabów. Ale Arabowie nie napadli. Przyszli, obejrzeni namioty. Odchodząc, mieli już nazwę dla przybyszów. *Wlat el din* — dzieci śmierci. W kilkanaście miesięcy później na wzgórzu, nazwanym Bramą Nadziei, nie było już nikogo. Rzędem świeciły kamienne, usypane mogiłki. Malaria.

Petach Tikwa żyła jednak w myślach nowych osadników. Po dwóch latach przyszło ich tu więcej. Osiedlili się. Arabowie tym razem byli mniej spokojni. Przyszło z nimi walczyć. W pole nikt nie szedł sam i bez broni. Nocami stróżowano przy ogniach. W dzień osuszano bagna. Osuszano gorączkowo, pośpiesznie. Malaria usypała nowe mogiłki na miejscu zapomnianych dawnych. Malaria — i jeszcze jakaś choroba, dziś znana tylko z owych starych opowiadań.

Malaria zwyciężyła raz jeszcze. Wymarły najpierw dzieci. Potem wymierać poczęły co słabsze kobiety, mężczyźni. Wreszcie dwóch ludzi pozostało na miejscu. Siedzieli jeszcze długo. Już nie osuszali bagien, byli za słabi. Czekali tylko, pisali listy do Jafy o nowych kolonistach. Tak samo prosi się na froncie o posiłki. Czekali wiele dłużej, niż się czeka w takich razach na froncie, ale niemniej czekali na próżno. Piechotę, gdzieś w 1886 roku, ostatni niedobitek opuścił Bramę Nadziei...

Właśnie bodaj niedługo potem fala rosyjskich gromów wyrzuciła do Palestyny całą masę Żydów. Powiedziano im w Jerozolimie o Petach Tikwa. Żydzi przyjęli propozycję. Powiedziano im, że malaria, że kolonizowano to dwa razy. Ludzie, którzy wyszli z rosyjskich pogromów, nie nastraszyli się jakoś malarii. Poszli. Podobno, że jeszcze gdy część rozbijała namioty, już reszta rowami odprowadzała bagno ku Ras el Ein.

Pasowanie się z bagnem trwało parę lat. Zrazu nie wiadomo było, czy nie ulegnie i trzecia Petach Tikwa. Dzieci marły jak przedtem. Arabowie patrzyli obojętnie na tych dziwnych ludzi, pchających się na puste moczary, gdzie wieczorami ściele się „biały całun Śmierci”. Ale Żydzi rosyjscy byli twardą, odporną rasą. Nie wymierali. Ściągnęli jeszcze nowych, swojaków, którzy gdzie indziej nie znaleźli miejsca. Moczar odsuwał się coraz dalej. Potem poczęto sadzić pomarańcze. Już tylko napaści arabskie były wrogiem kolonistów. Wieczorami czerwone światełka w polu, na wydmach czerwonego, padesowego piasku, pod Antipatris, w Ras el Ein, znaczyły linię demarkacyjną starych osad, patrzących nieprzyjaźnie na nowego intruza, który tymczasem rósł w białe domy i w młode, zielone drzewa.

Petach Tikwa była zdobyta.

\*

Opowiadał mi to człowiek, który nic a nic nie miał w sobie z daru opowiadania. Słuchałem tego o narodzie co najmniej mi obcym, dalekim swoją historią, religią, polityką, rasą, wplątany w dziwnym losów wypadkiem w nurt historii mego kraju. Zarząd tej samej kolonii tego samego jeszcze rana przyjął mnie niegościnnie. Przyzwyczaiłem się do widzenia tych ludzi w świetle rozmaitego rodzaju. Wyszliśmy byli właśnie na rynek Petach Tikwy i czekaliśmy na autobus powrotny do Tel Awiwu. Było już po pracy w polu, było pełno ludzi w mieście. Absolutnie nic nie przypominało tych czasów, tamtych czasów. Aż się wydawało dziwne, że to wszystko to nie był wcale jakiś zły sen kolonistów.

Polak, Żyd, Polska,  
Historia, Obcy

A jednak doprawdy miałem wtedy chyba takie właśnie uczucie, jakie musi mieć jakiś archeolog, gdy natrafi na dochowany zapomniany fragment nieznanego ludzemu epopei.

## HISTADRUTH HAOWDIM

Na ścianie przeciwległego domu, w bieli osłonecznionej południem ściany ostro kładzie się kontur kilku palm.

— *Socjalistycznoje stroitelstwo. Podgotowka. Dwiżenie. Kolektiwnyje choziajstwa. Borba klass. Wopros. Trudiaszczysia mir*<sup>34</sup>.

Twardo, obco, surowo pada, rąbie to całe słownictwo bolszewickiej Rosji. Młody człowiek za biurkiem rozkłada ręce w geście, rzuca je wiecowo, pasąc się każdym dźwiękiem. Przez głowę, nachyloną nad notatnikiem dziennikarskim, przechodzi mi, że jak język łaciński stał się mową uczonych, jak francuski mową feudalnego i burżuazyjnego świata, tak ten nowy język rosyjski staje się międzynarodowym, jeśli nie językiem, to słownictwem socjalistycznego świata i jego elity. Dwóch Polaków, dziennikarz Łotysz, działacz lewicowy rumuński, Amerykanin, który był w Rosji, wszyscy oto słuchamy referatu informacyjnego o budowie Palestyny socjalistycznej jako państwa nowego, przyszłego, socjalistycznego ustroju. Nasz informator rozkłada oto przed nami wszystkie ruaże tej Palestyny, o której wie się najmniej. To nie mówi załęczniony konspiratorek komunistyczny, który boi się, że przymknie go policja, a „inspektor” z Mińska wykryje, że w komkasiu brak od maja paru tysięcy „prywatnie zużytkowanych” złotych, to nie mówi zgryźliwy jegomość, przepędzony z synekurki w Kasie Chorych, to nie mówi snobujący na komsomoła młodzieniec, pewny siebie, bo mający cały swój komunizm ubezpieczony w stu procentach należeniem do hurraprorządowej, bacznośćpaństwotwórczej organizacji. Przez tego człowieka mówi radość tworzenia rzeczywistego, w które wierzy, tworzenia teraz, już, właśnie, w jego słowach pulsuje świadomość, że mówi *ex cathedra*<sup>35</sup> wielkiej w tym kraju potęgi, groźnej i błogosławionej w nim mocy: Organizacji Robotniczej Palestyny, określanej potocznie dwoma pierwszymi słowami swej nazwy: Histadruth Haowdim.

Na dwieście tysięcy Żydów, jacy zamieszkują Palestynę, robotnikami jest czterdzieści pięć tysięcy. Jedna czwarta ludności tego kraju to ludność robotnicza. Na tych czterdzieści pięć tysięcy — należących do Histadruthu jest trzydzieści siedem. Ale Histadruth to nie tylko związek zawodowy. Histadruth rozbudował się w bardzo ciekawy organizacyjny system, system przypominający ogromnie... amerykańskie metody trustowe. Jak tam jeden trust wykupywał portfele akcyjne mniejszych zakładów i opanowując je *de facto* pozostawiał im nominalną samodzielność, dbając tylko, by szły w kierunku jego interesu, tak tu Histadruth bądź utworzył uzależnione od siebie, współdziałające organizacje, bądź opanował pokrewne. Obok Histadruthu rozrosła się taka „Tnuwa”, wielka spółdzielnia mleczarsko-drobiowa, która scentralizowała w swym ręku cały handel tymi produktami, podzieliła kraj po prostu administracyjnie na obwody, dystrykty, ze stolicą ogólną w Tel Awiwie. Rozrosła się dziś i na handel zagraniczny, i na takie produkty, jak miód, jarzyny, konfitury itd. Jej obroty w roku 1924 wynosiły dwadzieścia dwa tysiące funtów. Dwa lata temu doszły były do stu czterdziestu siedmiu tysięcy.

W ręku Histadruthu jest dalej Bank Robotniczy z kapitałem stu dziesięciu tysięcy funtów, są organizacje oświatowe i kulturalne, jest Kasa Chorych, jest wydział dla budownictwa robotniczego, jest wielka organizacja sportowa Hapoel, jest — podobno najwięcej nakładu mający (w samym Histadrucie podano mi cyfrę nakładu dziennego na dwanaście tysięcy, w administracji pisma na dziewięć tysięcy) — w każdym razie bardzo poczytny organ prasowy palestyński „Dawar”. W ręku Histadruthu w tej czy innej formie, mniejsza o formę, jest cały szereg instytucji i organizacji, z całą siecią placówek, ze sprawnym aparatem pracowniczym, z dużymi pieniędzmi. Histadruth jest w rzeczy samej potęgą. Muszą się z nim liczyć koloniści prywatni i ciężcy bardzo ich pracy. Reguluje po prostu dopływ robotników do danych miejscowości, organizuje strajki z precyzyjnością

<sup>34</sup>*Socjalistycznoje stroitelstwo. Podgotowka. Dwiżenie. Kolektiwnyje choziajstwa. Borba klass. Wopros. Trudiaszczysia mir* (z ros.) — Budownictwo socjalistyczne. (...) Przygotowanie. Ruch. Gospodarstwo kolektywne. Walka klas. Pytanie. Świat ludzi pracy. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*ex cathedra* (łac.) — dosł. z katedry (uniwersyteckiej); po profesorsku, apodyktycznie. [przypis edytorski]

Słowo, Idealista

Robotnik, Praca, Walka,  
Siła, Polityka, Idealista,  
Realista

i bezwzględnością, która łączy się zresztą zawsze z bardzo sprytną spekulacją strajkową: ci ludzie nigdy nie urządzą strajku na „było, nie było”, na „pokażmy, co umiemy”, strajku, który jest skazany na załamanie, bo wywołała go czysto polityczna fantazja panów wodzów. My z pojęciem „strajk” łączymy coś wojowniczego, rewolucyjnego, w pewnym sensie bohaterskiego nawet. Dla tych ludzi jest to zupełnie prozaiczny, praktyczny, techniczny środek. Dziś, gdy jednym z kryzysów, jaki przeżywamy, jest niewątpliwie i kryzys socjalizmu (nie wchodzę oczywiście w to, czy jest przejściowy, czy nastąpił z tych czy innych przyczyn, biorę pod uwagę takie fakty, jak zwycięstwo faszyzmu, jak dziwne korzenie się sponiewieranej socjaldemokracji niemieckiej przed Hitlerem, jak stan rzeczy w Austrii, Polsce, zwrot MacDonalda, krach australijski), socjalizm palestyński może stoi u końca swego zenitu, ale nawet ci, co tak sądzą, nie mogą zaprzeczyć, że umiał bardzo małymi środkami zdobyć sobie bardzo wielkie stanowisko i że z tego stanowiska czynił użytek na rzecz mas robotniczych palestyńskich. Można nie wierzyć w jego formułę rozwiązania kwestii arabskiej, ale nie sposób zaprzeczyć, że jest to formuła w wielkim stylu, że jest rzeczywiście realizowana, że więc partia przejmuje poniekąd zagadnienie, obejmujące swą ważnością już nie klasową, lecz ogólnie narodową sprawę. Na ostatek trzeba przyznać, że w uregulowaniu swego stosunku do bogatych kolonistów wykazuje dużo zrozumienia tych korzyści, jakie kraj ten czerpie z posiadania bogatego rolnictwa. Socjalizm palestyński jest socjalizmem w stu procentach: przeprowadza duże reformy, buduje kraj w całym tego słowa sensie, jest radykalny, tworzy komuny rolne. A jednak... A jednak, gdyby chodziło o odratowanie naszego rolnictwa, nie życzyłbym mu innego rządu, jak inspirującego się socjalizmem palestyńskim.

W godłach organizacji sportowej socjalistycznej widnieje sierp i młot. Nie są to bodaj akcesoria żadnego ze znanych mi sportów. Sierp i młot — wygląda na modę co najmniej z lekka sowiecką. Jednym z gmachów Histadruthu w Tel Awiwie jest „czerwony dom”. I to również nie jest bardzo „prawo”. Sportowcy socjalistyczni nie grają w ogóle z Makkabi, gdyż Makkabi jest klubem burżuazyjnym i oczywiście proletariat nie może mieć z nim żadnych towarzyskich stosunków. Komuny rolne, które powszechnie nazywa się z hebrajska kibucami i kwucami, tu nazywa mój mówiący po rosyjsku socjalista kolektywami. Podkreśla, że dzieci od pierwszego dnia urodzenia oddziela się od matki i przenosi się do osobnego domu, że wychowywane są „kolektywnie”, że należą do kolektywu, nie do rodziców. Podkreśla — wciąż patrząc na mnie, wciąż z taką siłą socjalistycznego wyrazu, wciąż tak jak ksiądz mówiący o wielkim religijnym dogmacie — że w kibucach wszystko jest wspólne — aż do ubrań. Aż do ubrań.

Socjalizm...

Jesteśmy w innym pokoju, ale i tu brzmi mowa rosyjska. Znowu szybko, zwięźle, twardo. Znowu tak to jakoś nie pasuje z gorącą miękkością widnego z okien półtropikalnego ogrodu...

Dla czterdziestu pięciu tysięcy robotników palestyńskich, dla wstępujących do Histadruthu robotników arabskich, dla dalszych mas proletariatu żydowskiego, który Anglicy do Ziemi Izraela przepuszczają — Histadruth Haowdim buduje dach nad głową, wznosi socjalistyczne, robotnicze dzielnice, osiedla, domy...!

I oto:

— Do 1931 roku zbudowano pomieszczenia dla trzech tysięcy rodzin...

(Pochylony nad notatnikiem zapisuję. Zapisuję szybko, stenograficznie, bez czasu na myślenie... Aż nagle coś mnie odrywa).

— ...rodzin??

— *Da, famielij*<sup>36</sup> — odpowiada informator. — *Famielij.*

(Dziwi się memu pytaniu. Czyżbym nie dosłyszał? Nie. Słyszałem. Dlaczegoż to proste, zwyczajne takie słowo „rodzina” zabrzmiało wśród tamtych słów sowieckich tak jakoś, jakbym się przesłyszały pomylił...?)

I słyszę:

<sup>36</sup>*Da, famielij* (z ros., fonetycznie) — Tak, rodzin. [przypis edytorski]

— ...w jednym tylko 1931 roku stanęło nowych domów na siedem tysięcy *rodzin*. Wszystko na ziemi Keren Kayemetu...

(Nie, to aż śmieszne. Znowu mnie to słowo „rodzina” zdziwiło. I nawet mój informator wymówił je jakoś jakby mniej pewnie).

— ...budujemy ich trzy typy:

1) Bloki — sto dwadzieścia mieszkań, przeważnie: kuchnia, dwa pokoje, balkon, łazienka. Także większe mieszkania. Wszystko kooperatywy.

2) Już nie w mieście, lecz na peryferiach. Każdy dom dla siebie, małe osobne domy, z ogródkami, czterysta metrów kwadratowych.

3) O trzy kilometry od miasta. Każdy dom z większym, tysiąc-dwa tysiące metrów kwadratowych, ogrodem. Też domy małe, odrębne, dla rodziny.

4) Kolektywne domy: każda rodzina jeden pokój, dzieci mieszkają razem, osobno od rodziców, wspólna kuchnia, wspólne ubrania...

Mój informator urywa. Zadaję pytanie:

— Jakiego typu domów najwięcej się buduje?

Odpowiedź była krótka: najmniej typu czwartego. Obecnie istnieje tylko jeden taki, w Ramath Rachel, na osiemdziesiąt rodzin. W Hajfie ma stanąć na sto pięćdziesiąt. *Najwięcej buduje się typu drugiego i trzeciego*. Ni mniej, ni więcej tylko cała dzielnica w Tel Awiwie, osiedle w Jerozolimie, całe osiedle w Hajfie. W takim np. Schechuwath Borochow już mieszka w tych niewielkich domach dwieście rodzin, niebawem przybędzie sto czterdzieści. W Hajfie mieszka już ich sto osiemdziesiąt, w budowie na dalszych dwięście...

Ach, więc tak?

I naraz, w jednej chwili, wszystko się zmienia. Z tym jednym „Ach, więc tak?”. Jeżeli przedtem panowie z Histadruth Haowdim zasypywali mnie jak gradem kul tym całym słownictwem i frazeologią rewolucyjną — to teraz zwija się ta cała ofensywa, teraz po prostu ją przechodzę do ataku.

Choć kryje się on w pytaniach, refleksjach, ciekawości.

— Zatem, jak mi panowie mówią, z czterech typów budownictwa robotniczego Histadruthu typem najmniej stosowanym jest typ czwarty??

(Nie. Wcale się nie mylę. Mój czerwony rozmówca odczuł *także* to pytanie jako atak. Gdzieś się załamała cała jego swada, cała bezpośredniość, cała lotność jego odpowiedzi).

— Tak — odpowiada — istotnie.

— A za to — podkreślam owo „za to” — typem najbardziej przez was — podkreślam owo „przez was” — budowanym jest typ drugi i trzeci??

— Tak. Tak jest.

W owych twierdzeniach ścisza się cała bezsila człowieka, co chwilę temu szedł na mnie z pełnymi rękoma argumentów, a teraz wypadły mu z nich wszystkie. Jest zbyt silny, by nadrabiać i negować.

A teraz „cichym szyćchem”:

— Jeżeli dobrze zrozumiałem te cenne informacje, jakie panowie zechcieli mi dać, to owym zarzuconym „typem czwartym” są domy-wspólnoty, nieznające pojęcia odrębnych mieszkań dla rodziny, stanowiące kolektyw, gdzie wspólnymi są dzieci i ubrania, kuchnia, jadalnia, gdzie każdy (każda) ma tylko osobny pokój względnie miejsce. Zaś typy drugi i trzeci — to domy jednostkowe, dla rodziny, zupełnie odrębne, nawet z własnym ogrodem i stanowiące najzupełniej własność prywatną. Coś jakby wille dla robotników.

Trzeba się wczuć w tę atmosferę marksowską, która tu wisi, by zrozumieć, ile zabawnej a istotnej prowokacji brzmi w zestawieniu tych niewinnych słów: „wille dla robotników”.

Ale i teraz mój rozmówca nie przeczy. Nie może przeczyć.

I ostateczny atak:

— Histadruth Haowdim, Organizacja Robotnicza Palestyny, buduje nowy socjalistyczny ustrój. Prawda? Stawianie domów-kolektywów jest oczywiście tańsze niż budowanie całych osiedli małych domków. Dom-kolektyw — o ile mnie moja znajomość socjalizmu nie zawodzi — jest tworem bardziej postępowym, bardziej dostosowanym do przyszłego, kolektywnego ustroju — niż prywatne, indywidualne domy, ów znany cel marzeń naszych małych urzędników, nauczycieli itp. — świata. Panowie zaś, potężna

Robotnik, Dom,  
Przemiana, Własność,  
Idealista, Realista, Szczyście



organizacja socjalistyczna, zamiast przeprowadzać masy robotnicze do ustroju socjalistycznego, przeprowadzacie je do tego życiowego, praktycznego ideału, którym jest świat drobnego kapitalizmu. Panowie z tych mas, którymi przy waszych środkach możecie dowolnie kierować, tworzycie po prostu ów tak potępiany przez marksizm świat drobnej burżuazji.

Ciężko, ogromnie ciężko wali to rozumowanie w mych informatorów z Histadruthu. Trzeba być socjalistą, by pojąć jak ciężko. Istotnie. — Organizacja socjalistyczna, jedna z najsilniejszych na świecie, pracująca nad upodobnieniem życiowych ideałów proletariatu do życiowych ideałów drobnej burżuazji! Po cóż wobec tego ta komedia, że drużyna piłkarska Hapoel nie rozegra meczu z drużyną piłkarską Makkabi, bo Makkabi jest związkiem sportowym burżuazyjnym, gdy Hapoel proletariackim, a zatem utrzymywanie stosunków z Makkabi byłoby zdradą własnej klasy, zacieraniem koniecznych do przestrzegania, odwiecznych, dogmatycznych różnic między burżuazją a proletariatem? Po cóż, jeżeli na odcinku tysiąc razy ważniejszym od boiska sportowego uprzystępnia się proletariatowi życie tak jak burżuazji, uwłasnościawia się go, zamiast by on ubezwłasnościawiał innych, zbliża go do małego urzędnika, lekarza powiatowego, subiekta, sklepikarza. I pomyśleć, że to wszystko robi i temu wszystkiemu patronuje nie kto inny jak socjalistyczna, robotnicza organizacja!

— Więc, proszę panów...?

Jest to już ostatnie pytanie, jakie zadam. Jest to jakby ostatni strzał w tej dyskusji, która toczyła się samymi pytaniami, która nigdy nie wkraczała w ataki wprost. Nie spodziałem się też, że usłyszę jeszcze prawdziwy, realny argument. Tęgo argumentu nie ma. Ale spodziewam się, że usłyszę typowy, tak częsty wykręt. Że bynajmniej zbudowanie jednego wielkiego domu zamiast kilkadziesiątu małych nie jest tańsze... Że robotnik posiadający własny dom nie odchodzi bynajmniej od marksistowskich ideałów... Że przez to jeszcze nie cuchnie burżuazyzmem... — Spodziewam się, liczę na te wykręty, na to kluczenie, na to wymigiwanie się przed oczywistością przełamania doktryny, w którą się wierzy.

Już przede mną nie ma człowieka, który mówi szybko, by zdążyć w krótkiej odpowiedzi wyrzucić z siebie cały arsenał swych argumentów. Już przede mną nie siedzi i nie peroruje ktoś, komu wprost uciechę sprawia miażdżenie niesocjalistycznego audytorium całą krasotą i krasnotą<sup>37</sup> sowieckiej terminologii. Ale w tej bezradności człowieka, wychodzącego bezbronnym z okopów, jest coś, co nagle sprawia, że ginie gdzieś mój, już gotowy, ironiczny uśmiech.

Człowiek ten mówi:

— Proszę pana. *Robotnicy nasi chcą mieszkać właśnie tak.* My uważamy, że są w błędzie. *My uważamy, że te ideały są sprzeczne z socjalizmem. Ale zadaniem naszym bardziej jeszcze niż budowanie socjalistycznego ustroju jest realizacja szczęścia proletariatu.* Szczęście jest takim, jakim je kto pojmuje. Więc budujemy im te, jak pan powiedział, wille dla robotników.

W ustach, które mówiły „kolektyw”, jak więzień mówi „wolność”, słowo „willa” brzmi zgaszanie<sup>38</sup>. Dla ideowego socjalisty przyznać nie tylko, że robotnicy sami marzą o takim burżuazyjnym szczęściu, ale jeszcze że organizacja *socjalistyczna* właśnie *im to ułatwia*, brzmi jak kapitulacja. I jest kapitulacją w stu procentach. Czuję, że tak to rozumie ten człowiek. I że myśli: psiakrew, pokonali nas.

Ja zaś wcale tak nie myślę. Wcale, wcale, wcale. Po raz pierwszy w ciągu mych rozmów w Histadrucie jestem naprawdę pokonany. Pokonany jako człowiek, który może socjalizm traktować dziennikarsko lojalnie, ale który jako człowiek, acz zgoła, o zgoła, nie „kapitalista”, ma odrazę do czerezwyczajowego<sup>39</sup> skoszarowania społeczeństwa, jak

<sup>37</sup> *krasota i krasnota* (z ros.) — piękno i czerwień. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> *zgaszenie* — znaczenie przysłówkowe: w sposób zgaszony, przygaszony. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *czerezwyczajowy* — w stylu właściwym radzieckiej policji politycznej; przymiotnik od: *czerezwyczajka*, pot. rozwinięcie ros. akronimu CzeKa: *Czriezwyczajnaja Komisija*, tzn. komisja nadzwyczajna (pełna nazwa: *Wstierosijskaja czriezwyczajnaja komissija po bor'bie s kontrriewolucyjnej i sabotażom*, czyli: Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem); był to organ władzy w Związku Radzieckim powołany, by chronić bezpieczeństwo państwa, w istocie odpowiedzialny za represje polityczne i zbrodnie rządu bolszewickiego. Czerezwyczajka brutalnie zwalczała przeciwników politycznych określanych mianem „wrogów ludu”, przedstawicieli ziemiaństwa i przemysłowców (osoby „obce klasowo”) oraz duchowieństwo. W latach

ktoś, który więcej Rosji sowieckiej widział, niż inni o niej czytali. Jestem pokonany, choć, że tak właśnie jest, ani na moment nie spodziewa się mój rozmówca.

Wstajemy. Trzeba iść i rzec to:

— Jeszcze raz bardzo panu dziękuję. To, co słyszałem, i to, co widziałem, jest dla mnie imponujące. W stosunku do socjalizmu mam sympatie, ale i zastrzeżenia. Tym więcej niech dla panów znaczy, jeżeli może znaczyć, to wyznanie.

Socjalista jakby się wahał.

— A wie pan dlaczego? To nie tylko dlatego, że bez takiego ustawodawstwa socjalnego jak w innych państwach, bez pomocy rządu lewicowego jak gdzie indziej, zrobiliście tyle. To dlatego, że jako niesocjalista stwierdzam, że realizujecie naprawdę szczęście czterdziestopięcioletniej masy robotniczej. Naprawdę i wbrew wszystkiemu. Gdy trzeba, to nawet — wbrew własnej doktrynie.

## JAK KAMIENIE PRZEZ BOGA RZUCANE NA SZANIEC

Okurzony autobus palestyński wyrzucił nas w źle skleconym skupieniu kilkudziesięciu domów i baraków, na stepowej, gdyby nie w dwa pasy gór ujętej, równinie. „Miasto” przypominać musi przepręgowe postoje z epoki dylizansu. Niemniej jest już miastem, będzie trzecim nowym miastem Palestyny: w Afuli<sup>40</sup> krzyżują się bowiem drogi z Tel Awiwu do Hajfy i z Hajfy do doliny Jordanu, do centrali elektrycznej Rutenberga. Wreszcie Afula jest punktem środkowym Emek Izrael. Dolina Izraela, szeroka, od Hajfy ku Jordanowi spadająca dolina kilkudziesięciu wielkich osiedli rolniczych, nie posiada miasta. Afula wyrośnie na tym wyrosłym przed nią zapleczu, podobnie jak Tel Awiw wyrósł na koloniach padesowych swej okolicy.

Są to dopiero rzeczy, które będą, a nim one będą, idziemy oto szosą przez pola, gdzie nie widać jak pod Jafą gai pomarańczowych, a tylko rosną zielone i niskie, niższe niż u nas, zboża. Mój towarzysz cieszy się nimi, tak jakbyśmy cieszyli się w Polsce winnicami, jak tu ludzie cieszą się każdym wybudowanym domem, drzewem zasadzonym na moczarze, kilometrem szosy oddanym do użytku. Jeżeli tam pod Jafą było bogactwo Palestyny, to tu jest jej spichlerz. Mój towarzysz jest młodym Żydem z Polski, byłym nauczycielem szkoły powszechnej w jakimś Różanie, nazywa się Lejb Buchner. Należy od lat do radykalnie lewicowej partii Haszomer Hazair<sup>41</sup>, od kilku miesięcy pracuje w kibucu pod Hederą. Emeku jeszcze nie znał. Wybraliśmy się więc razem, by przejść piechotą w kilkudniowej wycieczce tych kilkadziesiąt kilometrów kraju kolektywów, aż po Jordan, aż po najstarsze rolne kolektywy żydowskie nad Tyberiadą. I patrzeć.

\*

Gdyśmy weszli na wielki podwórzec kibucu Merhawia, mogła być czwarta po południu i niemal wszyscy byli w polu. Czworobok podwórza zamknięty był z trzech stron budynkami. Przed nami trzy domy mieszkalne o ładnych zielonych okiennicach na tle żółtych ścian. Po lewej naszej ręce duże, stare, nieco zaniedbane nawet, budynki gospodarcze. Za naszymi plecami trzeci rząd budynków stanowiły kuchnia, spiżarnia, wielka wspólna jadalnia, umywalnia. Stąd wszystko przypominało zamożniejszy dworski folwark w Polsce. Tylko w środku podwórza wielka wieża, na czterech betonowych słupach, ze zbiornikiem wody u szczytu, robiła wrażenie trochę miejskie, trochę egzotyczne.

Ale tymczasem nadszedł młody robotnik i Buchner zapytał go o Meira Jarięgo. Jari, wiedziałem już, to chluba Merhawii. Merhawia należy do kilku kibuców, które są we władaniu, powiedzmy: pod wpływem, owej lewicowej partii Haszomer Hazair. Jari jest

1917–1926 na czele CzeKa stał *Feliks Dzierżyński* (1877–1926), odpowiedzialny za szczególnie krwawy terror. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*Afula* (hebr. אפולה, arab. أفلاها: al-‘Afulah) — miasto w Izraelu, położone w Dystrykcie Północnym, w Dolinie Jezreel; ważny ośrodek przemysłowy Dolnej Galilei (produkcja obejmuje tu najróżniejsze gałęzie przemysłu, od produkcji ogniw solarnych, przez meble, po uprawę przypraw spożywczych). [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*Haszomer Hazair*, właśc. *Ha-Szomer Ha-Cair* (hebr. חסומר הציר: Młody Strażnik) — międzynarodowa żydowska organizacja młodzieżowa, część Światowej Organizacji Syjonistycznej, powstała w 1916 r. w Wiedniu z połączenia ruchu Ceirej Cijon (sieć kółek samokształceniowych, m.in. prowadzących lekcje hebrajskiego) oraz organizacji typu skautowskiego *Ha-Szomer „Strażnik”* (wśród kilkunastoosobowej grupie założycielskiej znalazł się m.in. Janusz Korczak, tj. Henryk Goldszmit). [przypis edytorski]

jednym z jej duchowych przywódców i tu pracuje. Nie ma go jednak jeszcze; jest w tym tygodniu fornalem i wróci z pola może za godzinę. Robotnik oprowadza nas sam, jest już wolny. Pokazuje dużą, betonowaną i z nowoczesnym ustawieniem żłobów oborę. Krowy są rasy miejscowej, damasceńskiej, skrzyżowanej z holenderską. Czterdzieści pięć krów Merhawii daje dziennie około pięciuset litrów mleka. Już na miejscu przerabia się je na sery i masło, podobnie jak mleko paruset owiec. Mleczarnia i serownia nie robią wrażenia specjalnie nowoczesnych, za to są bardzo czyste, wygląda to raczej solidnie i nie na pokaz. Za nimi oglądamy kilka wielkich kurników z inkubatorami. Te są urządzone — o ile się mogę zorientować — rzeczywiście wzorowo. Obok kilka nowych w budowie. Gospodarstwo mleczne i drób, objaśniają mnie razem Buchner i nasz robotnik, stanowią najbardziej dochodową gałąź gospodarczą. Kur będzie niebawem do tysiąca trzystu. W związku z rozwojem miast gospodarstwo mleczne i drób może zawsze liczyć na zbyt.

Byliśmy już koło domów mieszkalnych, obszedłszy obejście, gdy spotkaliśmy Meira<sup>42</sup>. Mył się właśnie i przebierał, jak przebierają się tu wszyscy kibucnicy, wróciwszy wieczorem z pola. Był to tęgi, turowato zbudowany mężczyzna, wyglądający dużo starszej od spotykanych już w czasie naszego obchodzenia Merhawii innych, chyba nie więcej jak po dwadzieścia lat mających robotników. Przypominał typ robotniczego działacza z Zagłębia, oczywiście działacza wyszłego z fabryki, nie inteligenckiego pętaka. Byłem ciekaw tego człowieka, ciekaw, co powie ten służący za fornala działacz, ten członek „parlamentu” palestyńskich Żydów, o którym słyszałem wiele, a który siedzi ot w takiej Merhawii i powozi. Ale Meir, gdy otworzył usta, to było po to, żeby mnie poinformować, że na 2625 dunamów Merhawia posiada przeszło 2200 pod rolą, 80 dunamów młodego padesu, coś koło tego, nie mniej, młodej winnicy, sadu, ogrodu warzywnego.

Podeszliśmy byli do owego zbiornika wody, stojącego w środku dziedzińca. Meir mówił, jak ta woda musi być przeprowadzana z miejsc odległych stąd, jak zbiornik zastępuje studnię, jak jednak brak wody do nawadniania pól daje się kibucowi odczuwać. Potem opowiadał, jak temu blisko osiem lat przybył z zawiązkiem obecnego kibucu z Rzeszowa. Jak pracowali na szosie i w mieście, i na roli u kolonistów prywatnych, jak potem rozchwiała się założona przez kooperatystów Merhawia i im oddano wówczas kolonię wyposażoną już w budynki i część inwentarza. Ale resztę dokupili sobie sami. Meir pokazuje mi traktory, dar Keren Hayessodu, i wielki „kombajn”, amerykańską żniwiarkę; kosztowała tysiąc osiemset dolarów, a po dwóch latach wróciła już prawie dwie trzecie tej sumy. Jest to znakomita maszyna, tak dobrej nie ma wiele innych, młodszych, mniej zamożnych kibuców. Merhawia oszczędzała na budowie domów, budynków, dzięki temu mogła sobie na to pozwolić. Inwestycje Keren Hayessodu wynosiły 7362 funty szterlingi. Oznacza to, że na jeden hektar gruntu przypada około ośmiuset złotych inwestycji inwentarzowych.

Na tych dwustu sześćdziesięciu hektarach żyje pięćdziesięcioro sześcioro dorosłych i kilkanaścioro dzieci. Właśnie jesteśmy w ich domu. Jasne pokoiki dziecinne, białe łóżeczka, małe mebelki. Nad każdym pochylona matka; praca już się skończyła, a gdy praca się kończy, wszyscy rodzice przychodzą odwiedzić dzieci. Niesłuchanie mnie uderza jedno: typ tych dzieci. Wszystko niemal są to płowe jak len czuprynki i modre słowiańskie oczy. Można by je łatwo wziąć za dzieci niemieckie, z północy, z Meklemburga czy Prus. Niezmiernie dziwna przemiana. Jednocześnie, przyglądając się nachylonym nad pociechami rodzicom, spostrzegam, że i ci są naprawdę jacyś inni fizycznie od typów żydowskich z diaspory. Działa tu może opalenie, praca fizyczna, zmiana klimatu. Co by jednak nie działało, ci ludzie zmienili się ogromnie od owego czasu, gdy opuścili Tarnowy, Rzeszowy i Jasła.

<sup>42</sup>Jaari, Meir a. Me'ir Ja'ari, właśc. Meir Wald (1897–1987) — aktywista Ha-Szomer ha-Cair, syjonistyczno-socjalistycznego ruchu młodzieżowego. Meir Jaari urodził się w Kańczudzie na Podgórzu Rzeszowskim. W czasie I wojny światowej przeniósł się z rodziną do Wiednia. Jako 17-latek zgłosił się na ochotnika do armii austriackiej i służył w niej do końca wojny. Studiował na Akademii Rolniczej. W tym czasie był jednym ze współzałożycieli wiedeńskiego gniazda Ha-Szomer ha-Cair. W 1920 r. wyemigrował do Palestyny. Pracował fizycznie przy budowie dróg oraz aktywnie organizował działalność Ha-Szomer ha-Cair. Od 1924 r. pełnił funkcję sekretarza generalnego Ha-Szomer ha-Cair. W 1929 r. był jednym z założycieli kibucu Merchawja, w którym mieszkał do końca życia. Jaari był przywódcą izraelskiej lewicy, w 1948 r. współtworzył partię Mapam. Przez siedem kadencji zasiadał w Knesecie z ramienia partii Mapam a po 1969 r. koalicji Ha-Maarach. Jaari był działaczem Związku Żydów Rzeszowa w Izraelu. [przypis edytorski]

Średniej wielkości pokoiki są zalane ostatnimi blaskami zachodu. Są bardzo czyste. Są przytulne. Kwiaty na oknach, obok łóżek tapczany z masą haftowanych „salonowych” poduszek. Fotografie. Najczęściej fotografie dzieci. Taki pokój to mieszkanie. Każda rodzina („rodzina” oznacza tu małżeństwo) posiada taki pokój. „Wolni” (jest ich niewielu) mieszkają po dwóch, trzech w jednym pokoju.

Na samym rogu ostatniego domu, na przyzbie siedzi stary Żyd. Mówi po polsku lepiej niż po hebrajsku. Buchner mnie objaśnia: w wielu kibucach już zagospodarowanych posprowadzano sobie swych starych rodziców z Polski. Siedzą oni tak w kibucach i żyją na łaskawym chlebie. Ten to jeden z takich. Wchodzimy do jego mieszkania, stara Żydówka pyta nas o Tłumacz i Trembowłę. Jak wszyscy niemal w Merhawii, i ona jest z Małopolski. W pokoju tych dwojga starych, których dzieci wróciły do Ziemi Obiecanej, stoi blaszany, siedmioramienny, liturgiczny świecznik...

Było już ciemno, gdyśmy przeszli do jadalni i rozsiedli się na ławach, idących wzdłuż ścian i za stołami. Podano jakąś słodką potrawę z ryby, gorącą sytną zupę, pieczeń z dużą ilością jarzyn i oliwek. Przy nas rozsiedli się kibucnicy. To, co uderzało przede wszystkim i jeszcze raz, to to, że wszyscy wyglądali młodo. Bardzo niewielu tylko można by było dać więcej niż lat trzydzieści. Poza jednym chyba Jarim. Jednocześnie nie można było jednak powiedzieć, by nawet najmłodszy wyglądał na to, co się u nas może niesalonowo, ale trafie określa mianem smarkacza. Wszyscy świeżo (był to wieczór przedśobotni) zafasowali byli czyste ubrania ze wspólnej szatni.

Pijemy jeszcze herbatę, gdy rozpoczyna się *meeting*. Korzystając z tego, że jutro święto, urządzono wieczór dyskusyjny, poświęcony, jak mnie informują, rewizjonizmowi. Rewizjonizm, żydowski faszyzm, objaśnia mnie pokrótce nieoceniony Buchner, zrobił ostatnio duże postępy w diasporze, zanoszą się nawet na nie mniej znaczne w Palestynie... Rozumiem, że ta sprawa musi obchodzić kibuc, który pozostaje pod wpływem socjalistycznego Haszomer Hazair. Prelegentem jest Praji. Jest to również jeden ze starszych, ale zupełnie różny od Meira Jariego. Ma głowę typowego doktrynera, człowieka, który czuje się najmocniej w dyskusji, w teoretycznym zmaganiu poglądów. Widać, że dyskutowanie jest jego pasją. Praji mówi, ja zaś mam już pomoc sąsiadów z prawa i lewa, którzy mi w skrótach tłumaczą referat. Mały Buchner oparł głowę i uważa pilnie; też mi to zreferuje.

Ale na razie słyszę słowa jak „faszyzm”, jak „Mussolini”, jak „Hitler”, jak wreszcie „Polania”. Dzięki uczynności sąsiadów mogę śledzić sens hebrajskiej mowy. Jest on mniej więcej ten: kryzys wywołał na świecie wzrost tendencji reakcyjnych, faszystowskich. Każdy faszyzm — dowodzi Praji — jest związany z antysemityzmem. W tym miejscu ma mówca niezły orzech do zgryzienia: a Włochy chociażby? Tłumaczy zatem, że Włochy stanowią wyjątek, że dobre współzycie Mussoliniego z Żydami ułożyło się dzięki temu, że tam sytuacja przed przyjściem faszyzmu była mniej napięta niż gdzie indziej, nie tak skomplikowana jak w Niemczech... Ciężko idzie Prajemu i z Polską. Tu znowu stwierdza, że antysemita jest opozycja, nie faszyzm. Za to na terenie niemieckiego faszyzmu teoria syjonisty-socjalisty króluje w pełni. I dopiero po tym wszystkim przystępuje do rewizjonizmu, by stwierdzić, że to „żydowski faszyzm”; przedwywód, który to poprzedził, czyż ma na celu wszczęcie pojęcia, że skoro każdy faszyzm jest antysemita, to i żydowski faszyzm?... Ale o rewizjonizmie mówi krótko.

Dyskusję rozpoczyna młody chłopak, który dużo notował, a obecnie zaczepia poszczególne punkty dyskusji. Zasadniczo nie różni się od Prajego, jest może bardziej pełen optymizmu. Uważa, że wszelkie faszyzmy mają już bardzo niedługi żywot przed sobą, jest zdania, że jeżeli polski faszyzm nie „poszedł na antysemityzm”, to dlatego, że przede wszystkim Polska jako kraj mało uprzemysłowiony przeżywa kryzys mniej silnie, a dalej, że polski faszyzm robili ludzie, którzy go robili nieco „wbrew sobie”. Inny mówca powtarza właściwie te poglądy. Inny jeszcze zwraca uwagę na bardzo jakoby bliskie niebezpieczeństwo rewizjonizmu.

Ale mnie dużo bardziej niż treść tej, tak wewnętrznożydowskiej, dyskusji interesuje odnośnienie się do niej ludzi kibucu.

Odnoszenie się to było cały czas dość mierne, mimo że — jak podkreślili wszyscy mówcy — niebezpieczeństwo faszyzmu (rewizjonizmu) stoi u bram kraju. W dyskusji zabierano z rzadka głos. Słuchano mało. Dziewczęta i chłopcy powymykali się jedno za drugim na dwór, gdzie tymczasem ciemniała noc. Wielu drzemało.

Rodzina, Dziecko, Żyd,  
Polska

W chwili, gdy na zakończenie dyskusji zaczął mówić Jari, nastąpiło pewne obudzenie. Najwyraźniej jego osoba wywołała ten odruch. Jari mówił bardzo powoli, zastanawiając się; to, co mówił, streszczono mi najslabiej. Zdaje się, że zapowiedź zawalenia się faszyzmów przyjmował dość sceptycznie. Wskazywał na to, że robotnicy niemieccy głosują za Hitlerem. Wskazywał na to, że faszyzm ma swoje reformy socjalne, które na swój sposób będzie realizował. Wskazywał na jego siłę. Cytował — nie mogłem dojść z jakiej okazji — Turgieniewa i Tolstoja.

Zdaje się, że nie można mówić o obojętności kibucników Merhawii wobec tych wielkich zagadnień. Natomiast byli to ludzie fizycznie zmęczeni pracą i byli to ludzie, którzy zgadzali się z zasadniczą linią wywodów Prajego i innych... Przyjmowali jego słowa, jak lud przyjmuje do wiary podawane słowa prawdy z ambony. Praji do pewnego stopnia „pokrywał zapotrzebowanie światopoglądowe” kibucu. Dawał długi, solidny, udokumentowany wykład socjalistyczny, z którego jednak słuchacze przyjmowali tylko najniezbędniejsze, ich zdaniem, ABC.

\*

Właściwie z ulgą wszyscy poszli spać. Mnie umieszczono koło domu dzieci, w pokoju z dwoma innymi. Przeszliśmy wielkie podwórze kibucu. Górowało ono nad szeroką doliną pól Emeku. Ciągnęła nimi mgła, dawna malaryczna mgła, i wilgotne ciepło południowej nocy. Daleko przed nami ku wschodowi zniżał się szerokim pasem swych ziem Emek, kraj kolektywów.

I znowu wtedy, jak w Petach Tikwa, opowiedziano mi cichą palestyńską nocą jedną historię tego zdobycia.

Było to po prostu tak:

Największa dolina Palestyny, kwitnąca niegdyś, stała się w czasach rządów tureckich wielkim bagnem. Bagno sięgało aż po Nahalal, niemal po zatokę hajfską. Z wzgórz galilejskich koloniści chaluce patrzyli przez lata w wielką dolinę, o której przecież mówiły Święte Księgi, że była dla ich przodków mlekiem i miodem płynąca.

Moczary przygrzewało silne, podzwrotnikowe słońce; unosiła się z nich mgła wyziewów. W moczarach topiono się jak w bagnach pińskich; nawet ziemie sąsiadujące z nimi objęte były zasięgiem malarii. I była pustka.

Ale Żydzi chcieli kolonizować największą dolinę swej skalistej ojczyzny. Po kilkakroć uznano to za niemożliwość. Wreszcie, już po wojnie, Keren Kayemet wysłał trzy komisje fachowców dla ostatecznego zbadania, czy przecież nie dałoby się tam osiedlić zrzeszonych w kolektywy robotników? Wszystkie komisje zameldowały szefowi Keren Kayemetu, Usyszkinowi<sup>43</sup>, że jest to niepodobiestwem: Emek Izrael jest nie do osuszenia.

Usyszkin wahał się długo. Choć nigdy jeszcze żadni rzeczoznawcy nie byli tak jednomyślni. Usyszkin, który życie strawił na organizowaniu Nowej Palestyny, wahał się. Wreszcie wezwał samych robotników: „Trzy komisje powiedziały, że Emek jest nie do zamieszkania — rzekł. — Ale nie komisje mają go kolonizować i osuszać, a wy. Wybierzcie sami komisję i zobaczcie”.

— Sam znalazłem — mówi mój towarzysz — jednego z tej komisji robotniczej. Oto, co opowiedział:

„Poszliśmy poza Merhawię i chodziliśmy cały dzień. Błota, błota, błota. Nie było nawet ptactwa wodnego, ani nic, taka martwota! Gdzieś pod wierzchołkami gór lepianki arabskie. A myśmy chodzili i chodzili, a żaden słowa nie powiedział. To, cośmy widzieli, to malaryczne «grzęzawisko śmierci», jak je zwano, było takie, że nie można było rzecz innych słów prócz słów rozpaczy. Więćśmy milczeli.

I takeśmy obeszli wokół — przejść go nie było można niemal — ten Emek. Stara Merhawia była to ostatnia placówka. Od niej zaczynał się grząz. Wróciliśmy do miasta, przyszli do Usyszkina. — No cóż? — zapytał Usyszkin.

<sup>43</sup>Usyszkin, *Abraham Menachem Mendel* (1863–1941) — rosyjski inżynier i nauczyciel pochodzenia żydowskiego, przywódca ruchu syjonistycznego, l. 1923–1941 kierował Żydowskim Funduszem Narodowym (Keren Kajemet LeIsrael), instytucją finansową utworzoną na V Kongresie Syjonistycznym w Bazylei w 1901 r. [przypis edytorski]

A myśmy nie wiedzieli, co powiedzieć. I dalej myśmy nic nie mówili. — Więc cóż powiecie towarzyszym? — pytał Usyszkin. Aż jeden był taki, co rzekł: — Panie prezesie. Co powiemy? A ot, co powiemy: jak matka ma jedno dziecko zdrowe, a jedno kulawe i w gorączce, to, panie prezesie, do którego ona pójdzie najpierw?”

A potem mój towarzysz mi mówił, jak na tę dolinę zwała się cała armia chaluców.

„To nie byli nieliczni, odosobnieni koloniści prywatni dawnej epoki. Nad bagnami łądowały jedne po drugich, jedne po drugich, całe desanty młodych robotników. 167 227 dunamów Emeku porżnięto rowami. W duszny wyziewami błot skwar palestyńskiego lata, w zimne dni wiosny stali po pas w wodzie, nadzy, chaluce. Kopano rowy na półtora metra. Pracowano ze zgiętym godzinami w łuk grzbietem, wyrzucając ziemię za rów, wbijając łopatę głębiej i dalej. Brzęczały gromadą moskity. Z każdym dniem niewidzialna ręka malarii wyszczerbiała szereg pracowników... Ale lukę zasklepiały nowe, młode siły i przybywający z diasporы chaluc brał za wypadłą z rąk rozdygotanych śmiertelną gorączką motykę. Luka zasklepiała się zaraz — a bagno nie odzyskiwało ani piędzi wydartych mu raz ziem.

W 1922–23 tereny Nahalalu wolne są od malarii. W 1922 koło Beth Alfa zapada na nią trzydzieści trzy procent pracujących, już w 1923 tylko pięć procent. W tym samym czasie w Nahalal z dziewięćdziesięciu spada na jeden procent. Jeszcze całe lata idzie praca. Chaluce mieszkają w barakach; ręce spękały od wysiłku, skórę nóg toczy jakby trąd. Doprawdy, wszystko tu inaczej niż na całym świecie: nim powstaną osady, powstały cmentarze. Ale w Emek Izrael wałą po kolei nowi, nowi i nowi. I dziś pan przejdzie kraj kwitnących wsi, cieszących się tym, co zrobili ludzie. Bardzo piękny jest Emek. Choć ginęli tu młodzi chłopcy i dziewczęta, jak się ginie na wojnie, na froncie”.

## PIESZO PRZEZ EMEK IZRAEL

Nazajutrz wczas<sup>44</sup> opuściliśmy Merhawię oprowadzeni jeszcze przez niezmiernie uczynnego Prajego po leżącym niedaleko centralnym szpitalu Emeku, czystym i nowym, jak wszystkie tu tego rodzaju budowle. Mimo bardzo specjalnego ubrania na tę kilkudniową wycieczkę, upał już wkrótce zaczął nam silnie dopiekać. Droga zesła z podgórze, na którym już leży Merhawia, do samej doliny, szła linią, gdzie niegdyś, to znaczy dziewięć czy jedenaście lat temu, biegła oś najgłębszych bagien, a dziś spływają drewny z leżących po obu stronach pól. W kilku miejscach młode gaje eukaliptusów, z wąskimi, przypominającymi brzoźowe, liśćmi; to w miejscach, dokąd zepchnięto resztki błot, zasadzono te drzewa znakomicie wyciągające wilgoć. Wokoło spokojne, zwyczajne sobie pola, o marnym dosyć zbożu, obsiane przeważnie pszenicą i jęczmieniem, rzadziej obsadzone kartoflami. Łąki. Gorąco. Mijamy trójjęzyczny anglo-arabsko-żydowski napis wskazujący, że w miejscu, na którym stoimy, znajdujemy się już na poziomie morza, a o parę kroków w głąb Emeku i w głąb kraju dalej ku Jordanowi i kotlinie Morza Martwego zstąpimy niżej tego poziomu. W Geszer będziemy na samym dnie: około dwustu metrów niżej poziomu morza. Geszer jest nie kibucem, lecz kwucą. Buchner precyzuje mi różnice między tymi dwoma pojęciami:

I kibuc, i kwuca są kolektywami. Różnica ich polega jednak na tym, że kwuca jest małym, zamkniętym kolektywem. Ukonstytuowała się ostatecznie w małej kompanii i nie przyjmuje już więcej nikogo do swego grona. Natomiast kibuc jest kolektywem licznym, prawie jak nasze wsie, po kilkaset czasem osób. Oczywiście bywają i mniejsze: taka Merhawia na przykład. Obok tego kibuc jest formacją niezamkniętą: nadal przyjmuje nowych ludzi do swego grona.

Kibuc czy kwuca mają zasadniczo ten sam ustrój, modyfikowany jedynie miejscowymi zwyczajami i potrzebami. Przede wszystkim władzą kibucu jest zgromadzenie ludowe wszystkich jego członków. Odbywają się one stosunkowo często, w każdym razie, gdy tylko istnieje potrzeba jakiejś ważniejszej decyzji. Raz do roku wybiera się „funkcjonariuszy”. (Zauważyłem, że już wczoraj w Merhawii podkreślano mi bardzo skwapliwie, że nie ma w kibucu żadnych „urzędników”, żadnej „władzy”, są tylko „funkcjonariusze”). Stanowią oni zazwyczaj ciało kolegialne, mają i własne funkcje. Główną figurą jest ekonom zarządzający całokształtem spraw gospodarczych, sekretarz, którego zadaniem jest

Współpraca

<sup>44</sup>wczas (daw.) — wcześniej. [przypis edytorski]

utrzymanie kontaktu ze światem, załatwianie spraw „polityki zagranicznej” kibucu, dalej skarbnik (ta funkcja, zwykle czysto buchalteryjna, łączona jest nieraz z funkcją ekonomą). Do tego dochodzi dwóch ludzi, których zadaniem jest rozkładanie godzin pracy na poszczególne gałęzie gospodarcze i przydzielanie kibucników do tych robót. Osobno od tego wszystkiego stoi tzw. sołtys, który reprezentuje na terenie kibucu władzę gminną, czynnik administracyjny, już podporządkowany władzom krajowym.

Wczorajsze rozmowy z kibucnikami i obecna z Buchnerem zlewają się, gdy tak idziemy pełną piaszczystą drogą, w jedną całość.

Co się tyczy kibuców jako jednostek, to ich powiązanie jest różne. Są teorie, by kibuc był zupełnie samowolny, z innymi kibucami niezwiązany, a przynajmniej żadnym węzłem podporządkowania. Są inne, wedle których kibuc jest tylko jedną komórką ogólnego, krajowego, kolektywu... Na ogół wszystkie nowsze kibuce są ściślej ze sobą związane. I wszystkie w ten czy inny sposób związane z pewną partią polityczną. Kibuców Haszomer Hazair jest pięć-siedem — mówi Buchner. Związane są w kibuc-arcy, kibuc krajowy, z radą oraz z władzą wykonawczą z siedmiu członków. Są to tzw. kibuce szomrowe, od nazwy wchodzącej w skład miana partii Haszomer Hazair („ha” stanowi hebrajski rodzajnik), a oznaczającej strażników, oczywiście strażników odzyskanego kraju.

Olbrzymia większość kibuców znajduje się jednak pod wpływami Robotniczej Partii Palestyny (socjaliści należący do Drugiej Międzynarodówki<sup>45</sup>) władającej Histadruthem Haowdim. Są to tzw. kibuce chalucowe. Powiązane są ze sobą w sposób daleko ciaśniejszy niż kibuce szomrowe. Łączą się w jednym kibuc hamuschad (kibuc zjednoczony). Jeśli u szomrów członek zostaje najpierw członkiem danego kibucu, a w następstwie tego dopiero członkiem kibuc-arcy, to tu rzecz ma się zupełnie odwrotnie: najpierw jest się członkiem kibuc hamuschad, a potem dopiero otrzymuje się przydział do jakiegoś kibucu. Przydział w miarę zapotrzebowania sił w danej okolicy. Co do kwuc, to i one poszły na wytworzenie pewnych wspólnych organizacji. Taką jest zrzeszenie kwuc hewra h-kwuzoth. Wszystkie te ponadkolektywne organizacje mają przede wszystkim znaczenie jako wzajemna pomoc należących do nich osiedli.

W polu nie ma prawie wcale ludzi wobec upału i wobec szabatu. Koło południa, minąwszy kilka mniej ciekawych osad kibucowych, doszliśmy do Kfar Jechezkiel, ślicznej, rozległej osady, której niewielkie domy o czerwonych dachach toną już, jak pod Tel Awiwem, w zieleni pomarańczowego sadu. Kfar Jechezkiel jest moszawem, innym jeszcze typem osiedla rolnego. Moszaw — *moschaw of dim*, osiedla pracujących — jest formą pośrednią między gospodarką prywatną a kolektywną. Osiedli tu osadnicy, którym brak kapitału lub przekonania socjalne nie pozwalały na stworzenie kolonii prywatnych tego rodzaju, jakimi są np. kolonie Petach Tikwy. Moszawy opierają się na następujących zasadach:

— każdy osadnik jest wyłącznym właścicielem swej działki gruntowej, oddanej mu przez Keren Kayemet. Nie może jej jednak sprzedać po cenie innej, niż ją sam nabył od Keren Kayemetu, ani osobie, na którą tenże się nie zgodzi. Nie wolno mu również używać pracy najemnej;

— wspólna jest gospodarka zbożowa (zaoranie, zasianie, plony) i co do niej decydują władze moszawu, wybrane przez zgromadzenie jego członków. Natomiast *pardes*, winnica, obora, hodowla bydła i drobiu są indywidualne, tak samo jak zyski, jakie przynosi kolektywna uprawa zbóż.

To pojęcie moszawu powtarzam sobie właśnie, gdy wchodzimy na chybił trafił do jednej z chat osiedla. „Chata” ma kilka czyściutkich pokoi, przyjmują nas dzieci, oczywiście znające już tylko język hebrajski. W salonie, w którym się znajdujemy, uderza mnie widok wielkiego jakiegoś ni to mebla, ni to pudła. Myślałem zrazu, że jakiegoś dziwnego rodzaju fortepian, okazało się, że po prostu... inkubator. Hodowla drobiu i w moszawie popłaca. Mówi nam to już młody, ogorzały po arabsku gospodarz, którego przywołały

Żyd, Państwo, Chłop,  
Obywatel, Obcy, Ciało,  
Dusza, Zdrowie, Odwaga

<sup>45</sup> *Druga Międzynarodówka* (1914–1916) — międzynarodowe stowarzyszenie partii i organizacji socjalistycznych, powst. 14 lipca 1889 r. w Paryżu organizacja założona przez partie socjaldemokratyczne z Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i Belgii, kontynuująca pracę rozwiązanej Pierwszej Międzynarodówki (1864–1876), z której wykluczono zwolenników anarchosyndykalizmu; po zakończeniu I wojny światowej międzynarodowy ruch socjalistyczny podzielił się na nurt związany z partią bolszewicką, z inicjatywy której utworzono tzw. III Międzynarodówkę (Międzynarodówkę Komunistyczną, tzw. Komintern 1919–1943, rozwiązany przez Stalina z niej

dzieci. I on jest z Polski, z Tarnowa. Wyjechał jednak jeszcze w 1913 roku, toteż z polskiego przechodzi chętniej na niemiecki, mocno zaprawiony jidyszem, ale i w tym idzie niesporo. Wreszcie towarzysz Buchner staje się tłumaczem. To jednak, co opowiada, nie jest zbyt interesujące. Mówi o kłopotach gospodarczych — och, bardzo małych — mówi i o spodziewanym urodzaju zbożowym, którego Emek oczekuje, jak tylko być może. Ma troje dzieci. Bawią się oto przy nas. Znowu uderza mnie to, co uderzyło w Merhawii, te płowe, niewytłumaczalnie słowiańskie główki i niemal nordycki typ twarzy, oczu, rysów dzieci. I znowu uderza jeszcze to, że i mój gospodarz, i jego młoda żona, która tymczasem weszła i zatrzymuje nas na obiad, również ma inny typ niż typy dziś jeszcze spotykanych ich rodaków z Tarnowa... Ale nie można powiedzieć, by był to typ nieżydowski. Przeciwnie: jest żydowski. Jest żydowski, nie jest gettowski. Może leży tu cała różnica, jaka istnieje między człowiekiem silnym i pewnym siebie a człowiekiem słabym, zestrachanym. Nieraz nawet w arogancji tych ludzi u nas znać jakby — przynajmniej mnie się tak wydaje — jakąś fałszywą nutę, coś urobionego, coś nienaturalnego. Nic podobnego u tych hebrajskich chłopów.

Bratanek mego gospodarza, młody chłopak niedawno z Polski przybyły, poczyną sekundować Buchnerowi, niestrudzonemu tłumaczowi. Dowiaduję się, że mój gospodarz pracował niegdyś w kibucu i stąd przeszedł do moszawu. Dlaczego? Tłumaczy mi to on sam. Oto w kibucu nie mógł znieść, że nic nie jest jego własnością. Zbyt silnie odczuwał fakt, że jeżeli po latach dwudziestu np. odejdzie z kibucu, to w takim razie mimo pracy całego życia, jaką weń włożył, odejdzie z pustymi rękoma. „A tak na końcu życia nic nie mieć, niczego się nie dorobić, to ciężko przeciw”.

Towarzysz Buchner, szczerzy kolektywista, kręci się na kanapce jak diabełek pokropiony kropidłem. Oczywiście — zwraca się ku niemu gospodarz — oczywiście. Nie neguje, że gospodarka kibucowa stoi na wyższym poziomie niż w moszawach. Nie zaprzecza, że w takim Ain Charoth przeciętny kibucnik niemający własnej koszuli na grzbiecie żyje lepiej i wygodniej niż on, właściciel jedenastohektarowego<sup>46</sup> kawałka. Jednak wygodą życia jest przede wszystkim pewna swoboda własnej woli, pewne sobiepaństwo. Znaczy to — przynajmniej dla niego — więcej niż lepsze jedzenie, lepsze mieszkanie, niż to wszystko, co mają inni w dostatniejszych kibucach.

Jego własny dawny kibuc? — Nie istnieje. Cały się rozpadł. Najpierw wyrzucono komunistów. „Bo chcieli tworzyć swoje rosyjskie porządki” — dowiaduję się. Potem podzielono się na „lewych” i „prawych”. Potem część odeszła; jest teraz w jednym dużym kibucu pod Hederą. Z tym wszystkim gospodarka rolna szwankowała. „Kibuc, widzi pan, funkcjonuje dobrze wtedy, jeżeli wszyscy jego członkowie są przeniknięci tą samą ideą. Wszyscy — i tą samą. Inaczej wszystko się rozpada samo”.

Tak było i z Kfar Jechezkiel. Od kilku lat istnieje już ten moszaw. Bez — lub niemal bez — kapitału, czterystu kilkunastu ludzi znalazło w tej kompromisowej formie osiedlnictwa dostatni dach nad głową.

Czy kompromisowej? W chwili gdy po smacznym wiejskim obiedzie przyszło nam się żegnać, zapytałem jeszcze swego eks-kibucnika, co myśli robić w przyszłości.

Okazało się, że ma już gotową odpowiedź: ciuła pieniądze, by kiedyś kupić sobie własny, niezależny *pardes*. Dzieci dorosną, jedno zostanie w moszawie, innym trzeba będzie dać wedle możliwości prywatne gospodarstwo. Czy zdoła tyle uciułać wobec drożyzny ziemi? Zdoła, ziemia nie jest droga. Koło Tel Awiwu, oczywiście. Ale daleko, na pograniczu jordańskim... A wtedy, może, będzie już Transjordanian<sup>47</sup>...

Jej góry, całe w płowych i błękitnych plamach, rysowały się w nieco przymglonym powietrzu jak daleki za Emekiem ekran. Widać je tu niemal ze wszystkich osad. Eks-kibucnicy z moszawu Kfar Jechezkiel, eks-kibucnicy z dziesiątka innych moszawów patrzy

---

następnie wyloniła się w 1938 r. trockistowska IV Międzynarodówka) oraz niezależny międzynarodowy ruch socjalistyczny, w ramach którego działała Międzynarodówka Socjalistyczna. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *właściciel jedenastohektarowego kawałka* — W Kfar Jechezkiel każdy moszawnik posiada 108 dunamów gruntu: 85 zajmuje w tym rola, 13 zabudowania gospodarcze, 5 ogród warzywny, 5 *pardes*. [co to za przypis? autora? w źródle - skan 91, strona 92]. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> *Transjordanian* — dosł. „kraj za Jordanem”; emirat utworzony w 1921 r. we wsch. części terytorium mandatowego Palestyny na Bliskim Wschodzie; terytorium to pozostawało pod administracją Wielkiej Brytanii do roku 1946, kiedy ogłosiło niepodległość jako Królestwo Transjordanii (1949 r. Jordańskie Królestwo Haszymidzkie). [przypis edytorski]



na nie w chwilach południowego odpoczynku. Tak jak ten przygodny gospodarz myślą może o tym, jak to kiedyś dzięki pracy w moszawie przejdą jeszcze do własnej kolonii prywatnej, dojdą do tego stanu posiadania, do którego doszli synowie założycieli Petach Tikwy i Richon Le Zion. Moszaw jest drogą powrotu do gospodarki indywidualnej. Czy zawsze? Ależ nie. Jest spora część ludzi, których myśl nie sięgnie dalej w swych planach, niż sięgają zwykle, gospodarskie troski moszawu. Znajdzie się kilku ideologów, ludzi głębokich, którzy przemyślą wiele — i przejdą, czy też wrócą, do kibucu jako lepszej, wyższej formy bytu i gospodarki. O takim wypadku mówiła mi w parę dni później Chajuta Bussel w Daganii.

Ale bodaj reszta i większość wybiega w swych planach ku przyszłości, która ustrojowo bliższa jest Petach Tikwie niż Merhawii.

## SABRY AIN CHAROTHU

A jednak monotonne w całym swoim porządkowym, prostolinijnym, ekonomicznym, nierozrzućnym pięknie są te wszystkie kibuce. Mówiłem to sobie, wychodząc tego samego jeszcze dnia (szliśmy jednak szybko, a osady nie są bardzo od siebie oddalone) z Gewy, gdzie brzmiała mowa rosyjska i niemiecka i gdzie w bibliotece wiejskiego kolektywu mogłem przewertować kilka najbardziej lapidarnych dla mnie, najbardziej w swych złowróbnych dla naszej kultury porównaniach-proroctwach uderzających stron wielkiego dzieła Oswalda Spenglera<sup>48</sup>. Wzorowe gospodarstwa drobiowe, chromające mimo wysiłków tych ludzi zbożowe, ludzie młodzi i młodo wyglądający, dzieci. Przypomniało mi się, co mi powiedział Buchner, gdy go poznał i mówił z nim o kibucach:

— Szkoda, że pana nie spotkał w zeszłym tygodniu, byłbym pana zawiózł do nas, pod Hederę. U nas wtedy było wielkie święto, wszyscy się bawili cały dzień...

— A dlaczego?

— Urodziło się dziecko.

Przypomina mi się to, bo Buchner pokazuje mi właśnie bloki Ain Charoth: z lekkiego skłonu góry zbiegają w sześciu liniach białe dachy niewielkich domów, niżej folwark, a u szczytu spinają jakby to wszystko dwa duże, o nowoczesnych liniach budowy gmachy i nieco niżej, między tymi dwoma, jeszcze większy trzeci. Jest niesłychany kontrast między tymi corbusierowskimi<sup>49</sup> liniami parapiętrowych gmaszysk a dzikim jeszcze krajobrazem okolicy. Otóż dwa podobne sobie domy to domy dla dzieci, gdzie mieszkają one „z dala od rodziców”, jak mówiono w Histadruth Haowdim. Blok między nimi to jadalnia.

Merhawia to była skolektywizowana później osada. Ain Charoth, nim stał się kibucem, był tylko bagnem, Ain Charoth jest rasowym, pełnokrwistym kibucem. Salutuję<sup>50</sup> w nim pierwszy rolniczy kolektyw spotkany na mej drodze życia, nowy typ osady rolniczej. Co mi powie? Co mi jego ludzie powiedzą?

Do Jonaja, sekretarza kibucu, do którego nas skierowano, idziemy uliczkami wśród parterowych, niezbyt dużych, a licznych domków, które przedzielają ogródkowe skwerki. Uśmiecham się do myśli, jaka mi właśnie przyszła do głowy. Buchner pyta, dlaczego.

— Widzi pan, ten widok przypomina mi, wie pan co? Coś tak „staromodnego”, jak to jest „nowoczesne”: uliczkę wśród domków pustelnicznych zakonu kamedułów na Bielanych krakowskich. Jeden ze starych ascetycznych zakonów katolickich — i żydowski kolektyw.

Buchner się nie uśmiecha. Buchner mówi, mówi całkiem poważnie:

— Nawet pan nie wie, jak wiele jest tu podobieństwa...

Jonaj jest typowym robociażem: ciężki, barczysty typ, poważny, mówiący raczej powoli, z dużym namysłem. Jest bodaj trzeci rok z rzędu „funkcjonariuszem” kibucu. Wielką machiną kolektywu, gdzie dużo znajdzie się ludzi z dyplomami, prowadzi tak, jak się prowadzi traktor, czołg. Wziął w rękę rosyjską, robotniczą czapkę, taką samą, jaką

<sup>48</sup>Spengler, Oswald (1880–1936) — niemiecki filozof i historyk, autor bestsellerowej książki *Zmierzch Zachodu* (1917), przewidującej upadek cywilizacji europejskiej. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>corbusierowski — w stylu pełnym nowoczesnej prostoty, nastawionym na społeczną funkcjonalność; od nazwiska (pseudonimu) fr. architekta, urbanisty i artysty-plastyka, *Le Corbusiera* (właśc. Charles-Édouard Jeanneret-Gris, 1887–1965), czołowego przedstawiciela międzynarodowego stylu modernistycznego, który, zafascynowany klarownością przestrzeni w klasztorach, swoimi projektami zrewolucjonizował architekturę i projektowanie wnętrz w latach 20 i 30. XX w. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>salutować (daw.) — pozdrawiać, witać. [przypis edytorski]

mnie<sup>51</sup> w dłoni Lenin gestem wiecowego trybuna na znanych z lat rewolucji fotografiach. Demonstruje pługi i siewniki. Oprawdza po długiej, jak hala maszyn, oborze. Aż z folwarku przechodzimy ku położonej wyżej „części mieszkalnej” Ain Charoth.

Kubiczny<sup>52</sup> gmach, zawierający kuchnię i jadalnię, posiada salę wielką, robiącą wrażenie sali jakiegoś nowoczesnego sanatorium. Czystość ścian i stołów, rząd okien wychodzących na pogodne stoki gór Gilboa, gdzie padł pierwszy król żydowski, wywoływały może to wrażenie. Był podwieczorek, zasiedliśmy więc przy herbacie. Jonaj odpowiadał na pytania stawiane mu za pośrednictwem Buchnera.

I znowu:

Od pięciu lat gospodarstwo zbożowe 8000 dunamów niemal nie przynosi dochodu. Kibuc stoi głównie hodowlą drobiu, zbytek do Tel Awiwu. Ale ma się, co sam widzę, doskonale.

Jako ciężary podatkowe płaci kibuc stały podatek roczny 250 funtów rocznie za ziemię (800 hektarów) i 50 funtów za budynki. Tych ostatnich jest czterdzieści kilka. Nadto płaci podatek z gospodarstwa zbożowego — 130 funtów rocznie.

W kibucu żyje 120 rodzin, 180 dzieci, około 30 nieżonatych i 14 „starych” — sprwadzonych z diaspory... Mają rytualną kuchnię, zbudowano dla nich nawet bóżnicę...

W tym miejscu przerywam:

— A wy tutaj nie chodźcie do bóżnicy?

Buchner odpowiada od siebie, że przecież mówił mi już, że kibucnicy są niewierzący, a Jonaj pośpiesza z resztką swego rosyjskiego:

— Jest takich paru, co chodzą... Dwóch, trzech...

— A wy — pytam Jonaja — jesteście religijni?

Jonaj uśmiecha się szeroko, pogodnym uśmiechem. A przecież to nie jest ten uśmiech, z jakim na modlącego się żyda patrzył chaluc z „Dacii”. Odpowiada po hebrajsku, że nie. Teraz nie. Niemniej kiedyś, jak się zestarzeje, kto wie...

\*

Poznałem nauczycielkę z Polski, która od kilkunastu miesięcy jest tu z małą córeczką. Pokazała mi wszystkie nowoczesne urządzenia dwóch wielkich dzieciennych domów. Nie wiem, czy czułbym się dobrze w czymś takim, to jednak przypomina i szpital, i ochronkę zarazem. Ale bawiące się tam dzieci czuły się dobrze. Było ich zresztą w pokojach mało. Z balkonu widzieliśmy, jak na folwarku na kilkunastu koniach, tylko co odprężonych od pługów, jeżdżą, podtrzymywane dłońią przez rodziców, paroletnie pociechy. Tu, jak wczoraj w Merhawii, wszystkie dzieci od chwili skończenia pracy w polu bawiły się z rodzicami.

Buchner, jako pedagog, podszedł do paru i w jednym momencie mieliśmy wokoło nas całą bandę dzieciaków. Garnęło się to z dziwną ufnością. Dziwiło, dlaczego nie zostaniemy tu na stałe? Po cośmy więc przyszli?

Jeszcze długo rozmawiałem z nimi i z wychowawcami. Podchodzili rodzice. Oni, wychowawczynie w białych kitlach i ja, polski dziennikarz, byliśmy tak razem nachyleni nad niesforną, ciekawską bandą główek, bandą, dla której wybudowano tu najlepsze domy, dla której oddano to, co kibuc miał najlepszego. Aby chować, aby hodować.

<sup>51</sup> *mnie* — 3.os.lp od: miąć, tj. gnieść. [przypis edytorski]

<sup>52</sup> *kubiczny* — w kształcie sześcianu. [przypis edytorski]

Dzieci te urodzone już były w Palestynie, nie na wygnaniu. Dla nich pogrom w Płoskirowie<sup>53</sup> i wypadki niemieckie będą już historią, będą tym, czym dla nas są Kroże<sup>54</sup>, a dla naszych dzieci będzie Radzymin<sup>55</sup>. Potocznie dzieci urodzone w Palestynie nazywa się tu sabry — od nazwy polnego, zwykłego w tym kraju krzewu.

Sabry Ain Charotha, żywe i wesołe, odprowadziły nas ukłonami, gdy na drugi dzień poszliśmy Emekiem dalej. Pomyślałem jeszcze o nędznych, słabowitych, wrzaskliwych i cherlawych dzieciach naszego getta. Gdyby można zestawić takich dwoje — synów jednego i tego samego narodu, tak postawić po prostu obok siebie i pokazać ludziom — może by się uzmysłowiła najlepiej ta ogromna przestrzeń drogi, jaka leży między światem wygnania a światem odnalezienia ojczyzny.

## GESZER

Tel Josef, secesja sprzed lat z Ain Charothu, swe dwa białe bloki nowoczesnego „dziecińca” wznosząca na wprost tamtego kibucu, Beth Alfa skulona swymi niskimi domami pod masywem gór Gilboa były już za nami w następnych dniach. Koleją dosięgliśmy samego dna rozpadliny, którą Jordan spływa do Morza Martwego. Wpadliśmy w nią parnego, dusznego wieczoru, gdy z daleka huczały turbiny palestyńskiego Dnieprostroju, centrali elektrycznej Rutenberga. Noc spędziliśmy w kwucy Geszer. Istnieje stosunkowo dawno, ale jej domy to baraki, gdzie nocą prócz moskitów dokuczają i mniej egzotyczne insekty, gdzie bieda w tych „tłustych latach” biblijnego kraju nie ograniczyła tylko jednej rzeczy: pożywienia. Ludzie tu tylko tyle, że nie głodują.

Geszer ma tysiąc dunamów gruntu, położonych tuż przy samej kwucy, ale Geszer leży już poza Emekiem, jego grunty wspinają się po zboczach wzgórz nadjordańskich, jednych z najbardziej pustynnych chyba wzgórz na świecie. Z tych tysiąca dunamów pod uprawą — i to po jakich trudach! — jest dziś zaledwie dwieście pięćdziesiąt. Inwentarza jest bardzo, bardzo mało. Nie ma tak rozbudowanego gospodarstwa mlecznego jak w kibucach Emeku; przede wszystkim warunki do chowu bydła są tu słabsze niż na podgórskich halach Emek Izraela, a dalej brak większych rynków zbytu. O krok stąd rozpoczyna się pustynna dziś zupełnie Transjordan.

Chwycono się więc jeszcze jednej gałęzi palestyńskiego rolnictwa: bananów. Żeby się odratować, zasadzono ich od razu aż pięćdziesiąt dunamów. Ale klątwa nieurodzaju, jaka od trzech lat prześladowuje Geszer i okolicę, nie ominęła bananów: zwarzyły je zimna i spaliło słońce. To spalone pole wyschłych, nędznych badyli mijają robotnicy Geszer, jak się mijają cmentarz: leży tu zaprzepaszczonych 2500 funtów.

Banany dobiły kwucę. Jej zadłużenie sięga 5000 funtów. Zalegają od dawna, zalegają w sposób niepokojący spłaty pięcioletnie za maszyny rolnicze. Komornicy angielscy nie są nastawieni na celowe niszczenie rolnika — polityki ochraniać rolnictwa nie uważa

<sup>53</sup>*pogrom w Płoskirowie* — masakra dokonana 15 lutego 1919 r. w Płoskirowie na Podolu; miejscowi komuniści dokonali w tym dniu próby wzniesienia powstania, szybko zostali jednak pokonani przez wojska kozackie, a następnie szef stacjonującej tam brygady, ataman Semosenko, wygłosił mowę do żołnierzy, obwiniając za zajęcia Żydów, wskazując ich jako „najniebezpieczniejszych wrogów Ukraińców i Kozaków” i wzywając do ich wytepienia; w rezultacie kozacy napadli na domostwa żydowskie, masakrując całe rodziny: w ciągu trzech godzin zabito między 1200 a 1400 osób, dalszych 300 zmarło od zadanych ran; pogrom powstrzymało powiadomienie o zajęciach komendanta frontu, jednak ataman nadal wydawał proklamacje o retoryce antysemitycznej i zmusił ludność żydowską do złożenia okupu, by uniknąć wznowienia pogromu, następnie do podobnej rzezi doszło 18 lutego w pobliskiej miejscowości Felsztyn, gdzie życie straciło 600 żydowskich mieszkańców (tj. 1/3 populacji), a mordowaniu towarzyszyło rabowanie domów i sklepów oraz liczne gwałty; urzędnicy poczty i telegrafu nie zareagowali na trwające kilka godzin zajęcia. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*Kroże* (lit. Kražiiai, żmudz. Kražė) — miasteczko na Żmudzi położone w okręgu szawelskim; w 1893 r. doszło tu do tzw. „rzezi kroskiej” na terenie pobenedyktynskiego barokowego kościoła, który po kasacji zakonu w 1891 władze planowały przebudować na cerkiew; miejscowa ludność zgromadzona pod kościołem uniemożliwiła wyniesienie wyposażenia kościoła, interweniowała policja i żandarmi, a wreszcie 22 listopada 1893 gubernator miasta Klingenberg wezwał na pomoc kozaków, którzy zabili 9 osób i ranili 50 spośród zgromadzonych, doszło także do aresztowań i procesów (35 skazano na więzienie lub zesłanie); wydarzenia odbiły się szerokim echem w Europie i w efekcie spowodowały złagodzenie polityki carskiej wobec kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*bitwa pod Radzyminem* (13–16 sierpnia 1920) — bitwa stoczona podczas wojny polsko-bolszewickiej wokół miasta Radzymin położonego ok. 20 km na pń-wsch. od Warszawy; wraz z bitwą pod Ossowem, walkami o Mińsk Mazowiecki oraz polską kontrofensywą nad rzeką Wieprz, bitwa pod Radzyminem należała do najważniejszych elementów działań znanych pod wspólną nazwą *bitwy warszawskiej*; w wyniku krwawego starcia rosyjski atak został odparty, co było jednym z warunków powodzenia polskiej kontrofensywy. [przypis edytorski]

się tu za nadzwyczajną, *ad hoc* i o trzy lata za późno uchwaloną łaskę — ale przecież i to wisi nad kwucą.

Kłęska. Kryzys. Krach.

Ale ludzie, żeby przejść do Geszer nad Jordanem, porzucili Siedmiogród i Małopolskę, przebyli tysiąc trudów i przewartowali tysiąc i niejedną noc w obawie, czy na ich baraki i namioty nie zwali się napad beduiński. Z 12 założycieli kwuca rozrosła się ponad normalne rozmiary kwucy: liczy 140 dorosłych i 32 dzieci. Ludzie ci radzili i radzili. Dostali od rotszyldowskiej PJCA obszar gruntu 3000. Położony dalej od kwucy był jednak, jak się zdawało, dobrym terenem pracy. I to zawiodło; rozpoczęły się o warunki dzierżawy, o kwestie polityczne i gospodarcze ciągle zatargi z PJCA. Co gorsza, nieurodzaj nie oszczędził i rotszyldowskich gruntów. Popróbowano uprawy pomarańcz i winogron. Sto dziesięć dunamów pardu stanowi pewną pozycję dodatnią w oplakany budżecie Geszeru. Ale pozycję bardzo, bardzo małą.

Jeżeli Geszer się utrzymał, jeżeli Geszer utrzymuje się nadal, to stało się to dzięki systemowi pracy, który podratował i wyprowadził „na swoje” niejeden nędzarski kibuc: tylko pół kilometra i most na Jordanie dzieli Geszer od miejsca, gdzie stała stacja Rutenberga, z siły spiętrzonych wód Jordanu i jego dopływu wydobywająca elektryczną energię. Przy budowie tej stacji, przy jej powiększaniu i przy pracy w niej, już pod dachem, trzeba było dużo robotników. Kapitalistyczny sąsiad podratował kolektywistów. Przez pięć lat budowy stacji pracowało tam czterdziestu-pięćdziesięciu ludzi. Dziś jeszcze pracuje tam piętnastu. Niekwalifikowany nawet robotnik, tylko po pewnej początkowej praktyce w stacji, zarabiał i zarabia dziś jeszcze piętnaście złotych dziennie. Kibucnicy z Geszeru, podobnie jak to czyni wielu ich towarzyszy spod Hajfy, posyłali część ludzi na roboty do Rutenberga. Druga część przez ten czas budowała Geszer i gospodarzyła. Zarobek robotniczej części Geszeru szedł na potrzeby wspólne i potrzeby kwucy. Jak obliczają, w ciągu tych pięciu lat pracy wpłynęło z tego źródła ze dwadzieścia tysięcy funtów.

Geszer to byli niegdyś ludzie skrajnej, podobno, lewicy. PJCA — te informacje mam zresztą od nich samych, mogą więc nie być obiektywne — dawszy im ziemię, wojuje z nimi na tle ich formy kolektywnej. „Bądźcie moszawem, jakoś się ułożymy”. Ale kwuca z Geszer jest żywą, zgraną kompanią. Wspólnie odpierali napady arabskie z Transjordanii, zbyt długo na tych kresach Palestyny żydowskiej żyli tak, jak się żyło na stanicach polskich kresowych czasu Tatarów. I zbyt długo biedzili się wspólnie nad oplakany stanem finansów kwucy. Nie chcą być moszawem, nie chcą na drobne rozprószyć swe wspólne istnienie<sup>56</sup>.

W kolektywnym wysiłku kwuca pokazuje też rotszyldowskiej PJCA zęby. Próżno jej tłumacza, że z tymi pieniędzmi, które miała, z tymi dwudziestoma siedmioma około tysiącami funtów każda inna niekolektywna osada zrobiłaby bądź co bądź więcej, lepiej i — oszczędniej. Może to być prawda, jest niewątpliwie prawda, ale oni wolą tak. Dało to im więcej moralnej satysfakcji. Dało im to takie wspomnienie, jakie daje czasem front, pułk, pozycja. Dało, czego nie da moszaw.

Jednocześnie gdy w oczach ludzi z Geszer PJCA wyrastała niemal na wroga, na wielkie bloki fabryczne, jakie rosły im pod boki, kibucnicy patrzyli nie jak na kapitalistycznego zbója, ale jak na największego przyjaciela. Stacja Rutenberga — największy kapitalistyczny, przemysłowy kolos Palestyny — i biedny, lewicowy kolektyw.

## SZKLANE DOMY NIE SĄ MITEM

Palestyna może pomieścić większą ilość ludności tylko jako kraj przemysłowy, miejski. Tradycje Tyru<sup>57</sup> i Jerozolimy<sup>58</sup> predestynowały ją niejako na nowe centrum handlowo-przemysłowe Bliskiego Wschodu. Napływ kapitału dzięki kolonizacji żydowskiej

<sup>56</sup>nie chcą (...) rozprószyć swe wspólne istnienie — dziś popr.: nie chcą (...) rozprószyć swego wspólnego istnienia. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>Tyr — starożytne miasto Fenicjan, obecnie miasto i port Sur w południowym Libanie na wybrzeżu Morza Śródziemnego; ważny ośrodek handlowy, powstały ok. 2750 r. p.n.e. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>Jerozolima — największe miasto Izraela; osada w Jerozolimie powstała prawdopodobnie ok. 2400 lat p.n.e.; ok. 1003 p.n.e. żydowski król Dawid podbił miasto i przeniósł tu (z Hebronu) stolicę Królestwa Izraela. Jerozolima położona jest na płd. krańcu płaskowyżu pomiędzy Wzgórzami Jerozolimskimi (na wsch. Góra Oliwna, na płn.-wsch. Góra Skopus), ze wszystkich stron otoczona jest dolinami (Cedron, Hinnom i Tyropeon), znaj-

umożliwił, zdawało się, te plany. Ale Palestynie brakło niezbędnego czynnika dla każdej rozbudowy przemysłu: brakło węgla. Plan gęstszego zaludnienia Palestyny, będący nakazem potrzeb narodowych, załamywał się tak o niemożność jej uprzemysłowienia na szerszą skalę dzięki brakowi węgla, siły popędowej przyszłych fabryk.

Pierwszym wielkim przedsięwzięciem przemysłowym tego kraju bez węgla stała się Palestine Electric Corporation Ltd., przedsiębiorstwo obliczone na generalnego dostawcę elektrycznego światła i elektrycznej siły popędowej.

Geneza tej instytucji była bardzo prosta. I znowu jest to jedna z żywych legend wplecionych w dzieje Palestyny. Można by ją nazwać Legendą Dobrego Kapitalizmu. Było to bardzo, bardzo niedawno... Było to tak:

W jednym z wielkich zakładów przemysłowych rosyjskich młody inżynier Żyd, z rodziny, którą porwał w swe nurty prąd rosyjskiego życia, zbliżył się do idei syjonistycznej. Dalej był inżynierem elektrotechnikiem rosyjskim, dalej studiował i powiększał swe teoretyczne, zawodowe plany. Dalej, jak tyłu innym ambitnym młodym inżynierom, śniły mu się cuda techniki, zamerykanizowanie Rosji, Azji, świata. Bardzo wielkie plany poparte żydowskim, handlowym zmysłem interesu. W te plany i kreślenia, i wyliczenia uczone wszedł tymczasem jeden czynnik, który odegrał rolę zwrotnicy. Przetawiał o kąt rozwartego planu młodego inżyniera. Nowe ramię tego rozwartego kąta wyleciało gdzieś poza orbitę zielonych granic Rosji, zbiegło strzałą w dół po globusie, zatrzymało na małym kraju Południa, gdzie trochę biednych utopistów spasało barany i marzyło o sadach i sianokosach.

Pierwsze lata powojenne zastają już inżyniera Pinkusa Rutenberga<sup>59</sup> w Palestynie. W Palestynie jest dużo chaluców osuszających bagna, dużo kolonistów sadzących wino i pomarańcze. Nie ma ani jednego technika, inżyniera w wielkim stylu, *businessmana* amerykańskiego pokroju. Pinkus Rutenberg<sup>60</sup> przybyły z Rosji jest takim. Zjechał całą dolinę Jordanu, przepatrzył wszystkie jego zakosy i załomy. Odbił długą i mozolną drogę wynalazcy po gabinetach żydowskich i angielskich dygnitarzy palestyńskich. Jeździł do Londynu i dalej. Tam też przyjmował go usłużny sceptycyzm i lekkie, maskowane podejrzenia... Rozkładał wszędzie wielkie, pokreślane plany, na których błękitne pasemko Jordanu pocięte było kreskami jakichś nieistniejących zapór. Tłumaczył, jakby mówiąc o pogodzie i grzybobraniu, że trzeba koryto jednej rzeki odwrócić na cały okres budowy, potem koryto tej rzeki i jeszcze drugiej rzeki przelać w jedno wielkie jezioro, że dopiero to jezioro zamknie wielka tama, a spad wody poruszy cztery gigantyczne turbiny i oświetli cały biblijny kraj. I jakby nie dosyć było tego wszystkiego, mówił, że kraj ten jest pełnym odludziem, dzikimi polami. A jakby jeszcze to nie wystarczyło, tłumaczył, że ta pierwsza tama i w ogóle to, co dziś mówił, to sobie tylko początek, bo takich tam na dobrą sprawę trzeba będzie postawić z osiem!

Pinkus Rutenberg mógłby napisać bardzo ciekawe pamiętniki, ale jedne z najciekawszych w nich ustępów to byłyby niewątpliwie te wspomnienia z łażenia po ludziach, z szukania kapitałów. Kapitał magnaterii żydowskiej pchał się po 1918 roku lawiną do Niemiec, tej młodej, zdrowej demokracji pracy i równości... Palestyna była w jego pozycjach budżetowych rubryką tego rodzaju, co rubryka „na ubogich gminy”, co rubryka „fundacja bł. p.”<sup>61</sup> mego ojca”, „stypendia dla synów robotników mego koncernu”. I szlus.

---

duje się 60 km na wsch. od Tel Awiwu i wybrzeża Morza Śródziemnego, 30 km na zach. od Morza Martwego. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>Rutenberg, Pinkus (1879–1942) — ros. inżynier żydowskiego pochodzenia, działacz polityczny i biznesmen; uczestnik rewolucji w Rosji w 1905 i 1917 roku, podczas I wojny światowej należał do organizatorów legionu żydowskiego i Amerykańskiego Kongresu Żydowskiego (1918); następnie wyemigrował do Mandatu Palestyny, gdzie udało mu się uzyskać koncesję na produkcję i dystrybucję energii elektrycznej; założył Palestyńską Korporację Elektryczną (obecnie: Izraelska Korporacja Elektryczna). Był oddany idei syjonistycznej, uczestniczył także w zorganizowaniu Hagany (hebr. חַגָּאָה, Ha-Hagana: Obrona), działającej w latach 1920–1948 żydowskiej milicji obywatelskiej w Palestynie; Rutenberg był także założycielem linii lotniczych Palestine Airways, w latach 1925–1931 był przewodniczącym żydowskiej Rady Narodowej (hebr. וָאָד לְעוּמִי, Va'ad Le'umi; ang. *The Jewish National Council*: JNC), będącej organem władzy wykonawczej wybieranym od 1920 r. przez członków żydowskiego Zgromadzenia Reprezentantów w brytyjskim Mandacie Palestyny. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>Pinkus Rutenberg przybyły z Rosji (...) — Nim stał się syjonistą, Rutenberg był skrajnym rewolucjonistą rosyjskim. On to podobno w 1905 roku dokonał z ramienia partii zgładzenia w willi finlandzkiej osławionego popa Gapona, zdemaskowanego jako prowokatora. [przypis autorski]

<sup>61</sup>bł. p. — skrót od: błogosławionej pamięci. [przypis edytorski]

Inżynierowi proponującemu udział w Palestine Electric Corporation legitymowano się zeszłoroczną dotacją na Keren Hayessod, na Uniwersytet Hebrajski, na ten i tamten zakład dobroczynny w Palestynie. „My już jesteśmy patrioci, ofiarni patrioci, panie Rutenberg. A jak tam w Palestynie, nie bardzo biedujecie, co?”

O tych dziejach krąży w Palestynie legenda, które kazałyby wielu dobrze się zarumienić, a zmusiły najniechętniej jeszcze więcej panów do zapisania w pamięci, że mieli jedną znakomitą inwestycję do zrobienia — i nie zrobili jej. Ale przecież zebrał się duży kapitał zakładowy: stanęła spółka Palestine Electric Corporation z kapitałem anglo-żydowskim miliona funtów. Keren Kayemet, Fundusz Narodowy Żydowski, uczestniczył tam okazałą sumą stu tysięcy.

Budowa trwała kilka lat. Wielki „baraż”, tama, która stanęła w dzisiejszym Tel Or i spiętrzyła na kilkanaście metrów wody ogromnego jeziora, wody Jordanu i Jarmuku, jest już gotowa. Całe miasteczka dachów i fabryk pokryły oszańcowany drutami kolczastymi obszar koncesji. Jest to naprawdę obóz: wpuszcza się tu w pewne określone dni i nie wszędzie ani wszystkich. Zainteresowanymi w tak pilnym strzeżeniu wielkiego przemysłowego zakładu są nie tylko jego właściciele, jest i rząd. To, co się tu pokazuje turystom, to przede wszystkim wielki wał betonowy tamy. W dwóch miejscach zbiegają zeń pod potężną halę akumulatorów i silników dwie grube na parę metrów średnicy rury. Dwie turbiny wytwarzające prąd. Obok jest miejsce na dwie inne, jeszcze niezbudowane. Kiedyś pracować one będą obok siebie, kolejno. Kiedyś, na dalszych załomach Jordanu, gdzie dziś rośnie niska łoża, staną następne tamy Palestine Electric Corporation.

Ale już dziś to, co istnieje, jest wielkie. Cały kraj zaopatruje się stąd w światło. Wielkie filiale Rutenberga, przetwórnice prądu, istnieją w Tyberiadzie, Tel Awiwie i Hajfie. Tama nad sztucznym jeziorem zdolna jest dawać do czterdziestu tysięcy kW. Zdolna jest oświetlić cały kraj. Ale oświetlić — to jeszcze bardzo mało.

Bodaj większość kolonii posługuje się dotąd naftą. Wyrugowanie jej ostateczne to nie jest jeszcze główny cel Rutenberga. Ten cel rozbudował się na ogromną skalę. O tym głównym celu mówi Palestine Electric Corporation bardzo mało, znają go tu jednak wszyscy. Ten cel to jest:

— Dostarczyć wszystkim warsztatom przemysłowym Palestyny, tym, co są, i tym, co powstają, taniej siły popędowej. Wszystkie fabryki i zakłady Palestyny — zelektryfikować!

Cel ten dziś już się realizuje. Wedle ostatnich statystyk, z 1931 roku niestety, w samym tylko Tel Awiwie było czynnych 1400 motorów elektrycznych. W Hajfie było ich 650, w Tyberiadzie 20. Cyfry te mogły się tylko wzmóc, jak się wzmogła zamożność tych miast, ich ludność, ich przemysł. Cyfry te wzrosną jeszcze więcej. Taniość prądu i drogość<sup>62</sup> węgla zmuszają najmłodszy przemysł świata posługiwać się elektrycznością jako siłą.

Na dalszą przyszłość widzi Palestyna inny plan do przeprowadzenia i innych po dziele Pinkusa Rutenberga domaga się rzeczy. Ten plan brzmi utopijnie niemal. Kto Palestynę nową widział, ten wie, że plan ten jest realniejszy niż nasze najprostsze plany. Oto:

— W chwili obecnej na koloniach pomarańczowych pracuje kilkaset motorów parowych, które wypompowują z głębokich artezyjskich studni wodę i rozlewają ją po pardesach. Pomarańcza potrzebuje wiele wody. Pomarańcza daje dobre zbiory w Palestynie dlatego, że nawadnianie pardes jest dostateczne. Rolnictwo zbożowe jest deficytowe w Palestynie z tej przede wszystkim racji, że szwankuje nawadnianie terenów. Szwankuje dlatego, że o ile dzięki wysokim cenom pomarańczy opłaca się nawadniać sady pomarańczowe, to o tyle wobec niskich cen na zboże (cetnar metryczny pszenicy waha się tam około dwudziestu ośmiu naszych złotych) nie opłaca się oczywiście nawadniać pszenicznego zagonu. U źródła niedostatku zbożowego Palestyny stoi dziś nie co innego, jak niemożność nawodnienia jej gruntów. Na tę niemożność były dwie możliwe rady:

- sztuczne podniesienie ceny zboża, dzięki czemu nawadnianie stałoby się opłacalne;
- obniżenie kosztów nawadniania.

W Palestynie ludzie byli zbyt roztropni, by chwycić się (o ile był on w ogóle wykonalny) pierwszego planu. Drugi plan — to właśnie plan Rutenberga. To ta część, najdalsza, najpóźniejsza, jego planu, która oficjalnie jeszcze nie jest niemal proklamowana; dla nas wyda się jeszcze szaleństwem plan nawadniania gruntów pod pszenicę, nawadniania przy

<sup>62</sup>drogość — dziś popr.: wysoka cena. [przypis edytorski]

pomocy elektryczności. W Palestynie nie jest to większą utopią niż osuszenie Emeku. Emek należy wykorzystać lepiej, niż to miało miejsce dotąd. Znaczna część gruntów Emeku wymaga stałego nawadniania. Rutenberg, Rutenberg!

Ten krzyk — to wołanie kraju kolektywów, wołanie ludzi, którzy chcą widzieć dopełnienie swego dzieła. Rutenbergowska centrala w Tel Or, Pagórku Światła, jest na mapie Palestyny jakby ostatnią forpocztą Emeku. Stoi — jakby wskazując przyszłym kolonistom ich drogę — na gruntach leżących już za Jordanem. Z Rutenbergowskiej centrali spodziewany jest dalszy etap postępu: rozbudowa stacji elektrycznej na tak wielką skalę, że umożliwi ona niebywałą wprost zniżkę prądu, zniżkę dość wielką, by mogły z niej w sposób handlowo opłacalny korzystać i pardesy, i wreszcie zwykle role Emeku.

A wtedy...

\*

Zapytywałem się w Palestynie wielu i różnych ludzi, kto tu jest człowiekiem najpopularniejszym. Odpowiedzi były bardzo rozmaite. Nazwisko Pinkusa Rutenberga powtarzało się tam jednak bardzo często. Rzecz szczególna, powtarzało się ono najczęściej... w Emeku. W kolektywnym, czerwonym Emeku. Dla ludzi Tel Awiwu Rutenberg to był ktoś chyba taki jak Poznański dla łodzian: wielki przemysłowiec, duża głowa do interesów, i basta. W Emeku ten sam człowiek wyrastał na kontynuatora dzieła chaluców, na człowieka, który sam za siebie dokonuje ogromnego dzieła. Rutenberg był wodzem, był symbolem. Najwyraźniej symbolem. W ogromnej mierze dzięki temu, że interesy Palestine Electric Corporation i Palestyny stanowią jedno. Być może, że wiele przyczynił się do tego fakt niezaprzeczonej ideowości tego człowieka, jego troska o byt robotników, jego akcja filantropijna i osobista skromność życia. Niemniej tak właśnie było. Czuję, stwierdzając to, że historia Pinkusa Rutenberga zrobi wrażenie jakiejś transkrypcji, na inny tylko ton, *Lettres persanes* Monteskiusza<sup>63</sup>, że moja Palestyna zacznie się ludziom wydawać jakąś Atlantydą, krajem nierealnym, z którego autor chciał wykoncypować jakiś raj świętej zgody robotnika z kapitalistą, coś w rodzaju znanego cikliwego filmu *Metropolis*<sup>64</sup>. A jednak — tak jest. Sam nie wiem, czy mam się z tego cieszyć, czy smucić. Notuję.

I nie jest to rzeczą tak znowu „utopijną”. Rutenberg nie tylko uratował wiele nędzar- skich kwuc, jak Geszer, i wielu nędzarzy. — Jest w Polsce śliczna legenda o dobrej królowej Kindze, która z ojczystych Węgier przeniosła cudem Polsce żupy solne Wieliczki. — Rutenberg swej odnalezionej ojczyźnie nie przeniósł żadnej z bogatych sztolni rosyjskich. Ale zamiast czarnego dał im to, co się potocznie wśród techników określa „biały węgiel”. Ogromnie obcy sobie są ciemni kmiecie z grodziszcz, gdzie Bochnia, i sterani chaluce z Emeku. Dystans między średniowieczną królową z dynastii, która prócz niej dała Bogu jedenastu świętych, a między żydowskim inżynierem z Rosji, Pinkusem Rutenbergiem, jest ogromny, jest przepastny. A jednak zdaje mi się, że jest na świecie siła, która nad tą przepaścią rozpina przeciw wszystkiemu jakiś jednoczący łuk: błogosławieństwo dobrego czynu.

W Tel Or, Pagórku Światła, jak nazwał Rutenberg swą centralę, wspomniałem o *Przed- wiośniu*. Szklane domy Stefana Żeromskiego; szklane domy, o których stary Baryka, ten,

Czyn, Dobro,  
Błogosławieństwo, Idealista

Książka, Idealista, Realista,  
Praca, Państwo, Rewolucja,  
Przemiana, Czyn

<sup>63</sup>*Lettres persanes* — *Listy perskie* Monteskiusza (1689–1755), powieść epistolarna składająca się z 161 listów wymienianych między Persami, Usbekiem i Riką, którzy podróżują po świecie, a ich bliskimi i przyjaciółmi w Persji: w ten interesujący sposób ukazane zostały różnice obyczajowe, kulturowe i społeczne między kulturą chrześcijańską a muzułmańską, cywilizacją Wschodu i Zachodu. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*Metropolis* — niem. film science fiction z 1927 r. w reż. Fritza Langa, zrealizowany w stylu ekspresjonizmu niem. i ceniony gł. za walory estetyczne oraz wartość historyczną; film prezentuje dystopijną, futurystyczną wizję organizacji społeczeństwa na przykładzie metropolii, w której funkcjonują dwie odrębne kasty: uprzywilejowana elita intelektualistów (stanowiących rodzaj mózgu w organizmie społecznym: „rozum”) oraz masę mieszkających w podziemiach robotników utrzymujących miasto przy życiu („ręce” społeczności); krytykowany za naiwność i nadmierną prostotę scenariusz powstał we współpracy reżysera z Theę von Harbou, autorką powieści pod tym samym tytułem, napisanej na potrzeby filmu: akcja koncentruje się wokół wątku miłosnego (gł. bohater, Freder, członek nadrzędnej kasty myślicieli odwiedza podziemny świat miasta, zamieszkały przez kastę podrzędną, i zakochuje się w Marii, jednej z robotnic), a główne przesłanie brzmi: „Pomiędzy rozumem a rękami musi być serce” (w oryg. niem.: *Mütler zwischen Hirn und Händen muss das Herz sein*). [przypis edytorski]

co do Polski wejść nie mógł, bał gdzieś w Rosji synowi; szklane domy, których Czarus Baryka w nowej Polsce się nie dopytał<sup>65</sup>... Polski inżynier przybywający zza morza, wykorzystujący siłę prądu morskiego dla zbudowania wielkiej centrali przemysłowej... Szklane domy z wielkich, nieprzezroczystych płyt rozstawiane w miejsce kurnych i brudnych chat. Cały kraj ogrzewany, cały kraj oświetlany... Plan techniczny sięgający wyżyn legendy.

Nie wiem, czy Czytelnicy moi dostrzegą w panu inżynierze Rutenbergu owego inżyniera Barykę żydowskiego kraju. Ale analogie są widoczne. Tel Or porównaniu z tym, co ma być, to jest jeszcze mniej niż ćwierć drogi. Tylko że Tel Or to „ćwierć drogi” już jest. *Przedwiośnie* jest u nas powszechnie uważane za dzieło rewolucyjne, Żeromski za rewolucyjnego wieszczka. W Tel Or wydało mi się to naraz strasznie dziwne: przecież ideał Żeromskiego — to taki inżynier Baryka budujący szklane domy, genialna jednostka, a nie genialny tłum, to postępowanie oparte na sobie samym, na wiedzy bardziej niż na jaćzejce<sup>66</sup>. Złoty sen przyszłej Polski Żeromskiego, cały żal jego, że nie ma *takiej* Polski, bo nie ma *takiego* człowieka, zwarł się wokół jednej jedynej postaci inżyniera Baryki. Wielkiego wynalazcy, wielkiego patrioty i — wielkiego *businessmana*. To brzmi dziwnie: *businessmana*? Zajrzyjmy do *Przedwiośnia*, zobaczmy, sprawdźmy. Żeromski mówi: *ponieważ nie było* w Polsce nowej tego człowieka, który by pobudował szklane domy, *ponieważ* byli tylko mętni ideolodzy typu pocziwego Gaszyńca<sup>67</sup> z spłówałym frazesem radykalizmu w miejsce programu, *przeto musiała przyjść chwila*, gdy Czarus Baryka, młode pokolenie, ruszy w pierwszym szeregu ulicy na prezydencki Belweder. *Ponieważ* było dużo wszelakich Gaszyńców, żadnego inżyniera Baryki, żadnego inżyniera Rutenberga.

Te głosy do *Przedwiośnia* wyskakują z szyn palestyńskiego reportaży. Te głosy odchodzą od nich daleko, bardzo daleko... O, nie chodzi mi o adwokackie wykręcenie z wielkiego pisarza — obrońcy kapitalizmu. Gdyby snu o inżynierze-wielkim przemysłowcu, budowniczym lepszej doli mas nie rozproszyła dziesięć lat temu gnuśna indolencja sejmowych Gaszyńców, toby ją dziś rwał na oczach całej Polski każdy na kolejach, na miejscach publicznych napis o cukrze, którzy krzepi. Ale nie zmienia to w niczym faktu, że w oczach Żeromskiego szklane domy i ich budowniczy, jeśli nawet były utopią, to niemniej były ideałem, podczas gdy zryw młodego pokolenia na broniony żołnierzami w orzełkach Belweder, jeśli nawet był koniecznością, to był koniecznością smutną, tragiczną, to był nieszczęściem. Mit szklanych domów... Tel Or, inżynier Rutenberg nie jest mitem.

## OD GETTA DO KIBUCÓW

Palestyna stworzyła grupę kilkudziesięciu kolektywnych gospodarstw. Żyje w nich kilka tysięcy ludzi, dalszych parę tysięcy do nich się garnie. Kolektywy te prosperują, choć za nimi nie stoi moc żadnej ustawy, żaden terror, choć kapitał, który je wspierał, czynił to niechętnie. Jest więc poza Rosją taki kraj, który ma ludzi zabijających w sobie poczucie własności prywatnej aż — zdawałoby się — do życia prywatnego, aż do nieposiadania własnych ubrań i rzeczy. Wychowują się dzieci, w których pamięć innego ustroju będzie jeszcze odleglejsza, jeszcze bledsza, jak<sup>68</sup> w inteligencji dzisiejszej wspomnienie przedwojennego dobrobytu, jak wśród ludu wspomnienie pańszczyzny. Dokonuje się — na mniejszą tylko skalę — eksperyment realizacji ustroju, o którym niektórzy mówią „ustrój jutra”, który zawodził dotąd we wszystkich tych próbach, które nie działały się pod ochroną i musem. Ma już po kilka i kilkanaście lat trwania. Jakie są jego, dla nas, dalekich sprawom Palestyny, nauki i rezultaty? Czyż tam naprawdę rodzi się nowy ustrój i nowy człowiek?

\*

<sup>65</sup>dopytać się czego (daw.) — znaleźć co. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>jaćzejka (ros. ячеўка) — dosł. komórka; tu w domyśle: podstawowa komórka partii komunistycznej w ZSRR. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>Gaszyńiec — chodzi zapewne o Gajowca, postać z *Przedwiośnia* Żeromskiego; był to ideowiec zaangażowany w odbudowę Polski porobiorowej, urzędnik państwowy. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>jeszcze bledsza, jak — dziś popr. będzie jeszcze bledsza, niż (...). [przypis edytorski]



Odpowiedź na to jest zbyt ważna, by ją móc zamknąć w kilku wierszach, jest zbyt trudna do obrony wobec ataków, które z lewa i prawa obudzić dziś musi, żeby, nim padnie, nie wmontować w reportaż tych kilka momentów wyrwanych umyślnie z dwutygodniowej włóczki po kibucach.

## DOLAR SPADŁ O DWADZIEŚCIA PROCENT

Wyjeżdżałem z Tel Awiwu do Emeku, siedziałem już w autobusie, gdy niemal w jednej chwili wszystko zakipiało niespodzianym poruszeniem. Był to najbardziej autentyczny zgiełk naszych Nalewek. Po chwili dowiedziałem się, o co chodzi: właśnie giełda podała sensacyjną, doniosłą wiadomość — dolar spadł o dwadzieścia procent.

Pieniądz

Spadek dolara był emocją, która nie udziela się motorom autobusów, więc po jakimś czasie byliśmy już w Emeku, w Merhawii, o której pisałem. Wieczorem, gdy Buchner gdzieś łowił Jariego, siedziałem w całej gromadzie kibucników w jadalni kolektywu. Ktoś mnie spytał: — A co w świecie słychać?

Omali nie dałem mu jakiejś zbywającej odpowiedzi, gdy naraz przypomniałem sobie tego dolara. Cały zmysł dziennikarza, człowieka, którego radością jest dostarczenie najświeższej, najsensacyjniejszej wiadomości, którego wielkim dniem są dni nadzwyczajnych dodatków, zbiegł się w jedno brzemiennie zdanie:

„Wielkie, ogromne zdarzenie: dolar spadł dziś o dwadzieścia procent!”

Była krótka na mgnienie oka chwila pauzy, w którą jednak nie wpadło żadne zapytanie. Więc dalej, jakbym te pierwsze słowa bił w gazetę największymi tytułowymi czcionkami, puściłem za nimi śladem rozstrzelony tłusty druk sensacyjnych depesz. Jakby dyktując naprawdę nadzwyczajne wydanie pisma. Że z dwudziestu siedmiu piastrow jeszcze wczoraj, jeszcze dziś rano, spadł dolar — dolar — na dwadzieścia trzy, że zniżkuje dalej. Że jest to ni mniej, ni więcej jak wejście Stanów Zjednoczonych — Stanów Zjednoczonych! — w inflację. Że to, co uczynił prezydent Roosevelt, to nie wszystko, gdyż właśnie jutro przejdzie w Kongresie ustawa, nadająca mu w dziedzinie polityki pieniężnej dyktatorskie uprawnienia. Że nastąpiła panika wszędzie, gdzie tylko trzymano dolary, że krach wszystkiego, co na niewzruszalności dolara, jak na dogmacie, oparło swe rachuby...

I nic. Po prostu, najwyraźniej, najzupełniej — nic. Żadnego wrażenia.

W chwili tej nie byłem tylko zaskoczony. W chwili tej dostałem po nosie. Wszystkie moje dziennikarskie ambicje na punkcie tym, że wiem, co interesuje czytelnika, że potrafię odróżnić sensację od nudziarstwa, rozbiły się o ten milczący, wyczekujący — „no i co poza tym?” — spokój kilkunastu kibucników. Byłem jak zmyty. Ale jednocześnie spostrzegłem, że oto dokonuje się rzecz może ważniejsza nawet od tego, że dolar spadł o całych dwadzieścia procent.

Na kibucnikach z Merhawii wiadomość o spadku dolara dalej nie uczyniła wrażenia. — Tak, dolar spadł? — mówiło paru. — Panika w Europie z tego powodu? — Te takie mniej więcej refleksje były *jedynym* odzewem sensacji, którą w tej samej chwili huczały stolice świata. Wiadomość, że Ordonka wybiera się podobno do Palestyny, zrobiła nieco potem wrażenie bez przesady tysiąc razy większe. Po kibucach często koncertują wybitni artyści.

Nie wiem, czy do wspomnienia tego muszę dodawać coś więcej. W chwili, gdy szedł światem krach waluty amerykańskiej, nie miałem przy duszy ani jednego dolara, nie mieli moi najbliżsi. A jednak jeśli nie zrobiło to na mnie tego wrażenia jak rzecz, która osobście i bezpośrednio dotyczy, to robiło jednak takie wrażenie jak odległe, obce katastrofy, jak (również niespodzianie przybyła) wiadomość o zestrzeleniu Szanghaju przez flotę japońską, jak wiadomość o wielkim wybuchu Krakatau, trzęsieniu ziemi, morzu w Tybecie. *Na tych ludziach nie zrobiła wrażenia żadnego.*

A przecież należeli oni do narodu, który najczulej, najsilniej reagował w tym samym momencie na tę samą wiadomość. A przecież ich krewni — może bliscy krewni? — nie tylko na ulicy Gęsiej lub w Nowym Jorku, ale we wszystkich Oszmianach, Sędziszowach reagowali jak na wielką, epokową wiadomość. Słowa „spadek dolara o dwadzieścia procent” szarpały aż do pęknięcia samego najskrytsze struny ich psyche. W kolektywie z Emek Izrael te same słowa szukały daremnie owej struny, może zasuniętej za inne, może zapomnianej. Szukały, nie znalazły.

Gdzie indziej pisałem: Żydzi w Palestynie piszą, mówią i myślą nie w „żargonie”, a w języku, który był językiem martwym na kilka wieków przed łaciną. Dziś odrodzenie łaciny jest utopią, odrodzenie hebrajszczyzny faktem. Prosiłem Cię, Czytelniku, jeśli chcesz z faktów tego reportażu wyrobić sobie pewne pojęcie o tym, co się dzieje w nowej Palestynie, o zwrócenie uwagi, jak wiele ofiar wymagało tego rodzaju wskrzeszenie języka.

Na tym miejscu polecam Twej uwadze zdarzenie przeze mnie opisane. Daję je zamiast długich wywodów w odpowiedzi na pytanie, czy Palestyna coś w tych ludziach zmieniła, czy nie. I co. Na rozpiętości, jaka istnieje między tym Żydem z Nalewek, dla którego spadek dolara był, i musiał być, gromem, a tym Żydem z kolektywu Merhawia, mierz różnicę, mierz wielkość dokonanej przemiany.

## TYLKO CZTERY TYGODNIE

W wycieczce, jaką odbyłem z kolei po regionie „pomarańczowych” kolonii od Tel Awiwu do Hedery i dalej, odwiedziłem mych towarzyszy podróży z „Dacii”. Byli prawie wszyscy, z którymi poprzednio bliżej żyłem się na statku. Rozdzielono ich co prawda między trzy osobne kibuce, ale wszystkie trzy leżały blisko siebie, dwa nieposiadające jeszcze własnej roli (zwykle dostaje ją grupa po kilku latach pracy robotniczej, najemnej) w bezpośrednim sąsiedztwie. Na te odwiedziny cieszyłem się bardzo, zostałem też przyjęty jak stary, dobry towarzysz. Ale znowu się pomyliłem. Idąc do nich liczyłem z góry na szereg dłuższych dyskusji na temat życia kibucowego, oczekiwałem tego wszystkiego, co można oczekiwać po ludziach, którym wreszcie dano urzeczywistnić ich teorie życia. W chwili, gdy przybyłem do Kfar Saba, kończył się im czwarty tydzień pracy na roli.

Pamiętałem żywe, gorące, zawile dyskusje prowadzone wieczorami na statku. Podziwiałem zdolności dyskusyjne, dialektyczne tych ludzi. Spierać się z nimi na argumenty było dziesięć razy trudniej niż w przeciętnej dyskusji u nas. Byli wprost szatańsko biegli. Byli lotnymi, chyżymi umysłami. Pacyfizm, marksizm, spór Stalin-Trocki, Einstein, Spengler, Coudenhove<sup>69</sup>. Jakaś zdolność odrywania się od wszelkich sympatii i animozji, od rzekomo wielkich, w istocie fragmentarnych zagadnień, osądzanie wszystkiego z jakiejś wyżyny dziwnego abstraktu. Liczyłem na to, co się określa „siłą ziemi”. Liczyłem, że ich lotność okrzepnie w zręby kilku prostych, jasnych przekonań, doświadczeń. Tymczasem...

Tymczasem zagabywałem Mojżesza Schamrotha, tego samego z „Dacii”, na bardzo prosty temat: czy się czuje szczęśliwy? Uśmiechnął się tak, że służyło za odpowiedź, ale nagle sposepniał. Może spotkał go tu jednak ciężki ideowy zawód? Otóż zawód spotkał ich wszystkich. Ciężki, wielki zawód. — Wyobraź sobie tylko: przyszliśmy tu z gotowym układem, że dostaniemy od jednego kolonisty do uprawy dwadzieścia dunamów parduś, a od drugiego obok drugich dwadzieścia. Gałgan daje nam teraz tylko dziesięć!

Była to wielka troska Mojżesza Schamrotha...

W toku tych paru dni goszczenia u nich nie złożyła się ani jedna dyskusja. To nie było tylko to, że schodziliśmy się wieczorami zmordowani, oni pracujący naprawdę ciężko, oczywiście dużo bardziej niż ja. To było po prostu to, że dawne tematy dyskusji, tematy, wokoło których wrzały turnieje polemik, odeszły strasznie daleko poza obręb zainteresowania tych ludzi. Przesłoniła je kwestia budowy szałasów w miejsce namiotów, plan założenia hodowli drobiu już teraz, kwestia nadmiaru dziewczyn, spory z kolonistą i pracodawcą zarazem, plany otrzymania pod samą Hederą lepszych warunków. Horyzont myślowy mych przyjaciół zwęził się w sposób przeraźliwy: kiedyś Mojżesz Schamroth ogarniał wszechświaty, a czas liczył na tysiąclecia. Dziś można najdosłowniej powiedzieć, że zacieśniło się wszystko do obszaru, który od sześciu hektarów nie był większy.

Był to niezwykle dziwny i ciekawy proces. Jest to jakby *schłopienie inteligencji*. Bo ludzie ci, niezależnie od swego formalnego, dyplomowego wykształcenia, byli rasową, klasyczną inteligencją, lotną, śmiałą, niepraktyczną w swych koncepcjach politycznych,

Chłop, Filozof, Nauka,  
Praca, Idealista, Czyn,  
Rewolucja, Przemiana

<sup>69</sup> Coudenhove-Kalergi, Richard Nikolaus Eijiro (1894–1972) — polityk austriacki, twórca *paneuropeizmu*, autor książki *Pan-Europa* (wyd. Wiedeń 1923) oraz wydawca pisma „Paneuropa”, na łamach którego propagował utworzenie jednego państwa europejskiego. Urodzony w Tokio, był synem Japonki Mitsu Aoyamy i arystokraty austriackiego, Henryka Jana Marii Coudenhove-Kalergi, dyplomaty austro-węgierskiego, jego prababką ze strony ojca była słynna muza romantyków, Maria Kalergis. [przypis edytorski]

rewolucyjną w teoriach, szukającą gdzie i co burzyć. To była taka pepiniera, jak pepinierami sowietyzmu były studenckie „stancje” rosyjskie, jak Podchorążówka Wysockiego dla 1831 roku, burszenszafty dla niemieckiego zjednoczenia. To było pełne procentów 100 rozhułanej szeroko teorii, która wreszcie wykypiała w łożysko idei syjonistycznej i tym łożyskiem, dalej kipiąc, dalej się burząc, zbiegła na kawał ziemi pod tym Kfar Saba — i tu wsiąkla.

Schłopienie dokonało się z dnia na dzień. Nie dokonało się żadną rewolucją, żadną „rewizją” pojęć. Nie, najzupełniej nie. W zasadzie Mojżesz Schamroth pozostał marksistą, w zasadzie podpisał się pod każdym z swych poglądów z „Dacii”. Ale dla tych rzeczy stracił zainteresowanie. One go już nie obchodzą. W tym nieobchodzeniu tkwi jednak coś bardzo wielkiego: załamała się cała dynamika rewolucyjna Mojżesza Schamrotha. Ta dynamika, która w nim urodziła się za dni getta, krzepła buntem wewnątrz kapitalistycznego, antysowieckiego społeczeństwa, która przetrwałaby lata więzienia i policyjnej inwigilacji, załamała się po czterech tygodniach pracy... w kolektywie. Na „Dacii” zastanawiałem się nad tym, czy idea religijna nie stanowiłaby dla tego młodzieńca przeciwwagi jego marksizmu, zastanawiałem się, czy jest jakaś idea zdolna „przelicytować” jego ideę obecną. Okazało się, że na to wystarczyła siła ruchu, w który sam, jakże niebacznie dla swej rewolucyjności, poszedł. Jeżeli operuję dziejami Mojżesza Schamrotha, to nie znaczy to, by odnosiło się to tylko do niego samego. Absolutnie ten sam proces dotknął wszystkich. Ale Mojżesz Schamroth miał drogę do przebycia najdłuższą.

Obraz pod Kfar Saba kojarzy mi się w jedno z wspomnieniami owego wieczoru dyskusji o rewizjonizmie, jaki wysłuchałem w Emeku. Tamci ludzie też kiedyś na odczyt o faszyzmie i jego niebezpieczeństwie reagowali inaczej. Ich dynamika rewolucyjna zwietrzała także. Czy zwietrzała? Zdaje się, że uległa prawu fizycznemu o przemianie energii, a może raczej wyładowała się... w okopywaniu w Palestynie na roli drzewek pomarańcz.

W ciągu tych czterech tygodni dokonała się jakby *zmiana elit*. Dotąd Mojżesz Schamroth był specem i wodzem kolegów. Teraz zeszedł w cień wobec ludzi, którzy go przedtem słuchali, gdy dyskutował i wykladał, ale którzy byli lepsi do turii, do wyżerań z kolonistą, do podziału pracy. Najświeńsze *esprits forts*<sup>70</sup> „Dacii” podzieliły jego los. Ludzie, którzy mnie nie uderzali niegdyś, zdrowi, energiczni, młodzi chłopcy wyszli na plan pierwszy. Kto był wszystkim, nie stał się może niczym, ale kto był niczym, stał się naprawdę wszystkim.

Czy „tamto” odżyje? Nie wiem. Ale i nie sądzę. Póki trwa gospodarstwo, póty trwają, zmieniając się tylko, kłopoty. Idee nie odżywają. Idee się tylko zmieniają. Idea, już raz urzeczywistniona, potrzebuje nadbudowy wyższej, zwłaszcza idea, która polega po prostu na pewnym, materialistycznym, gospodarczym schemacie.

## MUR PŁACZU

— To pan był w Jerozolimie? — zapytano mnie w jednym kibucu.

— Oczywiście — brzmiała odpowiedź.

— I pan widział Mur Płaczu?

— Widziałem.

— Jakie to zabawne! Pan jest chrześcijanin i Polak. Ja oto jestem w Palestynie osiem lat, ten mój towarzysz trzy, tamci trzy i cztery, a żaden z nas, Żydów, nie był jeszcze w Jerozolimie. Nie zdążył...

Czymżeż<sup>71</sup> dla Żydów diaspory jest Mur Płaczu, ten załom muru dawnej świątyni Salomona, jak nie największą i jedyną narodowo-religijną świętością, ostatnią pamiątką, symbolem takim jak korona św. Stefana dla Węgier, jak zaginione insygnia koronne dla Polski. Stary Żyd przybywa do Palestyny po to, aby stanąć pod Murem Płaczu. Stary Żyd przed Mur Płaczu nasamprzód dąży. W kibucach trafią się setki ludzi, którzy w Palestynie są od lat — ale w Jerozolimie jeszcze nie byli. Z Emeku do Jerozolimy jedzie się pół dnia.

Jak to rozumieć? Jak to tłumaczyć, zdając sobie w pełni sprawę, czym dla starego Żyda był Mur Płaczu? Czy tylko „zanikiem uczuć religijnych?” Nie: Mur Płaczu — to

<sup>70</sup>*esprits forts* (fr.) — człowiek wolnomyślny. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*czymżeż* (...) *jest* — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że; znaczenie: czym zatem jest, czym więc jest. [przypis edytorski]

narodowa świętość, jeszcze bardziej może niż religijna. O zaniku uczuć narodowych wśród Żydów, którzy poszli do Palestyny — trudno chyba mówić. Przyczyna tego leży w czym innym:

Mówiłem o tym zdumiewającym zjawisku, jak dynamika rewolucyjna rozsadzająca po prostu przybyszów chaluckich zanikała do zera w pierwszych już dosłownie dniach pracy na roli. Mówiłem, że zapewne przemienia się w innego rodzaju energię. W naturze człowieka, jak w naturze wszechświata, nie ginie nic. Otóż i ta energia rewolucyjna, i te wiekowe tęsknoty diaspory w chwili nabrania najpierwszego kontaktu z gruntem Ziemi Obiecanej, w samej chwili stąpienia na nią niemal, nie zmieniają ani na jotę nasilenia, nie zmieniają kierunku i charakteru.

W swym studium nad psychologią społeczeństwa Sowietów<sup>72</sup>, *Mysli w obcęgach*<sup>73</sup>, pisze Stanisław Mackiewicz<sup>74</sup> o hipnozie, o zhysterizowaniu się, zhaszyszowaniu tego społeczeństwa frazesami piatiletkowej propagandy. W innym sensie i innymi środkami dokonało się coś takiego i tutaj. Chaluc, przybywający z diaspory, przyciągany był magnesem *pracy nad odbudową* Erec Izrael, Kraju Izraela. Jak stęsknieni za Helladą hoplici legii Ksenofonta, przedarłszy się przez bezmiary Azji wołali *thalatta, thalatta*<sup>75</sup>, tak tym ludziom śnił się kibuc, budowa domu, moszaw. Ci ludzie nie szli, by Palestynę oglądać, szli, by w niej pracować. Gorączkowo, jak najszybciej pracować.

Hasło: „Socjalizm za naszego życia”, które obijać się im musiało dawniej o uszy, obijać sympatycznie, miło, przemieniło się w niesformułowane: „Odrodzona ojczyzna jeszcze i dla nas”. Ogromna przemiana. Żydostwo czekało całe wieki na powrót do ziemi ojców. Co więcej, to żydostwo najwyraźniej *chłubiło się* z tego, że czeka, że umie, że potrafi czekać. „Czekać na Palestynę” — jest dla młodego pokolenia *hańbą*. Ni mniej jak hańbą. Odrętwienie gett przetopiło się w żywość kibuców. Można by powiedzieć, że ci ludzie przeczuwają jakieś wielkie, tajemnicze jeszcze niebezpieczeństwo, jakąś nadciągającą burzę, przed którą należy na gwałt zbudować arkę schronienia. Miłość ojczyzny, która ongiś była całą kontemplacją, na kontemplację dziś nie znajduje ani chwili czasu.

Jest jednak jeszcze coś innego. Do Muru Płaczu schodzi się wąskimi, cuchnącymi zaułkami arabskiego miasta. Idzie się wśród szyderczych uśmiechów Arabów. Kilkadziesiąt osób stoi pod murem, starym, o wyżłobionych latami głazach, takiej ruinie biednej i nędznej, w całym swym wiekowym dostojeniu równym dostojeniu piramid i większym. Ale — nędznym. Policjant strzeże. Wzrok nie może uciec wyżej, bo wyżej natrafi już tylko na szmat zwykłego muru i przypomni sobie, że tam za nim, na ruinach największej chwały hebraizmu, stoi meczet arabski i Żydom wstęp jest wzbroniony. Na miejscu świątyni Salomona! Przypomni sobie, że tę nadbudowę Muru Płaczu wznosił filantrop żydowski Montefiore — by ustrzec modlących się Żydów od kamieni i śmiecia, jakim na nich zza Muru Płaczu ciskali ulicznicy arabscy...

Mur Płaczu jest symbolem trwania i przetrwania, ale jako wielka świętość jest typową świętością narodu w niewoli. Jego poniżenie i nędza skuwały go tym silniej z ludźmi, którzy pielgrzymowali wypłakać tu całe żywoty poniżenia i wzdargy. Ale te właśnie cechy oddaliły go od nowego pokolenia, które odbudowuje już Syjon. Te cuchnące arabskie zaułki, te szyderstwa arabskiego otoczenia, ta bieda i ruina, ta pamięć na dawne napaści, ten policjant, którego obecność jest konieczna, by chronić spokój narodu na jego miejscu świętym — to wszystko wysmagiwuje bunt w duszach nowych ludzi. Świętość dwóch

<sup>72</sup>*Sowieci* (pogard.) — Rosjanie; od ros. nazwy państwa powstałego po rewolucji radzieckiej 1917 r.: *Советский Союз* (fonet. Sowieckij Sojuz; Związek Radziecki), a. *Союз Советских Социалистических Республик* (fonet. Sojuz Sowieckich Socjalistycznych Rzespublik; Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, skrót ros.: СССР, skrót pol. ZSRR); Związek Radziecki istniał w latach 1922–1991. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*Mysł w obcęgach. Studia nad psychologią społeczeństwa sowietów* — wydana w 1931 r. publicystyczna książka Stanisława Cata-Mackiewicza stanowiąca owoc jego podróży po Związku Radzieckim odbytej w tym samym roku. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*Mackiewicz, Stanisław*, pseud. *Cat* (1896–1966) — polski publicysta, wydawca i pisarz, z wykształcenia prawnik, propagator idei konserwatywnych; redaktor wydawanego w Wilnie dziennika „Słowo” w l. 1922–1939; w czasie II wojny światowej przebywał we Francji oraz Wielkiej Brytanii, działał w strukturach uchodźczych władz Rzeczypospolitej Polskiej; zwolennik pryncypialnie antyradzieckiej postawy, był zajadłym przeciwnikiem polityki gen. Władysława Sikorskiego, a następnie Stanisława Mikołajczyka; w l. 1954–1955 premier rządu londyńskiego; w 1956 powrócił do Polski. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*thalatta, thalatta* (gr.) — morze, morze. [przypis edytorski]

Żyd, Ojczyzna, Praca,  
Odrodzenie, Historia

Religia, Nacjonalizm,  
Świątynia, Żyd

tysiący lat niewoli przestaje być świętością. Ale niemniej póki upodlenie, poniżenie nie jest przeszłością tylko i snem dalekim — póty Mur Płaczu będzie dla tych młodych świętością niewoli.

Raz jeszcze — jakie to dziwne. Przez piętnaście pierwszych lat naszej Niepodległości świętym hymnem polskiego nacjonalizmu była pieśń przypominająca nasz byt helotów wyrzuczanych z ziemi, przypominająca największe znęcanie się nad nami. Był to hymn młodzieży, nie starych, i młodzieży najbardziej „narodowej”. Śpiewały go tysiące młodych ludzi w wyzwolonym kraju, jak młodzi ludzie w nędzarskiej Rosji śpiewają o rewolucji, która ogarnie świat, jak młodzi ludzie w pokonanych Niemczech śpiewają o ich ojczyzny przyszłym zwycięstwie. Walka o hymn mocarstwowców na uniwersytecie rozbiła się o zastępy działaczy Obozu Wielkiej Polski, poddających młodemu pokoleniu za hymn słowa *Roty*. Francuzi upajali się kiedyś *Marsylianką*. U nas upajano się dumną poezją słów: „Nie będzie Niemiec *pluł nam w twarz*”.

Są to oczywiście uwagi na boku. Nie chcę, by zaciemniły w czymkolwiek ów fragment z „studiów nad psychologią ludzi kibucu”. Ale nigdy nie jest źle coś cudzego z czymś swoim, choćby bardzo bolesnym, porównać.

## SOCJALIZM

Socjalizm...

W centrali Histadruth Haowdim powiedziano mi: kibuce przeprowadziły w stu procentach wszystkie teorie socjalistyczne. Nie ma wspólnej własności. Dzieci żyją, wychowują się, mieszkają osobno od rodziców.

Ale w „bogaczu kibuców”, w Ain Charoth, wchodząc wieczorem do pokoju-mieszkania Jonaja, gdzie miałem spać, zobaczyłem w przylegającej doń alkowie śpiących już dwoje dzieci.

— To u was dzieci śpią z rodzicami?

Jonaj był zakłopotany:

— Widzicie, myśmy doszli do wniosku, że lepiej, by dzieci starsze spały przy rodzicach... I milej jakoś... I w dziecińcach więcej miejsca na sale zabaw, na sypialnie niemowląt...

Mało mnie to ostatecznie obchodziło. Tylko że w parę dni później zwiedzałem najstarszy bodaj kibuc, Daganię Alfa. Oprowadzająca nas Hajuta Bussel pokazała jedno z mieszkań. W ciasnym pokoju mieściły się trzy białe dzieciinne łóżeczka...

Tu już byłem silniej zdziwiony:

— Jak to, towarzyszek? W Histadrucie mówiono mi wyraźnie, że dzieci są odłączane od rodziców, mieszkają od pierwszego dnia osobno, kolektywnie, nie rodzinnie. Dlaczegoż u was...

Ale Hajuta Bussel odparła tonem praktyka, który mało sobie robi z teoretyków:

— W naszym kibucu (Dagania jako stary kibuc zażywa sławy) doszliśmy do wniosku, że lepiej jest, gdy małe, niedorośle jeszcze dzieci, chowają się i mieszkają z rodzicami...

Kibuc liczy się na rodziny. „Mamy tyle a tyle rodzin, tyle a tyle niezamężnych i niezonatych” — informowano mnie w każdym kibucu. Rodzina jest tu podstawą, jednostką. W kibucu, który się zakłada jeszcze, nie ma rodzin, stadeł, jeszcze nie ma dzieci. Im kibuc dłużej trwa, tym więcej wchodzi w stałe związki małżeńskie. Wszędzie, gdzie byłem, mimo młodego wieku kibucników, ogromna, przyniatająca większość to byli właśnie tacy.

Nikt się nie zajął statystyką stosunku liczbowego dzieci do dorosłych w kibucach. Bez trudu na całym szeregu poszczególnych wypadków mogłem stwierdzić, że przeciętne małżeństwo w kibucu — to raczej troje niż dwoje dzieci. Są to małżeństwa zaledwie paroletnie. Podobno Anglicy nie lubią kibuców dlatego, że tam procent ludności żydowskiej „wzrasta niewspółmiernie dużo” w stosunku do pozwolenia na to Wielkiej Brytanii. Rzadko dochodzi do wielkiej ilości dzieci, to prawda. Ale jednak wyraźnym celem małżeństwa jest to, co katolicyzm określa *procreatio*. Płodzenie ubrane tu jest w wymóg narodowego interesu: chodzi o nowych bojowników i pionierów odzyskania Palestyny.

Nim ci ludzie przyszedli do kraju, szczepiono im nie tylko ospę, ale przeszli oni całą szkołę propagandy „eugenistycznej”, znali wszystkie jej argumenty i racje. Szczepionki

Polska, Państwo,  
Odrodzenie, Nacjonalizm,  
Śpiew, Hańba

Rodzina, Państwo, Dziecko,  
Opieka

eugenizmu dziwnie się nie przyjęły, choć warunki życiowe raczej przemawiać by mogły za nimi. Choć znowu teorie socjalistyczne propagowały to wszystko, co się u nas popularnie nazywa „propagandą Boya”<sup>76</sup>. W wielu kibucach ludzie żyją w nędzy. We wszystkich są dzieci, dużo dzieci. Małżeństwa (poprzedza je bodaj z reguły okres próbnego pożycia) bezdzietne są uważane za wypadek natury i są nimi. Małżeństwa kibucowe mają też zwyczaj po kilka dzieci<sup>77</sup>. Dzieje się to mimo tego, że ogół kobiet w kibucach Emeku jest zniszczony kilkuletnią bezsensowną pracą na szosach, gdy to wyznawcy hasel równouprawnienia byli przekonani, że kobieta nadaje się do tej pracy równie dobrze jak mężczyzna.

Nie mogłem ani wtedy w Daganii, ani gdy widziałem, że tam się wszystko opiera na rodzinie, tej samej rodzinie, na której wyrósł nasz ustrój społeczny i którą tak radykalnie chce się zniszczyć w innych kolektywach, oprzeć się wrażeniu, że w kibucach palestyńskich dokonało się to samo, co dokonało się w planach „robotniczego budownictwa” Histadruthu: ludzie załamali dogmatykę marksizmu. Czy źle zrobili? Załamali socjalizm — ocalili życie zbiorowe...

\*

Tylko na marginesie, tylko ubocznie zrobiłbym może jedną uwagę: plenność ludzi w kibucach ma za przyczynę i tę okoliczność, że kibuc zawsze da nowemu członkowi egzystencję, a jak nie on, to inny kibuc, podczas gdy u nas... Ale nie tylko owej czysto materialnej racji przypisać należy to zjawisko; zdaje mi się, że ci ludzie czują podświadomie czy nie, że prócz egzystencji materialnej, jaką dziecku zapewnią, przekażą mu coś więcej, przekażą pewną wielką ideę, pewne wyższe do urzeczywistnienia cele.

Nie wiem zaś, czy w tej dziedzinie wielu u nas ma coś do przekazania.

## MIŁOŚĆ W KOLEKTYWIE

Przybywszy do jednego z kibuców wieczorem, poszedłem co rychlej spać. Położono mnie w pokoju, gdzie stały jeszcze cztery inne łóżka. Rano zobaczyłem, że były wszystkie zajęte przez kobiety.

Socjalistyczna Palestyna upodobniła się tu do Rosji sowieckiej. W sypialni kobiet nie umieszczono mnie oczywiście przez żadne *parti pris*<sup>78</sup>, zrobiono to po prostu dlatego, że gdzie indziej nie było miejsca. Nie było to również dowodem jakiejś „wschodniej rozwiązłości”. Po prostu życie w warunkach, w których znikły te niezliczone środki ekscytacji seksualnej, jakie w nasze życie wnosi książka, kino, ilustracja, gazeta, widowisko, aż do reklamowych plakatów włącznie, ułożyło stosunek płci inaczej.

W drodze powrotnej do Polski jadący za mną kibucnik opowiedział mi, że w kibucu wszelkie stosunki płciowe nieoparte na miłości są wykluczone. Wiedziałem już o tym, potwierdziło to tylko poprzednie informacje. Żywoć kibucowy jest monogamiczny. Nie takie rzadkie są wypadki, że ludzie najzupełniej zdrowi i normalni muszą żyć w pełnej abstynencji dlatego, że to, co określamy brakiem wzajemności, uniemożliwia im obcowanie płciowe. Twierdzenie socjalistów, że tam, gdzie nie ma pieniędzy, nie ma i prostytucji, potwierdza się w całej pełni. Dorywcze stosunki płciowe, o charakterze poligamicznym, ustąpiły miejsca monogamii. Poprzedza ją zresztą bodaj z reguły pewnego rodzaju „pożycie próbne”. Słyszę, jak ktoś powie: „małżeństwa koleżeńskie”, tak rozpowszechnione na Zachodzie, gdzie (jak wśród studenterii paryskiej np.) każda koleżanka hibernuje u siebie kolegę, a te „małżeństwa” — to jednak mimo wszystko wielka różnica. Jeżeli tam przekształcenie się podobnego „małżeństwa” w trwały związek należy do wyjątków, i to wyjątków niesłychanie rzadkich, to tu jest regułą. Nawet daleko idącą regułą.

## KIBUC, KOŁCHOZ I... KLASZTOR

Zwiedzając kolektywy palestyńskie myśli się instynktownie o innych kolektywach, które rozsiały się na przestrzeniach tysiące razy większych od zajmowanych przez Emek Izrael,

<sup>76</sup>co się u nas popularnie nazywa „propagandą Boya” — chodzi o planowaną rozrodność, stosowanie środków antykoncepcyjnych. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>po kilka dzieci — popr.: po kilkoro dzieci. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*parti pris* (fr.) — stronniczość. [przypis edytorski]

okolice Tyberiady i Samarię. Myśli się o kolchozach Związku Socjalistycznych Radzieckich Republik. Jakie są różnice, jakie są podobieństwa tych dwóch typów kolektywów świata, w tym samym niemal czasie, na gruncie tej samej idei marksizmu, ale w tak różnych warunkach założonych?

Kolchozy powstały i istnieją przymusem, kibuce wolną wolą swych członków — oto jest różnica, jaką sobie uświadamiają socjaliści palestyńscy.

Byłaby to zarazem ogromna różnica — i bardzo mała. Ogromna — bo forma utrzymywana jedynie siłą jest sztuczna, bo wszystkie jej oficjalne wyniki musimy kłaść tylko na karb bagnatów, które za nią stoją. Mała — bo ostatecznie, gdyby dziś odkryto, że piramidy zbudowali Egipcjanie samorzutnie, a nie pod najstraszliwszym terrorem, to piramidy pozostałyby niemniej piramidami i odkrycie to dla nas nie znaczyłoby nic. Jest jednak inna różnica.

Życie kibucowe przyjęło socjalistyczny schemat, ale w tym schemacie porobiło wstawki, na które prawowierny marksista odwróci się ze zgrozą. W Rosji kolchozy zamieniały cerkwie wiejskie na stołówki, Ain Charoth, wzór kibuców, wybudował dom modlitwy. W Rosji prawowierny komunista z religią walczy, w kibucach co najwyżej w nią nie wierzy. Miałem sposobność przekonania się, że odpowiedź takiego Jonaja nie była bynajmniej wyjątkiem: ludzie, którzy dziś nie wierzą, czy raczej zapytani o religię odpowiadają, że „tym się nie zajmują”, nie zarzekają się wcale przedtem, czy kiedyś wierzyć nie będą. Jeżeli chodzi o stosunek do religii, a zwracałem nań wiele uwagi, to nie uważam go za lepszy ani gorszy od stosunku do niej gdzie indziej. Inna rzecz, czy uważam ten stosunek w naszym społeczeństwie katolickim za niepozostawiający nic do życzenia. Natomiast jeśli mnie ktoś spyta o moralność społeczeństw kibuców a społeczeństw naszego ustroju, to bez wahania uważam ją za bliższą ideałom, które my sobie stawiamy. — Jakież to kolektyw, jakaż to komuna — mogą wykrzyknąć bolszewicy — gdy wznosi domy modlitwy i ani jej w głowie *piatiletka* bezbożnictwa?!

W tym jaskrawym przykładzie nie leży, jak nie leży w wyłączeniu momentu przymusu, zasadnicza różnica między komunami Rosji sowieckiej a komunami Palestyny syjonistycznej. Tkwi ona w czym innym: socjalizm w Palestynie kibuców — to formuła gospodarczej struktury nowego społeczeństwa. To i tylko to. W Rosji sowieckiej substytuowano socjalizm nie tylko caratowi i własności prywatnej, ale substytuowano go wszystkim innym ideom, ideom narodowym, idei religijnej. Palestyna socjalistyczna substytuowała po prostu socjalizm kapitalizmowi. Oto wszystko.

Nie trzeba być rozczytanym w doktrynach ekonomicznych, by zrozumieć całą ciężarność konsekwencji, wypływających z tej tak jasnej, tak prostej i nieskomplikowanej różnicy. Wskazania socjalizmu pojmowane jako normy o charakterze gospodarczym tylko, mające na celu wyłącznie lepsze urządzenie życia, były oczywiście z samego swego założenia przepisami, których zmiana nie zależała od niczego innego, jak od prostej zmiany poglądów owych ludzi na tę czy tamtą sprawę. Ale socjalizm substytuowany takim ideom, jak religia — ten socjalizm to już było coś innego. Jak sobory i kościoły zamieniono na domy klubowe, tak samo najmniejszy przepis doktryny Marksa zajmował miejsce strąconego z dawnych piedestałów religijnego dogmatu. Rozwiązanie kwestii takiego czy innego wychowania dzieci dokonywało się w Palestynie pod kątem widzenia miejscowych widzimisę, miejscowych rozumień. W Rosji jedynym kątem patrzenia na te rzeczy było, czy dane rozwiązanie odpowiada teorii marksizmu, czy nie. Te same zmiany dokonane *tu* były po prostu wariantami, te same zmiany dokonane *tam* muszą być herezją, muszą wołać o karę jak za zdradę stanu. Europejczyk, który się nie myje, jest tylko człowiekiem brudnym; ale Arab, któremu ablucje przepisała religia, będzie w podobnym wypadku bezbożny.

Dlatego też w Palestynie, mówiąc o jej „socjalistycznej części”, podkreśla się, że w tych a tych warunkach, do tych a tych zadań kolonizacja dokonywana kolektywnie była lepszym narzędziem pracy narodowej, zapewniała skuteczniejszy postęp. Jedni i ci sami ludzie powiedzą: ustrój kapitalistyczny dał nam Tel Awiw, ustrój kolektywny dał nam Emek. Cóż to oznacza? Po prostu socjalizm stał się narzędziem, jednym z narzędzi w ręku ruchu narodowego. Stał się czymś takim jak traktor, jak inkubator. Umyślnie używam tych gospodarczych porównań, bo one najlepiej odzwierciedlają rolę socjalizmu w Palestynie. Przenigdy nie chcę powiedzieć, by rola ta była mała; to, co pisałem chociażby

Rewolucja, Religia,  
Polityka, Państwo, Rosja,  
Żyd, Polak

o Emeku, to, co pisałem o akcji budowniczej Histadruthu realizującego hasło „robotnikowi — własny dom”, zgniotłoby wszystko, co bym teraz napisał. Nie. Tylko socjalizm wszedł na pole, gdzie mógł dokonać rzeczy większych niż gdziekolwiek indziej.

„Kolektyw palestyński nie oparł się na przymusie”. W całej Palestynie nie ma ani jednego człowieka, który by należał do kibucu wbrew swej woli. Ludzie przychodzili dobrowolnie, odchodzili dobrowolnie. *Odchodziła ich masa*. Jest [to] fakt zasługujący na podkreślenie. Jest to fakt, z którego dobrze sobie zdają sprawę ludzie kibuców. Mówią oni zawsze: „Życie w kibucu łatwe nie jest”. Cóż potrzeba? Potrzeba dwóch rzeczy: silnej idei syjonistycznej i silnej idei socjalistycznej. Niektórzy dodają już: i predyspozycji duchowej do życia zbiorowego. Nie wszyscy to mają, nie wszyscy to mogą. Przez każdy kibuc przesunęło się ogromnie dużo ludzi. Tak dużo — jak przez nowicjat zakonny.

I wskutek tego:

Ludzie żyjący dziś w tym ustroju zdają sobie sprawę z tego, że narzucony całym masom ludzi byłby on jednak katorgą. Tłumaczą to po prostu, że ludzkość nie dorosła jeszcze do tych ideałów. Czasem spotkać się można i z refleksją, że predysponowanymi do komunizmu gospodarczego nie będą nigdy wszyscy ludzie; jest to kwestia pewnych skłonności, które istniały zawsze i które prawdopodobnie nie zanikną nigdy. Na tej płaszczyźnie dochodzi niepostrzeżenie do zbliżenia między inną formą kolektywizmu, która trwa od wieków, umiała współżyć z niekolektywistycznym otoczeniem nie mniej pokojowo jak Emek z Tel Awiwem i która z pierwotnego komunizmu wszystkich wyrosła na komunizm ściślejszej elity jednostek: klasztor. Mimo tych ogromnych różnic, jakie leżą między klasztorem katolickim a kibucem, mimo tak zasadniczej różnicy, jaką stanowi przede wszystkim pełne oddanie się Bogu, a nie ludzkiej idei, lub choćby celibat, zaryzykowałbym twierdzenie, że rozwój życia kibucowego ma wbrew wszelkim pozorom więcej cech wspólnych z klasztorem jak<sup>79</sup> z kolchozem.

Religia, Polityka, Polak

## PRZYROST ŻYDÓW DOŚCIGA ARABÓW

Pokoje domów jerozolimskich to takie głębokie wnęki w mieszkaniach. Otwory okienne wysuwają daleko poza swe centrum. Jest w tym jakieś krycie się przed światem z zewnątrz, więcej zimą chłodem, dusznymi skwarami latem. Ale w dzień, gdy ani jedno, ani drugie nie daje się odczuć, w pokojach tych panuje spokój, pokrewny spokojowi muzeów czy domów patrycjatu w miastach bardzo starych i wyludnionych. Jerozolima jest miastem, o którym powiedziano „w szatach wdowich” na długo przed śmiercią Chrystusa. Jej kręte zaułki średniowieczne były zbyt często rynsztokami krwi płynącej tu deszczem. Jerozolima jest miastem w żalobie. Jakby drobne pyłki owej żaloby, zamarłej, spylanej wiekami grozy, docierają aż do tego cichego pokoju.

Z dębowej bibliotecznej półki wyciągam na chybił trafił małą zszarzałą książkę. Gdy się czeka na kogoś, co właśnie przeszedł do dalszych pokoi w poszukiwaniu jakiejś statystyki, tak dobrze jest coś przewertować. Książka, którą wziąłem do ręki, to, o dziwo, *Kollokacja* starego Korzeniowskiego<sup>80</sup>. Czyż można się tu było spodziewać przedkraszewszczyzny, nalotu wspomnień starych, sprzed stu dwudziestu lat?

Za oknem jest Jerozolima, mieszkanie jest mieszkaniem syjonistycznego przywódcy. A zwiótzałe karcinki książki jak gdyby nigdy nic mówią o wielkim błocie wołyńskich dróg, przez które przenosi się panie z ugrzęzłego głęboko koczku. Szyszkowce i kollokanci, kontrakty w Dubnem, transporty z Odessy.

Zupełnie niepostrzeżenie — takie miękkie są tu dywany — wrócił prezes Farbstein. Ma tan sam spokojny i pogodny uśmiech, z jakim mnie witał całe cztery tygodnie temu. Wówczas byłem ledwo przybył i z listami polecającymi waliłem prosto jak w dym do tego jedyne polskiego Żyda, zasiadającego w najwyższym sanhedrynie żydostwa — w egzekutywie syjonistycznej — jako delegat religijnego odłamu syjonistów-Mizrachi.

I teraz na to wszystko, co zbierałem w ciągu tych paru tygodni, narzuci ostateczny szkielet wiadomości.

<sup>79</sup>więcej (...) jak — dziś popr. w tego typu porównaniach: więcej niż. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*Kollokacja starego Korzeniowskiego* — powieść z 1847 r. o życiu szlachty podolskiej, miłości i narodzinach stosunków kapitalistycznych, autorstwa Józefa Korzeniowskiego (1797–1863). [przypis edytorski]



— Panie prezesie — mówię — rzecz, która moich rodaków najbardziej może zainteresować jest w stanie, to sprawa, jak wielkie postępy robi emigracja żydowska do Palestyny, jakie są jej widoki, jakie przeszkody? Jak duże skupienie żydowskie może znaleźć miejsce na ziemi ojców?

— Dobrze, proszę pana, służę panu wszelkimi informacjami... Ale odpowiedź na nie niech lepiej dadzą Anglicy...

Nie jest to jednak odesłanie mnie do Wysokiego Komisarza Brytyjskiego. Prezes Farbstein podaje mi tylko dwa grube tomy. Jest to *Sprawozdanie statystyczne kraju mandatowego Palestyny*, oficjalne wydawnictwo w Kairze 1933, zebrane przez E. Millsa, przydzielonego do sekretariatu Komisarzatu. Szukamy i oto:

W roku 1919 (data objęcia mandatu) było:

Mahometan 457 000.

Żydów 55 000.

Chrześcijan 90 000.

W roku 1931 (data spisu ludności):

Mahometan 750 000.

Żydów 189 000.

Chrześcijan 90 000.

Jeżeli chodzi o trzy [?] inne religie, cyfry są jasne i bez większych odchyień. Jeżeli chodzi o Żydów, to wiem już, że cyfra podana w statystyce jest niższa od prawdziwej. Od samych Anglików słyszałem, że Tel Awiw liczy od kilku do kilkunastu tysięcy ludności niezapisanej, „niestałej”; są to wszystko Żydzi, którzy wobec ostrego prawa o imigracji nie mogli przybyć tu inaczej jak turyści, z paszportem ważnym na trzy miesiące — ale siedzą w kraju od kilku nieraz lat. I Anglicy, i mahometanie zgodni są w ocenianiu liczby Żydów w Palestynie na dwieście tysięcy. W porównaniu z momentem, w którym Anglia objęła mandat, a więc w okresie lat czterech, ilość Żydów zamieszkałych w Palestynie wzrosła trzy do czterech razy. Ale czy cyfra 200 000 jest stała? Bynajmniej. Miesiące wiosenne 1933 roku były miesiącami tak silnej emigracji żydowskiej jak może żadne: kryzys w Europie, hitleryzm w Niemczech, rozkwit w Palestynie robiły swoje. I znowu statystyki angielskie, jeszcze nie opracowane, niecisłe, mówią o 6000–15000.

Jak wiele emigruje z Polski?

Tym statystyka angielska mniej się już zajmuje. Stare statystyki żydowskie podają tę sumę na 45–49% ogólnej imigracji. Obecnie prezes Farbstein stwierdza, że jest ona znacznie wyższa. (Potwierdzono mi to w naszych konsulatach).

Ale gdy zadaję te pytania, mój rozmówca przeprowadza mnie na inną stronicę wiadomości cyfrowego pana Millsa. Oto długie stronicę obliczeń stosunku przyrostu ludności u Żydów i u Arabów. I oto zbudowana na ich podstawie prognoza. Zaiste warto czytać statystyków!

Ni mniej, ni więcej E. Mills stwierdza, że:

1) *Ludność żydowska podwaja się co 9 lat;*

2) *Ludność arabska podwaja się co 20 lat;*

i jeszcze nie dając rozważyć wszystkich stąd płynących konsekwencji, konsekwencji, które naraz rozpychają wszelkie inne, nieliczące się z tymi nieznanymi u nas dotąd cyframi, miażdży czytelnika finałem swych obliczeń. Jeżeli obecnie panujący stan rzeczy nie ulegnie zmianie na minus, to wówczas:

3) *Za lat dwadzieścia stosunek Żydów do Arabów w Palestynie będzie jak jeden do jeden. Będzie równy.*

Odkładamy Millsa. Te trzy obliczenia angielskie wyszarpują nam z ręki wszelkie inne cyfry. Prezes Farbstein rozkłada mi dalsze widoki Palestyny w cyfrach. Są to rzeczy, których spisywanie musiało sprawiać statystykowi radość notowania istnych sensacji. Takie paradesy z 32 000 dunamów w roku 1922 urosły w ciągu ośmiu lat do 110 000. A ile ich przybyło teraz w bogatych, w tłustych latach 1930–1933? W roku 1922 produkcja skrzynek pomarańcz jest 1 239 000 skrzyń. W 1932 — 3 500 000. Kraj wielkości Wileńszczyzny sprowadza rocznie towarów na 7 000 000 funtów...

Ale ponad tym wszystkim, co teraz słyszę i co potem jeszcze w dwóch ciężkich tomi-

Państwo, Żyd, Marzenie

skach Millsa wyszperać zdołałem, góruje myśl o tym roku 1953, w którym ilość Żydów w Palestynie zrówna się z Arabami. W owym nie tak już dalekim roku może się śmiało nie zdarzyć nic szczególnego... a i tak ów meteor przewidziany i wyliczony przez angielskiego astronoma wydarzeń ludnościowych zapełni treść 365 dni owego roku. Będzie to rok historyczny: po raz pierwszy, nie od stuleci, ale od dziesiątków stuleci, znajdzie się kraj, w którym Żydzi przestaną tworzyć mniejszość. Po raz pierwszy w dawnej swej ojczyźnie będą mogli powiedzieć Arabom: równych jesteśmy tu sił. I po raz pierwszy wreszcie, w roku, który przyjdzie po 1953, poczną tworzyć pewnego kraju większość...

Jakie będzie znaczenie tego faktu? Nie wiem. Wszelkie statystyczne rachuby zawiodą. Pisząc o Palestynie, cały szereg autorów oparł się na statystykach bardzo dowolnie branych. To, co cytuję — to ostatnia, oficjalna, statystyka angielska. Czy jest fałszowana, przekraczana? Nie wierzę, bo nie widzę racji jej *takiego* fałszowania. Fałszowanie to jest bowiem najwyraźniej dla Żydów korzystne, a jako takie musi obudzić czujność Arabów i zwrócić ją przeciw Anglii, za rządów której dokonuje się ten pochód Izraela. Nie. Inna rzecz, czy statystyka jest nauką dość dalekowzroczną, by z dnia dzisiejszego ogarniać horyzonty roku 1953. Ale ze wszystkich statystyk palestyńskich najpewniejsza jest właśnie ta.

Trzeba się tylko wczuć w żydostwo, wczuć poprzez pryzmat syjonizmu, by zrozumieć, co znaczy to obliczenie Millowskie. — *To więcej niż deklaracja Balfoura*<sup>81</sup>!

Czymże bowiem był ów słynny list angielskiego ministra do „Drogiemu Lorda Rothschilda” o tym, że „rząd Jego Królewskiej Mości odnosi się przychylnie do założenia w Palestynie narodowego *home’u* żydowskiego”? Ten akt, który dla Żydów jest wydarzeniem epokowym, czyż nie jest czymś bladym w porównaniu z tym, co na jego podstawie wyrosło, i czymś ogromnie małym wobec tej jasnej, sprecyzowanej, fundowanej na cyfrach zapowiedzi: „Przyjdzie dzień, gdy będzie Was tylu, ilu Arabów. Stanie się to w roku 1953”?

Deklaracja Balfoura była wielkim aktem dziejowym. Jeszcze wrócimy do deklaracji Balfoura. To było rzucenie promyka nadziei syjonizmowi politycznemu. To było rozwieszenie ponad wszystkie getta diaspory wielkiej tęczy nadziei. Ale to była także jedna z tych licznych obietnic, jakimi w latach 1914–1918 szafowały na lewo i na prawo obie strony wojujące. Ale to był akt wychodzący ze stampila Foreign Office, akt podpisany przez dyplomatę, cały w dyplomatycznych omówieniach, zastrzeżeniach, niedomówieniach. To, co dziś obliczył E. Mills, jutro każdy sprawdzić i obliczyć może. To, co się widzi w tym kraju rosnącym w oczach — to może widzieć każdy, kto tu tylko przybyć zechce. To są rzeczy namacalne, wyraźne. Żeby *ziścić* deklarację Balfoura, trzeba było aż wielkiej wojny i jej wygrania przez Anglię. Dziś, żeby *odwrócić* to, co przewiduje Mills, trzeba by nowej wielkiej wojny — i przegranej Anglii.

\*

Ilu Żydów pomieści jeszcze Palestyna?

I znowu jest to pytanie, na które nie ma pewnej odpowiedzi. Jedną tylko dać naprawdę można: tylu, ilu tylko Żydów się tam dopuści. Tej odpowiedzi nie dał mi bynajmniej polski członek egzekutywy syjonistycznej. Tę odpowiedź zebrałem sobie ja sam z tysięcy przeróżnych odpowiedzi na to samo pytanie: Wedle jednak przypuszczeń i obliczeń najzupełniej bezstronnych, Palestyna może pomieścić od trzech do pięciu milionów Żydów. Palestyna z Transjordaną. Nie są to cyfry przesadne. Są to raczej cyfry niedostateczne.

W chwili obecnej jeszcze zaludnienie i Palestyny, i oddzielonej od niej Jordanem Transjordanii jest bardzo słabe. Wszystkie obliczenia co do pojemności Palestyny da-

Państwo, Interes,  
Odrodzenie, Idealista

<sup>81</sup>*Balfoura deklaracja* (ang. *The Balfour Declaration*) — list wystosowany 2 XI 1917 r. przez rząd brytyjski w osobie ministra spraw zagranicznych, lorda Arthura Jamesa Balfoura (1848–1930), na ręce przywódcy społeczności żydowskiej w Wielkiej Brytanii, barona Waltera Rothschilda w celu przekazania treści pisma do wiadomości Syjonistycznej Federacji Wielkiej Brytanii i Irlandii. List zawierał deklarację, że Wielka Brytania podziela pragnienie odtworzenia w Palestynie „żydowskiej siedziby narodowej” („*national home for the Jewish people*”) i stanowił wyjście naprzeciw oczekiwaniom i usiłowaniom podejmowanym przez ruch syjonistyczny w Europie. Deklarację Balfoura opublikowano 9 listopada 1917 r., a następnie włączono do traktatu pokojowego zawartego w 1920 r. w Sèvres z Imperium Osmańskim. Działania te zaowocowały utworzeniem brytyjskiego Mandatu Palestyny. [przypis edytorski]

tujące się sprzed paru lat, a negujące jej możliwości kolonizacyjne, są oparte na dwóch przesłankach: że Palestyna będzie krajem rolniczym, że Palestyna nie dokona melioracji „handlowo nieopłacalnych”. Zdaje się, że już pokazałem, jak grube uczyniono tu pomyłki: przecież Palestyna najwyraźniej rozbudowuje się także na kraj przemysłowy, przecież taki Tel Awiw i Hajfa są tego bijącymi w oczy dowodami, przecież Rutenberg ze swym „wielkim planem” wytrąca ów, zdawałoby się, nieodparty argument, że wszelki przemysł stoi na węglu, którego Palestynie brak! Ale jeżeli twierdzenie, że Palestyna może być tylko krajem rolniczym, jest już pomyłką grubą, to liczenie na to, że w Palestynie jak w reszcie świata nie będzie się dokonywało inwestycji „handlowo nieopłacalnych”, jest jako pomyłka istną Grubą Bertą<sup>82</sup>. Rozmija się przede wszystkim z celem, dla którego kolonizowano Palestynę: ten cel — powiedzieliśmy — nigdy handlowym nie był. Kolonizowania Palestyny nie można porównywać do kolonizowania Ameryki czy Australii. Palestynę kolonizowano niehandlowo i dlatego dokonano szereg melioracji, które się nie opłaciły, ale też były czynione za pieniądze funduszy niedbających o opłacalność. A zresztą... ileż tych „nieopłacalnych” opłaciło się sowicie?

W żadnej części reportażu jak w tej nie bałem się, by moje słowa uznano za dyktowane przesadnym optymizmem. Czuję bowiem to, czego Czytelnikowi oddać nie jestem w stanie: ogromny dystans między tym, co w Palestynie widziałem, a tym, co o niej myślałem *przedtem*. Wówczas moje myśli i wiadomości o Palestynie nie odbiegały od myśli i wiadomości o niej przeciętnego Polaka. Czy dziś od nich odbiegły — niech to Czytelnicy sami osądzą. Ale jeżeli odbiegły, to dlatego, że pięć tygodni dziennikarskiej włóczki po tym kraju odgięły jakby stalowymi obcęgami linię mych dawnych myśli. Trzeba Palestynę widzieć, by zrozumieć, ile się mieści prawdy w zapewnieniu, że nie ma takiego kawałka ziemi, którego by tam kiedyś pod uprawę nie wzięto. Dziś całe skaliste zbocza gór ujmują się w małe terasy, które zapełnia się ziemią i obsadza winem. Na takich w części terasach leżą słynne już winnice Karmelu. A zresztą... Gdy mi ktoś powie: przecież Palestyna to piaski, na których nawet kartofle nie wschodzą, mam już dla niego odpowiedź: „Ma pan rację. Są tam takie piaski czerwone, na których kartofle wschodzą okropnie nędznie, ale za to właśnie na nich rosną pomarańcze i dają trzy razy lepszy dochód z hektara ziemi niż najlepsze gleby proszowskie. Widziałem także i inne jeszcze piaski: akurat na nich postawiono kilkudziesięciotysięczne miasto”. Otóż nie twierdzą bynajmniej, że na wszystkich łachach powstaną padesy i Tel Awiwy, ale niemniej stwierdzam, że ludzie, którzy już całe latyfundia nieużytków potrafili odebrać pustyni, potrafią odebrać jej i resztę.

\*

Już po mym powrocie do kraju „Manchester Guardian” podał, że dziewięćdziesiąt procent przemysłu farmaceutycznego angielskiego zaopatruje się z Morza Martwego. Palestine Potas Co., wielka spółka kapitałów anglo-żydowskich do eksploatacji bogactw mineralnych tego przesyczonego nimi jeziora, pracuje zaledwie od kilku lat. Obok centrali Rutenberga jest to największy zakład przemysłowy Palestyny — i podobnie jak centrala Rutenberga dzieło będące dopiero w zarysku. Bogactwa Morza Martwego, które również Anglicy ocenili cyfrowo, są nieprzebrane. Stagnacja na rynkach Europy nie pozwala Palestine Potas Co. rozwinąć się na zamierzoną skalę. Są to rzeczy, które czekają.

Są to rzeczy, które czekają, podobnie jak pomarańcza nie jest ostatnim hasłem palestyńskiego rolnictwa. Przyjęcie się w Palestynie grapefruitu, który w świecie anglosaskim staje się artykułem codziennej potrzeby, spowodowało powstanie grapefruitowych pades. W porównaniu z pomarańczą jafską ich rola jest jeszcze minimalna. Ich przyszłość może być jeszcze większa; jeżeli pomarańcze miały do zwalczania w Europie konkurencję włoską (nawiasem mówiąc, poszło im to łatwo), to konkurencję Palestynie robiłaby przeważnie... Kalifornia. Obliczona już i tak na rynek amerykański, jest ona mniej groźna. Wreszcie mówi się dziś w Palestynie o uprawie grapefruitu afrykańskiego, który podobno

<sup>82</sup>*Gruba Berta* (niem. *M-Gerät*, pot. *Dicke Bertha*) — najcięższy moździerz obłężniczy I wojny światowej wyprodukowany w liczbie 30 przez zakłady Kruppa w Essen (popularna nazwa Dicke Bertha miała „uhonorować” żonę fabrykanta broni Gustava Kruppa, Bertę Krupp); pociski moździerza (kaliber 420 mm) przebijały stropy o grubości 2,5 metra oraz osłony pancerne o grubości do 300 mm. [przypis edytorski]

ma się udawać właśnie na gruntach o pewnej zawartości soli. W ten sposób zdrzewienie pobrzeża basenu Morza Martwego czy byłoby rzeczą dokonaną? Może... To pewna, że w Palestynie na jedną rzecz chyba skarżyć się nie można, na brak inicjatywy inwestycyjnej. Nie wiem, czy jest drugi kraj, gdzie jest jej tak wiele. W tym małym kraju skondensowała się ona doprawdy tak jak te sole i chlory, i magnezium, i co tam jeszcze w szklistej i ciężkiej od nich toni Morza Martwego... Prze ku jasnej dacie żydostwa: ku rokowi tysiąc dziewięćset pięćdziesiątemu trzeciemu.

\*

Tego wieczoru opuściłem późno mieszkanie przywódcy Mizrachi. Nie wiem, czy zegnając mnie przypuszczał, że w niecałe pół godziny potem znajdę się w pokoju, gdzie już z żadnej półki nie wyciągnę staroświeckiej powieści Korzeniowskiego, ale wszelkie nadzieje żydowskie przekreślać i przełamywać mi pocnie szaleńcze *vetu* arabskie...

## OCZYMA MŁODEGO ISLAMU

Jeżeli Palestyna stanowi u nas, przy całym okropnie powierzchownym „zainteresowaniu się” sprawą żydowską, wielką nieznaną, to poglądy, jakie istnieją dotąd na jedną z najważniejszych kwestii osadnictwa żydowskiego w Palestynie, tzw. kwestię arabską, są horrendalne w swej niewiedzy. Walkę Arabów z kolonizacją żydowską tłumaczą nasze sympłaki<sup>83</sup> jako odpowiednik ich własnej walki z żydostwem. Prawdopodobnie — rozumują — Żydzi w Palestynie tak samo wyciskają pieniądze z kraju, tak samo małżeństwami mieszanymi zatruwają rasę, odbierają chleb robotnikowi, tak samo opanowali handel. Wielki mufti w konstelacji palestyńskiej to tyle co „wielki oboźny”, a perfidne Angliczany, niczym druga sanacja, po to właśnie istnieją na tym świecie, aby powstrzymać dzielnych Arabów, którzy bez tego zrobiliby Żydom „kęsim”. Jest to oczywiście groteskowe przedstawienie tych poglądów, ale takie mniej więcej u nas kursują. Są zaś najzupełniej błędne. Samo porównywanie antysemityzmu Arabów z naszym, niemieckim czy nawet rosyjskim to najfatalniejsza pomyłka, jaką można tu w ogóle zrobić. Przede wszystkim antysemityzm arabski nie istnieje sam z siebie i za siebie. To, co przed jedenastu laty pisał znakomity badacz starożytnej Palestyny, ks. Szymański T.J., jakoby Arabowie uważali chrześcijan za swoich „braci”, Żydów zaś za swoich „psów”, jest nonsensem. To, co nazywamy potocznie antysemityzmem arabskim, nie jest niczym innym jak tylko częścią, i to nawet nie częścią najbardziej aktywną, zadrażnioną, tego, co tak świetnie zobrazował E. Kisch w swym *Asien gründlich veraendert*, antyeuropeizmu ludów islamu i Azji.

— Kwestia żydowska u nas, taka jak kwestia żydowska w Niemczech, gdzie studiowałem, *w ogóle nie istnieje*. — Tymi słowami rozpoczął mi swój wykład młody inteligent arabski, dyplomant<sup>84</sup> jednego z największych uniwersytetów europejskich, i zajmujący w Palestynie bardzo znaczne miejsce. — Tak samo jak dla nas, Arabów, nie ma osobnego „problemu Palestyny” lub nie ma osobnego „narodu palestyńskiego”. Kolonizacja żydowska nie jest naszym wrogiem, *jest tylko narzędziem, jednym z narzędzi w ręku naszych wrogów*.

Jest to niewątpliwie ujęcie teoretyczne, ale trafne i odpowiadające stanowi rzeczy. Oto co mówią Arabowie: po wielkiej naszej epoce, która się zakończyła z momentem hegemonii Turków w islamie, byliśmy narodem zamarym w sposób podobny do narodu czeskiego po Białej Górze na przykład. Podczas wielkiej wojny poszliśmy przeciw Turcji wobec obietnicy angielskiej, że ukonstytuujemy się jako niezależne państwo. Znaleliśmy nasze siły i angielskie, niestety, przeliczyliśmy się co do wyników wojny: licząc na zwycięstwo angielskiej koalicji, nie liczyliśmy na tak pełne i tak wielkie. Sądziliśmy, że wojna skończy się pokojem kompromisowym, w którym uda się nam zostać j państwem położonym między dwiema grupami zaborczych mocarstw i utrzymać dzięki temu swą niepodległość, jak utrzymują ją w Azji Syjam lub Persja.

Jak wiadomo, stało się inaczej. Bezapelacyjne zwycięstwo Anglii (w Europie nie było ono tak kompletne jak u nas) pozwoliło jej urządzić Arabię wedle swoich planów.

<sup>83</sup>sympłak — zapewne: ktoś upraszczający złożoność problemu. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>dyplomant — tu: absolwent, który uzyskał dyplom ukończenia uczelni. [przypis edytorski]

Antysemityzm

Wróg, Żyd, Polityka, Obraz świata

Kolonializm, Wojna, Władza, Ambicja, Polityka, Konflikt

W planach tych oparto się na strukturze Indii z czasów po powstaniu sipajów<sup>85</sup>, a przed podniesieniem ich do rzędu dominium. Wykrojono kilka państw, które, mniej lub więcej potrzebne Anglii, stały się od niej mniej lub bardziej zależne. Syrię oddano Francji. Arabii jednoczonej, jaką była pod rządami Turcji, obiecywano Arabię Niepodległą, dano zaś w rezultacie rozbiór Arabii i „niepodległość” będącą bluffem. Obietnice były zbyt świeże, by nie wywołać reakcji zawiedzionych. Reakcja ta zmusiła okupantów anglo-francuskich do szukania punktu oparcia wśród ludności. Rozpoczęło się wyszukiwanie plemion, religii, ras „mniejszościowych”, opiekowanie się nimi celem wygrywania ich przeciw arabskiej większości.

Był to dziesięcioletni okres pierwszej walki niepodległościowej arabskiej. Okupanci chwyтали się różnych sposobów: w Syrii wyszukano zarabczonych potomków rycerzy krzyżowych i starano się zrobić to, co nazywali ozdobnie komisarze francuscy: *les fils dociles de la France*<sup>86</sup>. To samo czyniono z Maronitami, to samo z paroma innymi plemionami lub ze zgoła arabskimi szczepami. Sprowadzono niewyróżnione resztki Armeńczyków spod jarzma tureckiego i stworzono z nich mniejszość. Anglia nie pozostała w tyle. W Iraku wskrzeszono „Asyryjczyków” chrześcijan i wygrywano ich przeciw Arabom. To samo czyniono z innymi narodzikami. Arabowie w ciągu dziejów ani nie islamizowali ludności, ani jej nie asymilowali. Stąd narodziki i kultury dowegetowały tu przez długi ciąg wieków i na nich poczęto wznosić dzieło rozbicia Arabii.

Plany te najzupełniej zawiodły. Zawiodły dlatego, że główna masa ludności, na której chciano się oprzeć, chrześcijanie narodowości arabskiej — pozostali jednak wierni swej rasie. Dotyczy to w mniejszej mierze sekt, dotyczy głównie Arabów prawosławnych i katolickich. Inne „mniejszości” były w Arabii za słabe, by móc być podstawą poważniejszych działań politycznych. Manewr skonsolidował tym silniej Arabów. Natomiast na jednym odcinku Arabii nieudały<sup>87</sup> ów manewr przyniósł, nie możemy tego negować, bardzo poważne rezultaty: w Palestynie.

Popieranie Koptów i Asyryjczyków, stwarzanie armeńskiej mniejszości narodowej było próbą tak cieplarnianą jak irredenta bretońska we Francji, ale otworzenie wrót dla imigracji żydowskiej, proklamowanie w Palestynie żydowskiego *home'u* osiągnęło z punktu widzenia okupantów europejskich swój cel, gdyż poprowadziło w rzeczy samej do powstania bardzo silnej i zwartej grupy ludnościowej, etnicznie stojącej w antagonizmie do tubylców. W dwujęzycznym i dwunarodowym kraju Anglicy mogli rządzić łatwiej niż w jakimkolwiek innym. W miarę swych potrzeb mogli wygrywać Arabów przeciw Żydom i *vice versa*.

Moment obecny jest w Arabii — ciągnął mi ów rozmówca — tym historycznym momentem, w którym atak antyarabski został odparty na wszystkich odcinkach. Ci, co byli narzędziami Anglii, opuszczeni dziś przez nią, gorzko pokutują za swoją zdradę (była to aluzja do Asyryjczyków, którym się odplacono krwawymi napadami). Cała uwaga i wysiłek narodu, aż po Aden i dalej, wyczerpały się, by wspomóc naszą walkę w Palestynie. Naprzeciw Hajfy widział pan może Akko<sup>88</sup>, Saint-Jean-d'Acre? Może pan pamięta, że była to ostatnia twierdza i ostatnia pięćdziesiątka ziemi arabskiej, której trzymali się krzyżowcy, okupanci europejscy sprzed ośmiu wieków? Otóż Palestyna to coś w rodzaju tego ówczesnego Akko...

Pamiętam, jak mój rozmówca zastanowił się chwilę i rzekł:

— Co prawda, wyprawy krzyżowe były zorganizowane gorzej: ograniczały się do opanowania kraju, a nie do jego kolonizacji...

Po czym ciągnął dalej:

<sup>85</sup>powstanie sipajów (1857–1858) — powstanie w Indiach przeciwko Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, działającej jako niezależna władza kolonialna w imieniu Korony brytyjskiej; zapoczątkowane przez bunt oddziałów sipajów, czyli żołnierzy indyjskich w armii brytyjskiej, było wspierane przez lokalnych książąt; ostatecznie zostało krwawo stłumione, lecz skutkiem powstania było zlikwidowanie Kompanii Wschodnioindyjskiej i przejście władzy w Indiach bezpośrednio przez Koronę brytyjską. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*les fils dociles de la France* (fr.) — posłuszni synowie Francji. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*nieudały* (daw. forma) — dziś: nieudany. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*Akka* (hebr. אַקּוֹ: Akko; arab. أَكْكَ: Akka) — miasto w Izraelu, zw. także: Akra, Saint-Jean-d'Acre (fr.), położone w Dystrykcie Północnym, strategicznie położone, starożytne miasto portowe, o historii sięgającej epoki brązu. [przypis edytorski]

— Istnieje u nas głęboka niechęć do Europejczyków, niechęć do waszej cywilizacji, którą my, wychowani na Zachodzie, przejrzelśmy na wskroś. Istnieje u nas wola bycia samymi w naszym kraju; możemy współżyć z narodami czy religiami, które znamy od lat, nie zniesiemy obecnych intruzów. Nie zniesiemy ich przede wszystkim dlatego właśnie, że są oni narzędziem okupantów...

W tym miejscu rozpoczęła się moja indagacja. Zadałem memu Arabowi i jego towarzyszom, słabiej mówiącym po francusku, szereg pytań. Zanotowałem niemal dosłownie ich odpowiedzi.

Pytanie: Czy wpływ Żydów nie podniósł ekonomicznie kraju?

Odpowiedź: Podniósł. Najniewątpliwiej podniósł. Przede wszystkim dzięki wniesieniu kapitału.

Pytanie: Czy w Palestynie nie ujawnił się ujemny wpływ Żydów na życie duchowe arabskie? Chodzi mi o to, czy Żydom nie stawia się zarzutów podobnych do tych, jakie są stawiane w Niemczech hitlerowskich?

Odpowiedź: Pod tym względem zdania u nas są nieco podzielone. Przeważnie jednak zarzutów tych się im nie stawia. Ludzie wykształceni im przeczą.

Pytanie: Czy Żydzi, jak się w Europie mówi, tuczą się na krzywdzie Arabów? Innymi słowy, czy panuje wyzysk robotnika arabskiego przez Żydów?

Moi bardzo poprawni rozmówcy nieco się obrazili. Uważali to pytanie za tendencyjne, gdyż znana jest rzeczą, że koloniści żydowscy płacą robotnika arabskiego lepiej, niż był on płatny u właścicieli arabskich (co Żydzi bardzo często wytykają). Wreszcie otrzymałem odpowiedź przeczącą. Istnieje jedyna możliwość wyzysku: oto gdyby Żydów więcej naszło do Palestyny, toby prawdopodobnie zatrudniali tylko swoich robotników.

Pytanie: Czy zagraża zamach żydowski na arabskie świętości (meczet Omara np.) lub coś podobnego?

Odpowiedź była znowu przecząca, z motywacją, że Żydzi palestyńscy są obojętni religijnie, a przynajmniej zajmują się dużo więcej sprawami kulturalnymi, politycznymi itd. niż religijnymi. Z drugiej strony, siła uczuć religijnych ludu arabskiego (a Arabia jest typowym społeczeństwem ludowym, niezależnie od efendich i mieszczan) stoi tu na straży.

Pytanie: Czy panowie obawiają się, by Palestyna mogła stać się krajem o większości żydowskiej?

Odpowiedź: Tak jest.

Odpowiedź ta bardzo mnie zdumiała. W chwili obecnej jeszcze stosunek Żydów do Arabów w Palestynie jest jak jeden do trzech i pół. Bodajże nawet gorszy. Zatem parcie kolonizacyjne Żydów musi być przez tubylczą ludność oceniane jako bardzo silne.

Pytanie: Czy panowie nie widzą możliwości dojścia do porozumienia między Żydami a Arabami, wspólnej akcji w stosunku do Anglików, utworzenia mieszanego ludnościowego państwa, względnie kantonu czy stanu, federacyjnego imperium arabskiego?

Odpowiedź: Nie. Polityka żydowska Anglii, widziana ze stanowiska Żydów, jest połowiczna, ale widziana ze stanowiska naszego jest zasadniczo prosyjonistyczna. Wspólna akcja jest niemożliwa, nie zechcą jej sami Żydzi. Żydzi są tylko czynnikiem w walce anglo-arabskiej, ale nie są jednym z podmiotów.

Pytanie: Gdyby jednak warunki dowiodły czego innego, czy panowie nie sądzą, że mogłoby dojść do kompromisu żydowsko-arabskiego? Czy panowie nie sądzą, że jeżeli jakiegoś wroga nie można zwalczyć, jak panowie zgnetli irredentę koptyjską czy asyryjską, to należy się z nim pogodzić?

Odpowiedź: Są to rzeczy w zasadzie oczywiście możliwe, ale w praktyce nierealne. Jedyną akcją porozumiewawczą ze strony Żydów jest propaganda socjalistyczna wśród naszego ludu. Nie wdając się w ocenę tego, czy ma ona rację, gdy [mowa] o wyzyskiwaniu naszych robotników przez możnych, musimy stwierdzić, że godzi przede wszystkim w te elementy, na których wspiera się politycznie i finansowo ruch arabskiej samoobrony i wyzwolenia. Jest więc akcją mającą na celu osłabienie arabskiego oporu wobec wroga. Przyzna pan, że „akcją porozumiewawczą” to nie jest.

Pytanie: Reasumując, Arabowie są za walką z Anglią i wykluczają możliwość kompromisu z jedynym elementem w kraju, który stanowi oparcie dla „okupacji”, a nadto

Konflikt

rozporządza finansami zdolnymi do realizacji wyzwolenia gospodarczego kraju. Czy panowie nie sądzą, że idąc tą drogą będą musieli długo czekać na rezultaty?

Odpowiedź: Oczywiście. Ale tak jak wielka wojna wygnała Turków, tak samo inna wielka wojna może tu wiele zmienić...

Było to już mówione bardzo dyplomatycznie... Trzeba mi się było nagiąć do tego samego tonu. Ale tu właśnie rozmowa stawała się najciekawsza:

Pytanie: Bardzo słusznie. Ale z drugiej strony panowie mi mówili, że wielka wojna wygnała Turków, żeby usadowić Anglików. Czy ci, którzy liczą na nową wielką wojnę, nie boją się, by z kolei Anglików nie zastąpił ktoś trzeci? Na przykład... Rosjanie. Och, przenośnie, przenośnie... I czy ci, którzy by wtedy przyszli, nie byłiby dużo gorsi i od Turków, i od Anglików? I nie szerzyliby socjalizmu jeszcze gorliwiej niż Żydzi?...

Walka szła już tylko na kryte sztychy.

Odpowiedź: Ci, którzy sądzą jak pan, nie biorą pod uwagę tego, że pierwsza wielka wojna nauczyła Arabów bardzo dużo rzeczy, a między innymi tej, że nigdy nie trzeba pozwalać na czyjeś walne zwycięstwo i czyjs pogrom na głowę.

Rozmowa wchodziła na tematy, co do których moi goście woleli nie wypowiadać się wyraźnie. Ale jej zrab był wystarczający.

Przedwojenna emigracja Żydów do Palestyny natrafiała na antysemityzm. Był to jednak bądź religijny fanatyzm, bądź po prostu żądza rabunku. Po wojnie uległo to przemianie. Zawiedzione nadzieje arabskie skojarzyły się z widokiem wyrastających masowo kolonii żydowskich, z mnożącą się z roku na rok o dziesiątki tysięcy ich ludnością. Żyd, dawny antagonist religijny, pojawiał się na horyzoncie jako antagonist narodowy. Jeżeli chodziło o przeprowadzenie mas arabskich od antagonizmu religijnego do antagonizmu narodowego, to Żydzi byli do tego najlepszą kładką. A pamiętajmy, że przepaście kulturalne w społeczeństwie arabskim są doprawdy całowiekowe.

Ale jakie to od stosunków naszych czy niemieckich różne!

Żydzi u nas są nienawidzeni za „wciskanie się w życie polskie”, za handlowe pasożytniczość na Polakach, za zajmowanie miejsca swym polskim zawodowym konkurentom, za wygląd fizyczny nawet. Żadna z tych racji nie zachodzi w Palestynie. Żydzi tam przywieźli pieniądze, Żydzi bynajmniej w świat arabski się nie wciskają. Tworzą najwyraźniej osobny świat. Chcą tworzyć. O ich nadmiarze nie można mówić, skoro ani kulturalnie, ani ekonomicznie on nie ciąży, przeciwnie. Antysemityzm arabski — to jest coś zupełnie innego niż wszystkie antysemityzmy, niemiecki nawet. Tu nie ma owych racji zawiści, że „Żydzi są wszędzie, Żydzi mają wszystko”, bo to, co mają, tego by bez nich w ogóle nie było. Tu istnieje nie zwyczajny antysemityzm, ale po prostu jedna z tych nienawiści plemiennych, tych narodowych wendet, jak te, które istniały między Armeńczykami a Turkami, nienawiści, których ostatnimi odpryskami w Europie są kraje jak Albania czy Macedonia. Jest to część składowa wielkiej ksenofobii Arabów. Jest to nienawiść najzupełniej ślepa. Jeżeli przeciętny Europejczyk będąc w Palestynie nie widzi, by się doń odnoszono z tą nienawiścią, to dzieje się to właśnie dzięki temu, że cała ona koncentruje się dziś na Żydach, tak że dla innych pozostaje już skąpy udział. Słowo „giaur” z całym swym nienawistnym sensem zostało zastąpione słowem „Żyd”. Ta nienawiść rozsądza wszelkie teorie o antysemityzmie palestyńskim, nawet głoszone przez inteligentnych Arabów.

— Czy pan wie — mówiono mi — że jeden samolot w ciągu ośmiu godzin zbombarduje wszystkie kolonie żydowskie?

Powtórzyłem te słowa Żydom. Odrzekli tylko:

— O ile nam wiadomo, to Arabowie jeszcze samolotów nie mają. W Tel Awiwie jest szkoła lotnicza — żydowska.

Oto dzisiejszy stosunek dwóch narodów.

## ŻYDZI WOBEC ARABÓW

Jakiś dziennikarz francuski napisał, a nasza prasa demokratyczno-antysyjonistyczna („Przełom”) z radością powtórzyła, że Żydzi o sprawie arabskiej wolą nie mówić i nie myśleć. Trudno o bardziej kłamiwy i bardziej śmieszny zarzut. Jeżeli u nas rozum polityczny całych obozów nie zdobywał się na jasne, konsekwentne i realne podejście do takich spraw jak ukraińska, to o syjonizmie powiedzieć tego nie można. Kolejno w ciągu czternastu

Antysemityzm

lat mandatowych weszły na horyzont Palestyny aż trzy koncepcje sprawy arabskiej. Nie ma tygodnia niemal, by prasa żydowska u nas nie zgłębiała po raz tysięczny tej kwestii. Najgorszy antysemityzm nie postawił też Żydom tak oczywiście krzywdzącego zarzutu.

*Koncepcja kantonalna.* Były to pierwsze lata Palestyny mandatowej, rządy pierwszego Wysokiego Komisarza angielskiego, Herberta Samuela, Żyda, który się sprawie żydowskiej nie najlepiej przysłużył. Palestynę, będącą od wieków jednolitym krajem, podzielono na dwie osobne części: na Palestynę właściwą i kraj na wschód od Jordanu, Transjordanię, gdzie usadowiono jednego z synów zasłużonego władcy Arabów, Hussejna, Abdullę. Cel koncepcji był przejrzysty: przypominał poniekąd Hymansowskie rozwiązanie sporu polsko-litewskiego z 1921 roku drogą stworzenia z części ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego dwóch kantonów: litewskiego z Kownem, polskiego z Wilnem. Imigrację żydowską skierowano do umniejszonej o kraj z lewego brzegu Jordanu Palestyny, wzbroniono jej najsurowiej rdzennie arabski kanton, rządzony przez arabskiego emira. Sądono, że w ten sposób zgęści się ludność żydowska na mniejszej przestrzeni kraju, że drażliwą kwestię ograniczy się terytorialnie.

*Koncepcja lewicowa.* Przemozna działalność Histadruth Haowdim i socjalistów palestyńskich i na tym polu pracowała. Gdy stworzenie Transjordanii, jako czysto arabskiego kraju, nie uspokoiło ruchu arabskiego w Palestynie, gdy jednocześnie kierownictwo w nim objął kler i możni arabscy, rzucono hasło zastąpienia walki religijno-narodowej walką klasową. Histadruth począł wciągać w swe szeregi robotników arabskich. Począł ich organizować, począł współpracować z nimi w pierwszych ich strajkach przeciw wyzyskowi pracodawców arabskich. Niemniej mimo bardzo wytężonej pracy w tym kierunku wyniki jej są nikłe, współpraca proletariatu obu narodów przeciw klasom posiadającym słaba, jeśli ją zaś porównać z antagonizmem żydowsko-arabskim — wprost żadna. A wreszcie: zastąpienie w masie arabskiej Mahometa Marksem nie daje jeszcze żadnych gwarancji, czy kiedyś ruch ludowy arabski zamiast pójść na współpracę z proletariatem żydowskim nie utworzy jakiegoś arabskiego hitleryzmu, w którym znajdzie się miejsce i na socjalizm, i na nacjonalizm. Memento hitleryzmu jest dla żydostwa groźnym mementem.

*Koncepcja współpracy.* Podczas gdy Palestyna wrzała walką narodów, ale jednocześnie pęczniała złotem, Transjordania pozostała nadal piaskami. Transjordania miała jednak na czele człowieka, który z synów Hussejna, panujących na innych tronach arabskich, jest bez wątpienia indywidualnością najsilniejszą, zupełnie niepoślednią. Abdulla zrozumiał doskonale, że podniesienie jego nędznego kraju jest niemożliwe bez współpracy żydowskiej, gdyż tylko stąd może Transjordania liczyć na napływ kapitału koniecznego, by jej piaski zamienić na padesy. Wiosną bieżącego roku na radzie królestwa postawiono sprawę pozwolenia Żydom na nabywanie ziemi w Transjordanii.

Dziś jest to sprawa należąca nieco do historii. Wśród nieopisanego wrzasku Arabów palestyńskich i bardzo słabego oporu części transjordańskich, nie bez bardzo czynnego udziału Anglii, pertraktacje z Abdullą Farbsteina i Newmana, dwóch przywódców żydowskich, którzy są twórcami tej koncepcji, projekt został spławiony. Brama do Transjordanii, gdzie istnieją jeszcze z czasów tureckich stare kolonie syjonistyczne, pozostała zatrzaśnięta. Jest to szczebel, jest to jeden moment pewnej akcji. Nikt nie wątpi dziś, że prędzej czy później brama ta się otworzy. Wobec tej szalonej nędzy, jaka panuje w Transjordanii, wobec tego, że z chwilą otwarcia dla Żydów Transjordanii ceny ziemi podniosą się do wyżyn palestyńskich, czyli że majątek każdego właściciela ziemskiego wzrośnie siedmio-dziesięciokrotnie, na dłuższą metę zbyt słabą zaporą okaże się cały gniew (zresztą konkurencyjny) palestyńskich Arabów. Gniew ten mógł starczyć na jeden raz. To jednak nie wszystko. W Transjordanii zorganizowało się potężne stronnictwo, które przy każdej sposobności manifestuje swe sympatie do Żydów. Abdulla ma ogromne poparcie w całym narodzie.

I tu właśnie, przy tym czysto praktycznym rozwiązaniu sprawy, nasunie się może trzecia jeszcze koncepcja; po latach czterech jedno jest w Palestynie pewne: chybiły zarówno wszystkie ataki Żydów na Arabów, jak i wszystkie ataki Arabów na Żydów. Jedynym beneficjentem całej walki była Anglia. Czternaście lat wykazało, że ani usunięcie Arabów z Palestyny, ani wygnanie z niej Żydów nie jest możliwością, wykazało dalej, że jedynym kapitałem, jaki może pójść w te kraje (prócz eksploatacyjnego kapitału an-



gielskiego), to wyłącznie kapitał żydowski. A wreszcie: „zagrożenie” przez Żydów świętościom mahometaniskim jest akurat na tyle uzasadnione, co zagrożenie Świętym Miejscom Chrześcijaństwa. Ludzie, którzy do Palestyny emigrują, doprawdy nie emigrują w tym celu.

*Katolicyzm arabski.* Pamiętam ogromne wzruszenie, gdy w bazylice Nazaretu nie znalazłem na konfesjonalach innych napisów jak arabskie, to dziwne uczucie wiecznej żywotności Kościoła, jego kroczenia coraz dalej, gdy pierwsze z rzędu czternastu kazań w noc wielkoczwartkową na Getsemani wypowiedział po arabsku franciszkanin Arab, gdy widziałem kościółek w Hajfie z rana, w dzień powszedni, biały od zawojów beduińskich i czerwony od fezów. Pamiętam uczucie niesmaku, gdy byłem w domu katolików arabskich, którzy mi przez godzinę tłumaczyli, że oni, stawszy się katolikami, przestali być Arabami, że są „kulturalnymi Europejczykami”, że „z tym tam wszystkim” nie mają „nic wspólnego”. Pomyślałem wtedy z pewną melancholią, że u nas, nie na żadnych Kresach, ale w Słoniemiu, inne misje już nie to że budzą, ale wprost stwarzają nowe narodowości, podczas gdy na ogromnych przestrzeniach Bliskiego Wschodu... Ale fakt przytoczony, choć dość częsty, jest jednak wyjątkiem. Katolicy arabscy stanęli w szeregach panarabizmu. Wyrzekłszy się Mahometa jako proroka, czczą go tym więcej jako narodowego geniusza. Dokonało się to może i wbrew, i bez świadomej myśli katolickich kierowników, ale dokonało się. Mam wrażenie, że katolicyzm ma w Arabii tak wielkie rzeczy do dokonania, jakich nie miał na tym opornym terenie jeszcze nigdy; drogą do tego pełne włączenie arabskiego katolicyzmu w nurt odrodzenia narodowego.

Coś podobnego ma się z żydostwem. Istnieją już dziś rojone tylko, bo gigantyczne plany: zespolenia ruchu syjonistycznego z ruchem panarabskim, wzmocnienia osiednictwa<sup>89</sup> żydowskiego już nie w Palestynie tylko, ale w Egipcie, Syrii i innych częściach Arabii. Niepodległości nie osiąga naprawdę kraj bez kapitałów i bez wykształconych kadr pracowników. Arabia nie ma absolutnie pierwszych, w bardzo małej liczbie drugich, Żydzi dadzą jej jedno i drugie. Dziś aktywną niechęcią żydostwa jest tylko niechęć do Arabów, jutro miejsce jej może zająć aktywna, niezahamowana czym innym niechęć do Anglików.

Są to rzeczy niesłychanie trudne. Na to muszą przede wszystkim Arabowie zrozumieć te wielkie korzyści, jakie unia z żydostwem dać im może. Na to muszą Żydzi zrozumieć, że jedynymi upelnomocnionymi arabskimi nie są specimeny socjalizmu arabskiego, ludzie absolutnie bez znaczenia i wpływów. Głos ma tylko wielki mufti, głos mają tylko ludzie do niego zbliżeni. Nie jest to konstatacja wesoła, to pewne, ale jest realna. Z wrogiem, z którym się ma i wspólne interesy, i wspólnego wroga, można się dogadać. Gadanie z kim innym to tylko niemądre złudzenia, to tak, jakby pertraktując z Rosją w 1933 roku, pertraktowało się z Kiereńskim czy monarchistami. Mimo wszystko mam wrażenie, że stosunki w Palestynie powoli dojrzewają do tej rozmowy. I o Żydach, i o Arabach istnieje przekonanie, że posiadają mało zmysłu państwowotwórczego. Pertraktacje prezesa Farbsteina i Newmana dowodziłyby czegoś przeciwnego. Polityka emira Abdulli również.

## JERUZALEM CHRZEŚCIJAŃSKIE

Podziemia każdego starego domu w tym mieście pustynnych, suchych gór, wypełnia drażona w skale cysterna; miesiącami całymi zawiewa z niej do pokoi dolnych pięter niezdrowy, wilgotny chłód. Ale tak musi być: gdy niespodzianie, ku żywiołowej radości ulicy spada skąpy, krótki deszcz, wtedy z płaskiego dachu kamiennymi rynnymi przez ściany spływa woda do cysterny. Jej pusta, głęboka czelusz wypełnia się; jest obliczona nawet na całe burze i urwania chmur. Miasto w wodę ubogie stworzyło sobie w podziemiach zbiorniki zdolne pomieścić całe rzeki.

Coś podobnego jest z pielgrzymami. Jeruzalem jest małe, jest ubogie nie tylko w wodę, ale ubogie w domy, w ludność. Za to wie, że co roku olbrzymi prąd wyrzuci tu dziesiątki i dziesiątki tysięcy ludzi. Jak te cysterny w skale, tak ponad skałą wystawiono całe gmachy hospicjów<sup>90</sup>, hoteli, przytułków, *palace'ów*, nor. Wystawiali je ludzie pobożni i zwykli spekulanci, katolicy i ewangelicy, kraje i zakony, muzułmanie i żydzi. Pod wiel-

<sup>89</sup>osiedlnictwo — dziś popr.: osadnictwo. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>hospicjum — tu: gospoda. [przypis edytorski]

kim King's David Hotelem stoi od wczoraj srebrno-błękitna hispano-suiza<sup>91</sup>, która nosi tarczę z godłami Andegawenów i Stuartów, i Burbonów, i Kastylii, i Aragonu, godłami, jakie się pamięta ze sztandarów w muzeach, ze zworników spinających żebrowania komnat średniowiecznych; zmęczony człowiek, który nią przyjechał, jest dziedzicem dawno przekreślonych praw do dawno przekreślonego w zjednoczonych Włoszech królestwa... Ale pod Górą Oliwną nie stoi nawet ford. Pod Górą Oliwną, pod białym wysokim murem prawosławnego klasztoru, koczują ludzie, dla których za drogi jest nie tylko King's David Hotel, ale i najtańsze z drogich hospicjów, lub dla których nie było miejsca w Świętym Mieście. Przyjechali tu z myślą, że przecież jakoś będzie, albo raczej bez myśli o tym, gdzie się podzięją i jak. Tylko że Jeruzalem znajduje się obecnie w „fali zimna”, która nie tylko napelnia wodą stare cysterny podziemne, ale ludzi śpiących u stoku góry ziębi wiatrem zimnym i deszczem. Nie ma chyba nic tak dojmująco chłodnego jak chłód nocy na tym jednym ogromnym głazie Góry. Ludzie ci leżą jedni przy drugich, jedni przy drugich — bliżej siebie niż te białe kamienie nagrobków cmentarza, który niżej nieco schodzi tarasami w ową biblijną Dolinę Jozafata. Może, gdy spać im nie da zimna rosa nocy, myślą o innej nocy, o pocie zimnym i krwawym, który zraszał czyjeś skronie w ogroju, u szczytów Góry Oliwnej, w on czas...

Pokazują nam wąską, wspinającą się mozolnie ku górze uliczkę w starym mieście: uliczka jest cała w schodach i opuszczeniu kamiennych, bezokiennych niemal ścian. Jakby ją chciały zdusić, zdławić stare arabskie nory. Pokazują nam tę uliczkę i mówią: *via Dolorosa*. I przestaje to być jedna z tysięcy ulic w tym niespotykanym chyba w całym świecie labiryncie. A potem odnajdujemy wszystko: graniczy z arabskim gwarnym bazarem kaplica franciszkańska, gdzie krzyż Cyrenajczykowi nieść kazano... Białe ma dziedzińce, białe i zieleni mirtów pełne, dom-kościół, stawiany w miejscu Piłatowego wyroku. Ślad przemierzany za śladem. Ślad każdy jest kościołem, ołtarzem. Rozparły one sobą, jak wielkie silne pędy, skłębiony porost brudnych domów arabskiej Jerozolimy, która zbudowała do ostatniego miejsca lysą skalę Golgoty. Błądzi się tu dalej, odnajdując nowe, znane rzeczy, nowe, poznawane ślady. Aż potem jest dziedziniec, dziedziniec niewielki, coś jak ten przed naszą wileńską św. Anną, który ją dzieli od ulicy. Ale w tym zbitym, zwartym mieście robi wrażenie rozrzutnie szerokiego placu. Dziedziniec dwoma długimi stopniami schodzi nieco w dół; jest wielka ciężka budowa z wejściem o łuku romańskim. I wtedy mówią: to tu. Ale ty już wiesz. A jeszcze powtarzają: w tym kościele jest miejsce stracenia i tu jest także Grób. Mówią. Jest się tu po raz pierwszy w życiu, a przecież żachnie się w duszy: po co to mówią. Przecież wiem, że to — tu.

Tymi wszystkimi stacjami Męki, którym zarosnąć gettem arabskim nie dano, idzie już teraz, nim będą tłumy, procesja za procesją, ludzie po ludziach. Idą po prostu wszyscy ludzie, jacy są: wszystkie narody, wszystkie wieki, wszystkie klasy. I wszystkie wyznania: spotkałem Niemców, luteran, szukających za zagubionymi w jakimś zaułku rodakami z jednej i tej samej wycieczki, oczywiście jej nie odnaleźli, aż w hospicjum. Ale oto nadeszła wycieczka francuska czy belgijska z katolickim francuskim księdzem. Poszli za nią. Słuchali pilniej niż inni trudno zrozumiałych dla nich słów obcej mowy. Na Miejscach Świętych powtarzali słowa obcej modlitwy. Robiąc to myśleli pewno, że są jedyni, pierwsi. Ale tu tak jest zawsze i od dawna.

Podróż do Jeruzalem jest droga, bardzo droga. Ubodzy, którzy tu są, to tylko ludzie z najbliższych już stron. Ci z dalekich — poza tymi, co jeszcze są spodziewani — to przeważnie ludzie średniozamożni, zamożni. Jest to aż uderzające, jak wielu się tu widzi myślących, uderzających właśnie tym swoim wyrazem twarzy. Tu idzie pewna elita całych społeczeństw.

Gdzieś przypomina mi się zwrot: „żywa wiara ludu”. To powstało, ukuło się w czasach, gdy słabej, zanikającej, zanikłej wierze religijnej „klas wyższych” przeciwstawiano silną wiarę chłopów. To powstało i ukuło się — ale to już się przeżywa. Przynajmniej w krajach, skąd przyszli ci pielgrzymi. Bo wszystko to są ludzie, którzy wrócili. Oni wszyscy i każdy z nich przekreślają tamto dawne, wczorajsze, zwietrzałe w okresie jednego poko-

<sup>91</sup>*hispano-suiza* — samochód luksusowej marki, produkowanej przez założone w 1904 r. przedsiębiorstwo Hispano-Suiza, działające w branży lotniczej i motoryzacyjnej, a do II wojny światowej będące producentem broni, silników i luksusowych samochodów. [przypis edytorski]

lenia ludzkiego przeciwstawienie. Są pierwszą kadrową kolumną pokolenia, które owo przeciwstawienie przesunie z płaszczyzny życia — w długi rejestr ominiętych przez nawet Piotrową mielizn.

Nie ma takiej świątyni, wielkiej, sławnej świątyni w Europie, której wspomnienie nie łączyłoby się ze wspomnieniem rozszwendanych, rozwielmóżnionych, bezceremonialnych gapiów z lornetkami do „przecedzania”, z kodakami do „przetrzymywania wrażeń”. W Jerozolimie są tłumy ludzi. W każdym z kościołów i Miejsc Świętych stoją niemal ogonki, jak w Rosji po chleb. I nie ma, nie ma „turystów”. To prawie dziwi, bo przecież to wszystko aż się prosi o kolekcjonera wrażeń. To wygląda jakby może, z uwagi na nastrój nabożny pielgrzymów, Wysoki Komisarz albo inna władza palestyńska zakazała zwykłym turystom odwiedzać te miejsca. I to jest zupełnie zrozumiałe. Ci ludzie, ci wszyscy ludzie *przeżywają*. Tu zmieniło się wszystko. Trzeba by przebić kilka może metrów bruku, bruku narosłego jak skorupa, jak rdza i śniedź, żeby dotknąć ręką skały sprzed tysiąca dziewięciuset lat. Musiano by ogniem huraganowym armat walić w to miejsce, by znieść to, co wybudowano na Górze Stracenia przez tych wieków dziewiętnaście. Ale oto przyszły tu tysiące ludzi, którzy bez kilofów i armat na nowo odsłoniли zabudowaną Golgotę. Dla tych ludzi tamtego wszystkiego nie ma. Po prostu nie ma. Są tylko dzieje Jego Śmierci.

W wieczór, w zimne obecnie wieczory Jerozolimy, w wielkich salach hospicjów i wielkich nawach kościołów idzie na tłum zebranych fala rekolekcyjnych nauk. To jest nieco tak, jakby w tych ludziach dzienne, pielgrzymie sprawy na Miejscach Świętych roztopione uczuciem w płynny stop metalu chłody obecnie i krzepły w nowe zarysy odlewu. Porównanie to uważam za oddające możliwie najwierniej to, co widzę tu, w te dni. Może być ono literackie i banalne, i co kto chce, ale doprawdy jest prócz tego wszystkiego i wiernie. O to mi teraz chodzi. To jest doprawdy to samo, jak gdy wyrzewiały na amen, połamany, pospolity szmelc przetapia się na lśniącą świeżość metalu. Pielgrzymi Świętego Miasta są takim stopem. Tu właśnie rozumie się cały sens określenia kojarzącego takie dwa słowa: ogień i wiara. Tak. Wiara jest tu naprawdę ogniem.

## W DZIEWIĘTNAŚCIE WIEKÓW PO PIŁACIE

### Noc na Getsemani

Było już zupełnie ciemno nawet na płaskich dachach-tarasach starej Jerozolimy, gdy zaczęliśmy skośnym zaułkiem schodzić w dół. Tuż zaraz jest ulica Salomona — wąski, łamiący się w zakrętach szlak, który widziany jest z góry wież jakby sznur przeciągnięty luźnie między dwiema starymi bramami wybitymi w murze, którym Sulejman oszańcował ówczesne miasto. Tu był jeszcze ruch, ale już zawałono drewnianymi zasuwami ciemne sklepy bazarów. Był ruch i światło lamp sklepowych i porozwieszanych pod lukami sklepienia, zakrywającego tu zupełnie niebo nad ulicą, latarń. Na *via Dolorosa* było ciemno i tłum.

Idzie ona niemal prostopadle ze wschodu na zachód starym Jeruzalem. Idzie, a raczej spada nierównymi stopniami bruku coraz w dół. Tędy miał iść Chrystus. Więc mijamy kapliczkę stojącą na miejscu, gdzie miał podejść Cyrenajczyk, mijamy pretorium i Miejsce Biczowania. Ale jest zupełnie ciemno. Na prawo i lewo uliczki zupełnie puste. Tą jedną naszą idzie wprost masa ludzi. Pojedynczo i grupami, i w kilku. Na dnie tej uliczki, u stóp tych wysokich, ściśniętych przy sobie domów, jest czarno. Widać tylko rozmazane w tym mroku i czarne kontury postaci, postaci. I słychać kroki, kroki, kroki. Tych, co szli ze mną, zgubiłem w tej ciemni i wszyscy się w niej pogubili, i nikt szukać nie próbuje nawet. Tylko schodzi i schodzi wciąż w tę ciemność, wciąż w dół. Jakbyśmy właśnie z tą wstającą nocą czwartkową schodzili tłumem w jakieś stare i czarne podziemia. Ludzi jest coraz, coraz więcej. Poznaje się to po coraz gęstszych odgłosach kroków, po potrącaniu

w ciemności, po zwolnieniu przymusowym chodu. Coś się jakby w tej ciemności i schodzeniu przypomina z daleka. Z bardzo daleka: to tak, podobnymi do owych zaułkami, szli kiedyś ludzie Zatybrza i Suburry na nocne agapy i nauki katakumb. Jest taka scena z Winicjuszem, Krotonem i Chilonem, z Piotrem i Pawłem z Tarsu w *Quo vadis*. — *Quo vadis? Quo vadimus? Getsemani, vadimus hodie*<sup>92</sup>. — Do Getsemani.

Jesteśmy już za murami miasta, jest szerzej, jest gwarniej. Lampy znaczą z daleka szlak asfaltowej szosy. Huczą na niej motory aut, jedno za drugim, jedno za drugim. Po zboczach Góry Oliwnej, nam na wprost ślizgają się raz po raz światła reflektorów: tędy ujeżdża szeroką, nowoczesną, wygodną „autostradą” angielską każdy pielgrzym, którego stać na buicka, chryslera i taksówkę. Przed nami cały w lampach świeci złoto-biały fronton bazyliki, gdzie był niegdyś Ogrójec: jest to jasny na tle czarnej góry punkt i jest to jednocześnie cel. Tu, w dół od Jeruzalem jakby spływają dwie rzeki ludzi: jedni *via Dolorosa*, drudzy huczącą od samochodów stradą. Takie dwie rzeki.

Nowy, czysty i jasny kościół. Jasny od światel i pełny. Są twarze, po których się widzi, że anglosaskie, że włoskie, że bawarskie (czy też pruskie?) pewno, że słowiańskie. Ale to tylko połowa. Przetyka to gęsto moc białych beduińskich „kuefirów” z czarną obręczą przytrzymującego je sznura nad skroniami. Przetykają je czerwone fezy arabskie, czarne i zmartwiałe jakby twarze Abisyńczyków. I jacyś Chaldejowie, i Kopci, i Armeńczycy, i jeszcze, jeszcze jacyś. Jest się jakby zgubionym. Przy ołtarzu, jasnym od żółtych świec ołtarzu, ksiądz czyta *Ewangelię*: Łukasza, Marka, Mateusza, Jana. Czyta bardzo powoli, z odstępem po każdym prawie słowie, aby łacinę zrozumieli i ci, którzy z niej ledwo coś znają, aby mogli jej teksty śledzić w książeczce. Gdy przechodzi do trzeciej, ma się wrażenie, że to nie jest zwykle czytanie Pisma; że to wszystko to jakby jakiś trybunał olbrzymi, który przyszedł, choć po wiekach, i po wiekach na jakąś dziwną wizję lokalną zbrodni kataklizmowi równej. Jesteśmy na miejscu, gdzie był ów gaj oliwny podmiejskiego folwarku i dokąd weszły późną, wiosenną nocą straże i zbrojni kapłańscy. A jeden po drugim, czterech, świadkami czynu będący, wywodzi nam i przekazuje, oto przez dziewiętnaście przekazuje wieków, swoje świadczenie.

*Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum*<sup>93</sup> — podchwytuje chór ludów, przesuwając perły oliwkowych różańców. Tu modlą się wszyscy. Jest to jakby jakieś chwytnie się słów, najdrobniejszych, najbardziej codziennym użyciem wytartych słów modlitwy. Idzie to niemal rytmicznie i prawie jakby jakaś wspólnie dokonywana praca. Tak wspólnie, z poczuciem, że opuścić tego nie można, że nie wolno odjąć od tego rąk, dźwiga się przy budowie zbyt ciężkie na jednego belki. Ta modlitwa nocna ma właśnie charakter takiej zbiorowej pracy. Jakby ci oto podnosili powoli, coraz wyżej jakiś ogromny, jakiś za wielki ciężar. Jakby on przykuł ich, do siebie przykuł, w tej pracy.

Słuchamy pierwszego kazania. Nie zrozumie jego nikt, kto tu przybył teraz, ale przed ołtarz docisnęły się wszystkie białe „kuefiry” Beduinów i wszystkie czerwone fezy katolików-Arabów. Franciszkanin mówi po arabsku. Przez hieroglif szeleszczących i huczących słów trzeba się doszukiwać tego, co mówi. Wiemy o czym — i słuchamy. Potem mówi Hiszpan, potem Francuz. Kazania tak pójdą do końca. Ale wychodzę i za chwilę jestem przy ciemnym, niewielkim ogrodzie. W tym kraju bezdrzewnym muzułmanie, niechroniący żyć ludzkich, chronili drzewa. Światła oświetlają ich osiem; prastarych, rozłożystych jak wielkie polne grusze oliwek. Tradycja mówi, że modlił się On tu właśnie. Stąd od miasta przyszli tamci, aby wywieść i stawić przed sanhedryn.

Nad Cedronem, który w głębokim jarze oddziela Miasto od Góry, jak oddzielał je *onego* czasu, nad Cedronem i białą za dnia od nagrobków Doliną Jozafata, gdy wracam z Getsemani, trwa przeraźliwie czarna, niemal zupełnie bezgwiezdna noc. Ludzie wracają grupkami, ale jest bardzo luźno i bardzo pusto na tej drodze. Miasto jakby zmartwiało; prawdziwą ciszę miast w żałobie ma noc w Jerozolimie. Minęła mnie jakaś grupa idących, rozmawiali jakąś mową, która nawet chyba nie była arabska. Spod murów miasta oświetlony fronton Getsemani jest białą, maleńką plamą w ciemności. Tylko na prawo, niezasłonięte masywem Góry Oliwnej, pasmo szczytów zaczyna się już jakby odcinać,

<sup>92</sup>*Quo vadis? Quo vadimus? Getsemani, vadimus hodie* (łac.) — Dokąd idziesz? Dokąd idziemy? Dziś idziemy do Getsemani. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum* (łac.) — Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z tobą (początkowe słowa jednej z modlitw chrześcijańskich). [przypis edytorski]

Modlitwa

Słowo

odcinać bardzo, bardzo powoli od blednącego jeszcze wolniej chyba nieba i bielegą u stóp jego gęste, podnoszące się ciężko mgły. Nad Morzem Martwym one wstają i za nim, za ścianą gór Transjordanii wznosić się zaczyna słońce.

Zasypia się twardo, ale trudno, jakby po jakim złym i męczącym śnie. Coś cięży gorzej niż zmęczenie, jak hipnoza. Oczy się chowa po chwili i odwraca się od wielkiego, klasztorного okna, od bladego, smutnego świtu Wielkiego Piątku.

#### Droga Krzyżowa

Jest od rana deszcz i to okropne, wilgotne zimno, jakie panuje w Jerozolimie, gdy choć na chwilę nie ma słońca. Od rana też *via Dolorosa* idą pielgrzymki ku Golgocie. Dopadam pierwszej stacji Męki Pańskiej. Jest to ulica i tylko ulica, a na niej bielszy jakiś od innych gmach dawnego pretorium. Ale dziś przejdziemy tu tylko i przejdziemy koło kaplicy, z którą tradycja łączy cierniem Koronowanie, i koło innej na miejscu więzienia i jeszcze innej, nieco przedtem, gdzie miało mieć miejsce Biczowanie. Wszystkie te małe kaplice zalane od rana ludźmi. Nie można sobie wystawić<sup>94</sup> tej mocy ludzi, tego jakiegoś napięcia, z jakim się tu wstaje o świcie, by być „na czas”. Idę z grupą wycieczki hiszpańskiej. Rozumiem bardzo mało ze słów szumnych i jakby klaszczących, jakimi hiszpański *conducilore*, franciszkanin, przypomina za każdą mijaną stacją to, co tu miało miejsce wieków dziewiętnaście temu. Ale przecież rozumie się tyle, ile trzeba. Tych rzeczy za wielkich i za ciężkich dla wszelkiej ludzkiej mowy, jedynych, wobec których nawet przeczudna i przesiłna prostota łaciny jest za blada i za słaba — tych rzeczy najbliższej podchodzą te iberyjsko-romańskie, a jakby nieromańskie dźwięki. Jest w nich coś, czego nie ma nigdzie indziej i czego najbardziej chyba na tej *prawdziwej* Drodze Krzyżowej brak, jakaś groza, jakieś przyciszenie głosu, jakieś jego niemal w krzyku bólu podniesienie, gdy się mówi o tym, co tu było. To nie jest żal, tu nie ma nabożnych i zrezygnowanych dobrotliwie wzdychań, gdy się w dalekim parafialnym kościółku obchodzi stacji czternaście tak samo, jak przesuwają paciorki koronki. Tu nie ma tego, co tam wszędzie jest i być musi — poczucia olbrzymiego dystansu, dwóch olbrzymich potężnie dystansów: Czasu i Przestrzeni.

Jest tłok, deszcz jest teraz ulewny, idziemy jeszcze wolniej. Oto tam minęliśmy miejsce, gdzie upadł po raz pierwszy pod ciężarem Drzewa, i tam, gdzie powtórnie, i tam, gdzie strażę zawróciły Cyrenajczyka. W tej ulicy, pnącej się aż po nakryty kościołem krzyżowców szczyt Golgoty, postępuje nas przy sobie może z pięć, może siedem osób. Stacja idzie po stacji. Jesteśmy coraz bliżej Grobu. To takie dziwne — ale to jakbyśmy, idąc tak od stacji do stacji, ód śladu do śladu, wyszli z siebie, z tego „siebie”, którym jesteśmy, i z naszego czasu i wieku. Jakbyśmy byli coraz bliżej *tamtęgo wszystkiego*. Rokrocznie w Neapolu podczas mszy świętej odżywa podobno zaschła i trzymana w ampulce krew biskupa-męczennika z VI wieku chrześcijaństwa. Ale tu, teraz — dzieje się coś o wiele większego. Dzieje się też rzecz bardzo prosta, o której uczy z ambony każdy proboszcz w każdej deskami zabitej od świata parafii i mówi najnaiwniejsza ksiąźka do nabożeństwa: oto nie dzieli nas już od Pasji Pańskiej nic. W myśli i w modlitwy wsiąka skądś okropne znużenie prowadzonego na kaźń Straceńca i wroga ciekawość roznamiętionej ciżby, i bezsila tych bardzo niewielu, i cała błogosławiona a potworna owych chwil zgroza. Wsiąka to w nas jakby i przepętnia. Wsiąka starym wspomnieniem, spłowiwałymi do cna przez tyle wieków opisami *Ewangelii*. Jest takie szare i biedne, i wybladłe jak te trochę rudawej rdzy zakrzepłej na dnie kryształowej ampulki w Neapolu. I tak samo — nie! wspanialej, potężniej, ogromniej — burzy się w nas, podnosi, wzbiera, rozkrwawia i rozpurpurza świeżą czerwieńią żywej jeszcze, ledwo wyciekłej Krwi.

Wszyscy oto przeszli już wąskim pod łukami przechodem na ten niewielki dziedzińczyk przed stawianym przez Gotfryda z Bouillonu<sup>95</sup> kościołem Grobu Pańskiego. Sam nie

<sup>94</sup>wystawić sobie (daw.) — wyobrazić sobie. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>Gotfryd a. Gotfred z Bouillon (ok. 1058–1100) — oryg. fr. Godefroy de Bouillon; ksiąźkę Lotaryngii z rodu Ardennes-Verdun; jako jeden z pierwszych baronów odpowiedział na apel wzywający do krucjaty przeciwko muzułmanom i odbicia Jerozolimy z rąk Turków Seldżuckich, wystosowany przez synod duchowieństwa chrześcijańskiego zwołany przez papieża Urbana II w 1095 r. w Clermont. Dla sfinansowania wyprawy do Zie-

wiem, jak i czemu zostałem na tej ulicy, zgubiłem pielgrzymkę hiszpańską i którąś niemiecką, i jeszcze jakąś, po której szli czarni — czy się tam wreszcie wie, ile ich przeszło! U końca *via Dolorosa* jest teraz wolniej i przestronniej. Jest to znowu jedna z wielu wąskich i brudnych uliczek. Jak wszędzie i takie jak wszędzie kobiety w półzakwefione noszą wodę, cenną tu strasznie wodę, w czarnych buklakach ze skóry i w blaszanych „szescianach” od benzyny samochodowej. Ślizgają się, idąc po oblepionych<sup>96</sup> deszczem i lepkiem błotem brukach. Jest szaro i brudno. Ale się stoi i patrzy na te krzywe, wąskie kamienie arabskiego bruku. Patrzy się i widzi je obslizgłe i od tego wilgotnego brudu niemalże czarne. Oczy wypatrują tu śladów, których nie ma od bardzo, bardzo dawna, ale o których się nie tylko wie, ale i czuje, że *tu* zapadły, znacząc Drogę Golgoty niezmazaną<sup>97</sup> pieczęcią męczeńskich, krwawych plam.

Droga Krzyżowa w Jeruzalem w Wielki Piątek jest tragicznym przeżywaniem innej Drogi, ale jest przeżywaniem wzniosłym. Obraz kościoła Grobu Chrystusa Pana, miejsca, które obejmuje i sam Grób, i miejsce, gdzie zawisł na Krzyżu, jest obrazem potwornym. Jest obrazem strasznym. Jest niewymownie, niewysłowienie przykrym. To, co się dziś tu dzieje, można by wpleść tylko w propagandowo-bezbożniczy film ZSRR o religii.

Kościół, na miejscu Konstantynowej bazyliki, zbudował Gotfryd z Bouillonu. To, co tu stoi, stoi przez krzyżowców, stoi wzniesione w owej epoce, gdy rycerstwo Zachodu poszło całe bronić Miejsc Świętych. Świadczą o tym po dziś dzień cudne, romańskie, prawdziwe w swym prostym pięknie latyńskie łuki fasady. Ktoś kiedyś powiedział Turkom dumnie, że ten kościół stoi nie tylko na skale, że stoi także na stali mieczy szlacheckich. Sułtan Omar to zrozumiał — i swą prześliczną moszceę wznosił na gruzach, o które by się żadne nie upomniały już miecze, gruzach świątyni Salomona. Ale w dziewiętnastym wieku poprzez te filary ze stali żołnierskich mieczy przepelzło i wypełniło po brzegi kościół żółte złoto greckie.

Targ w targ, układem po układzie, podstępem po podstępie, w tych czasach, gdy Petersburg ciążył nad Stambułem, i Kalwaria, i Grób, i niemal wszystko ze świętości kościoła krzyżowców przeszło we władanie prawosławia. W ich — ale i całego, choć pośrednio, chrześcijaństwa — interesie rzućmy zasłonę na dzieje tych lat zdobywania... Rzućmy ją z litości, albowiem ten sam, przemożny niedawno złotem i poparciem, Kościół smagany jest nie tylko tym, co się dzieje w Bolszewii, ale i tym, co się dzieje w zagarniętej przezeń Świętości.

W wielkiej rotundzie, pod kopułą, w centralnym miejscu kościoła stoi wysoka na cztery może metry budowla z różowego, wpadającego w brązowy kolor marmuru; jej płytkami okryto grotę skalną, gdzie Józef z Arymatei gotował sobie grobowiec. Jest to kaplica latyńska i barokowa, ale całą jej górę zajęły i przesłoniły liche jako sztuka, ale liczne, ale cisnące się jeden przy drugim święte obrazy — prawosławne. Oświecały je dziesiątki i dziesiątki lamp, dziesiątki palących się świec. Mury poczerniały od sadzy. Wszystko razem — sam nie wiem czemu — przypomniało mi obrazy buddyjskich świątyń bardziej niż cudną Ławrę Peczerską. Nie poznawałem prawosławia. I nie poznawałem prawosławnych. Było to przed jakimś ich nabożeństwem i kościół był ich pełen — i wrzał w najlepsze rozmową w śmiech wpadającą. Śmieli się czerńcy i kobiety, i Arabowie w zawojach. Pod Grobem rozłożone były maty i na tych matach piknikowały sobie w najlepsze, plecami o Grób wsparte, kompanie. W paru miejscach odgrzewano coś na prymusach. Koło kaplicy Koptów, wtulonej w ścianę Grobu, jakieś dzieci podziwiane przez siedzącą obok matki biegały od filaru do filaru. Cuchnęło bobem, tłuszczami, rybą,

Świątynia

mi Świętej poniósł znaczne wydatki, sprzedając lub zastawiając swoje dobra u biskupów Verdun i Liège i stał się jednym z przywódców pierwszej krucjaty krzyżowej. 15 sierpnia 1096 r. wyruszył do Ziemi Świętej wyruszył wraz ze swoimi braćmi, na czele armii złożonej z oddziałów Lotaryńczyków, Flamandów, Saksończyków i Nadreńczyków; pod koniec grudnia 1096 r. dotarł do Konstantynopola, złożył hołd lenny cesarzowi Aleksemu I, przyrzekając zdobyć i przywrócić Bizancjum wszystkie dawne posiadłości Cesarstwa. Podczas oblężenia Jerozolimy dowodził siłami atakującymi z płn. wschodu; jako jeden z pierwszych wdarł się do miasta 15 lipca 1099 r. Po zdobyciu Jerozolimy pełnił władzę królewską, przyjąwszy tytuł Obrońcy Grobu Świętego. Zginął 18 lipca 1100 r. pod Hajfą, podczas wyprawy przeciwko sułtanowi Damaszku. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>oblepły — dziś popr.: oblepiony. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>niezmazalny — dziś popr.: niezmazywalny. [przypis edytorski]

oliwkami, wszystkim, czym cuchną arabskie stragany. Po twarzach tych ludzi szukałem modlących się. Nie znalazłem.

W Troickim Soborze prawosławnym jest naprawdę całe piękno, dumne i pokorne zarazem piękno bizantyńskiego stylu i bizantyńskich obrzędów. Widzi się obrazy, które nie są szkaradą, i ludzi, którzy nie przyszli tu na widowisko bezpłatne. U Grobu można by pomyśleć, że to nie ci sami ludzie. I podobno nie są to ci sami. — To Grecy — mówił o nich z niechęcią rosyjski *batiuszka*. Istotnie, to byli tutejsi greccy prawosławni lub prawosławni Arabowie. Ludzie ci spędzali noc i dzień w kościele, noc do rana. Byłem w nocy, gdy tłum ten czekał na uroczystość „święcenia ogni”. Podobno jest to uroczystość wzięta, jak wiele innych przecież, z zamierzchłych, z pogańskich obrzędów. Podobno też, że dla tych ludzi to największa ceremonia Wielkiego Tygodnia. To bardzo jasne, dlaczego ci ludzie są poganie. To nie jest różnica kultur, to nie jest różnica obrządków, różnica w dogmatach, jaka leży między nimi a nami. Jest to po prostu uzewnętrzniona tylko różnica wiary. Są to poganie chrześcijańskiego obrządku, Można powiedzieć, że przemawia tu niechęć katolika do prawosławia, zawiść obrządkowa, wszystko. Można powiedzieć, że w tym określeniu tkwi jakaś dziennikarska skłonność do paradoksu. Gdyby widzieć to, co się działo w tym kościele w te święte dni!

Nad tym najbiedniejszym na świecie, nad tym sponiewieranym kościołem ciąży inne jeszcze przekleństwo: nie darmo jest to jedyny dach, pod którym spotykają się jeszcze wszystkie — przynajmniej główne — obrządki. Jest tu w każdym kącie owa bezpieczeństwa, jego nawy podzielono i wykrojono granicami, czas podzielono na godziny tych i tamtych. W tym dziale spadkowym chrześcijaństwa trwa ów dział żołnierzy rzymskich, żołnierzy gdzieś na tych miejscach klójących się o suknie zdarte ze Skazańca.

Religia, Chrystus,  
Dziedzictwo

Policjanci angielscy pilnują porządku cisnących się do niewielkiej i ciasnej komory Grobu. Schodzi się do niej i staje przed białą, marmurową, oszlifowaną od pocałunków ludzkich, tych ludzi koczujących w kościele, płytą. Zakrywa ona wykute w skale leże Grobu. I wtedy staje się coś takiego, jakby za tymi ciasnymi murami kaplicy nie było świątyni wypełnionej wrzawą drących się o miejsce i co tam jeszcze, klójących się i żartujących, jedzących i śpiących ludzi. Jakby nie było tego rozbicia i rozdwojenia, i sporów, które w miejsce Turków rozsądzą zdruzzeni Anglicy. Tamto wszystko nie istnieje już więcej!

Po chwili, na znak dany przez czuwającego u Grobu duchownego prawosławnego, wychodzi się. W kościele jest wszystko, jak było. Wyrywają się ludzie, których aż rozpychać trzeba, Arab proponuje miejsce w urządzonych z mat „łóż” w arkadach otaczających rotundę Grobu. „Łóż” jest trzydzieści dwie: są to wąskie kłitki zapchane już ludźmi. Za noc, od osoby, Arab żąda pół funta i spada na dwadzieścia piastów. Znaczący to piętnaście i sześć złotych. — *Très curieux, très curieux* — zapewnia. Jacyś turyści fotografują przy magneszji. U wyjścia arabscy „stróże” świątyni, grzejąc się przy węglach, grają spokojnie w jakąś grę... Z umieszczonej o piętro wyżej kaplicy, gdzie stały Krzyże, dochodzą jakieś gardłowe, półdzikie dla nas pienia. Ale teraz zapadła już jakaś zasłona między nas — a tamto wszystko.

#### *Resurrexit*

Wielka msza pontyfikalna przed ustawionym u wejścia do Grobu srebrnym ołtarzem przenośnym ma się ku końcowi. Jest jasny dzień i słońce, są inni ludzie. Jest jakieś nabożeństwo godne i ciche, i rozumne, jest jakaś wielka cisza przepelniona tym nabożeństwem.

W całym kościele tłumy, tłumy, tłumy. Stoją pielgrzymki niemieckie przy polskich, włoskie przy francuskich, hiszpańskie, angielskie. Gdy milkną organy, nie słychać niemal nic. Msza się ciągnie, potem rezurekcja i procesja. Strojni po wschodniemu *kawasi*

konsulatów przodują jej, uderzając ciężko okutymi laskami w kamienne płyty posadzki. Przez tłum trzykrotnie obchodzi Grób jasna od białych komż, złota od jasnych ornatów.

*Te Deum*<sup>98</sup>. W szare od kadzidelnic powietrze bije z tej pieśni triumf zwycięstwa, zwycięstwa pewność, zwycięstwa słodka radość. *Resurrexit sicut dixit*<sup>99</sup>. *Alleluja, alleluja*. *Via Dolorosa* i Wielki Piątek, i tych<sup>100</sup> trzy dni Wielkiego Tygodnia — wszystko to się tu spala z tym kadzidłem, rozprasza po świecie ze zwycięskimi tonami hymnu. Biją ciężkie dzwony kościoła, rozdzwoniły się u franciszkanów, u bernardynów, na Syjonie, na Górze Oliwnej. Biją silniej i mocniej, biją naprawdę *urbi et orbi*<sup>101</sup>. Jasnym niedzielnym rankiem niosą się nad białe od kamieni góry i zielone wzgórza, i kamieniste drogi polne najdalszych okolic Jeruzalem. *Resurrexit, resurrexit, resurrexit*. Słuchają tej wieści stare na Getsemani oliwki.

## TAK OGROMNIE RÓŻNE DROGI

*Das wirkliche Deutschland*<sup>102</sup>

W piątym dniu pieszej wycieczki, jaką z młodym Żydem z Polski, Arią Buchnerem, odbyłem po koloniach Palestyny północnej, dołączył się do nas trzeci towarzysz. Spoktaliśmy go wczesnym rankiem u wyjścia z Tel Or i pierwsze zamienione słowa zgłuszał nam jeszcze szum wód Jordanu, wpadających z łoskotem w rozwarte czeluście turbin elektrowni Rutenberga. Był to młody, najwyżej dwadzieścia trzy lata liczący chłopak, który wędrował do swych towarzyszy w kolektywie syjonistycznym, kibucu, za Tyberiadą. Nie miał w sobie jednak nic z robotniczego, trochę ciężkiego typu palestyńskich chaluców. Zresztą był kraju zaledwie od roku, a pochodził z Berlina. Było to dla mnie swego rodzaju sensacją, nie tylko ze względu na to, co się właśnie w tym czasie (kwiecień 1933) działo w Niemczech, ale po prostu dlatego, że dotąd niemieckich Żydów spotykałem bardzo mało. We trzech szliśmy odtąd prawie pół dnia drogą idącą przez sam środek doliny Jordanu.

Okazało się, że nowy towarzysz zna Polskę. Był w Polsce z wycieczką; bawiła ona u nas trzy tygodnie. Młody Żyd poznał wtedy Warszawę, Wilno, nawet Białystok. Ale poznał jeszcze szereg zupełnie małych, jak mówił, miejscowości, z których wymienił kilka: Kutno, Sochaczew, Nowe Miasto, Mławę. Zdziwiłem się: cóż mogło ściągnąć do Mławy pierwszego tam chyba zagranicznego turystę?

— *Wir suchten das religiöse Judentum*<sup>103</sup>.

Tak rozpoczęła się opowieść młodego Żyda. Nie miała ona ani przez chwilę charakteru spowiedzi w stylu rosyjskich, łatwych i „szerokich”, wynurzeń. Wszystko mówione było z tą jedną jedyną myślą, aby ten obcy, który wybrał się aż nad Jordan w celu poznania żydostwa, zrozumiał racje, które sprawiają, że palestyński kolektywnik, kibucnik, socjalista i syjonista szukał wszystkich innych dróg, nim znalazł tę ostatnią.

W opowiadaniu były rzeczy, których się przedtem domyślałem. Młody człowiek, miał w sobie coś, co tchnęło i dobrobytem, i staranną, wszechstronną kulturą. Poza tym wyglądał, jak powiedziano by w Niemczech, na chłopca *von der guten Kinderstube*. Opowiadanie sprecyzowało mi takie szczegóły, że *Kinderstube* mieściła się w Berlinie, w domu rodziny od pokoleń zamieszkałej w Brandenburgii, bogatej, przemysłowej burżuazji. Ojciec umarł w czasie wojny na skutek zatrucia gazami na froncie zachodnim. Matka pozostała sama, bodaj z dużym majątkiem, opowiadający tego specjalnie nie podkreślał, ale i nie ukrywał. Pozostała z dwoma synami, z których starszym był właśnie mój nowy towarzysz.

Rodzice nie należeli już do żadnej gminy wyznaniowej. Dzieci na Boże Narodzenie miały drzewko. Choinka, obwieszona srebrną wata i szklanymi świecidłami, to była

Religia, Obyczaje

<sup>98</sup>*Te Deum* (łac.) — Ciebie Boże (wysławiamy); początkowe słowa jednej z pobożnych pieśni chrześcijańskich. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*Resurrexit sicut dixit* (łac.) — zmartwychwstał, jak zapowiedział. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>*tych trzy dni* — dziś popr.: te trzy dni. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*urbi et orbi* (łac.) — miastu i światu (formuła używana w odniesieniu do błogosławieństwa udzielanego przez papieża po uroczystej mszy w Niedzielę Wielkanocną w Rzymie). [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*das wirkliche Deutschland* (niem.) — prawdziwe Niemcy. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*wir suchten das religiöse Judentum* — szukaliśmy religijnych Żydów (religijnego żydostwa). [przypis edytorski]



szczętkowa forma cudzej religijności w asymilowanym środowisku, utrzymana dla wieku zabawy klockami i ołowianymi żołnierzami. Ołowiani żołnierze mieli jeszcze w życiu tych małych Żydów odegrać rolę chyba wyjątkowo ołowianym żołnierzom przydzieloną: oto kiedyś, w tym właśnie czasie, małe posłyszał w rozmowie starszych niezrozumiałe słowo *die Juden*.

— *Mama, was sind das — Juden*<sup>104</sup>?

— *Billige Bleisoldaten; deine sind viel, viel bessere*<sup>105</sup> — uspokoiła ciekawość matka.

Pierwsze lata berlińskiego gimnazjum, choć nie były to bynajmniej czasy obecnego roznamiętnienia, powiedziały dzieciom o Żydach i żydostwie mniej więcej wszystko. Szkoła, w której uczyli się obaj chłopcy, skupiała bardzo duży procent synów z zamożnych zasymilowanych rodzin żydowskich Berlina. W siódmej klasie gimnazjalnej ci młodzi chłopcy, z których domów dawno wymieciono ostatnie ślady semickiego pochodzenia, poczuli się Żydami całą siłą swej duszy. W tych chłopcach, wypielegnowanych w czystości, wygodzie i luksusie, separowanych od kontaktu z żydostwem z nie mniejszą troskliwością niż od kontaktu z tym wszystkim, co mogłoby szkodzić np. zdrowiu, obudziła się niespodziewana tęsknota, chęć powrotu do zupełnie im już nieznannej religii ojców. — Chcieliśmy wrócić do niej, pozostając nadal ludźmi współczesnej kultury — powiedział w tym miejscu nasz towarzysz. Robią więc wycieczkę do Polski, bo słyszeli wiele fantastycznych wprost historii o jej getcie, którego już w Niemczech nie ma. Pamiętam, jak podkreślił wtedy, że chodziło im o religijne (*religiöse*) getto. Wędrują po Mławach i Sochaczewach, po chederach i jesziwach. Mówią ze starymi rabinami i z ich uczniami, ze swymi rówieśnikami, z którymi nie mogą już odnaleźć wspólnego duchowego języka. Opowiadał nam, jak patrzano na nich na pół nieufnie, na pół ciekawie. — *Dann aber kehrten wir zurück; in dem Ghetto war nichts zu suchen*<sup>106</sup>.

Ten socjalista mówił ostatnie słowa z bardzo głębokim przekonaniem, ale jak gdyby i z żalem. Ci, co w roku 1926 wybrali się z Berlina do Mławy, nie rozstali się już po powrocie. Jako studenci stają się duszą pewnego stowarzyszenia, które po niemiecku łączy cechy organizacji krajoznawczo-turystycznej z ideową. Jej nazwa brzmiała — nie ręką za dokładność — *Deutsch-Jüdisch Wander-Verein*<sup>107</sup>. Pamiętam w każdym razie, że w jej tytule było *deutsch-jüdisch*<sup>108</sup> i że właśnie pierwszeństwo tego *deutsch* przed *jüdisch* podkreślał mi jeszcze opowiadający. A więc asymilacja. Asymilacja — ale o pewnym podłożu ideowym. Asymilacja synów chciała być czymś innym niż asymilacja ojców z ich choinkami na Boże Narodzenie i unikaniem myśli o Żydach. Na gruncie tej organizacji i poza nią rozwinęli szeroką akcję wśród młodzieży. Był to wielki zbiorowy wysiłek nad zasklepieniem owej szpary, której nie było jeszcze dla nich w epoce *Kinderstube* i *Bleisoldaten*, ale która rosła wraz z nimi w coraz to większą szczelinę na jednolitej dotąd ścianie społecznej asymilacji niemiecko-żydowskiej. W generalnym jakby skrócie, w ślad za urywanymi, streszczającymi zdaniem przebywaliśmy tak cały okres studiów zamożnego chłopca w Niemczech ostatnich lat. Starcie z potężniejącą falą antysemityzmu. I naraz na końcu tej długiej drogi coraz ciaśniejszego i coraz słabiej rozświetlającego rosnące wkoło mroki chodnika asymilacji — wielkie światło. Ruchy społeczne. Marks. Kojarzyło się w nich zrazu wszystko: i wytłumaczenie walk, które wiedli z szowinizmem, i wytłumaczenie społecznego celu pracy. Przyczyny zła, drogi ratunku. (Nie mówił tego wyraźnie, ale czułem, że wtenczas i on, i oni wszyscy poczuli szukać jakiegoś moralnego usprawiedliwienia własnej zamożności w obliczu nędzy innych). — Matka kochała nas bardzo i dawała nam wszystko, cośmy chcieli. Ale gdy trzeba było pieniędzy na pismo, któreśmy wtedy wydawali, na prace organizacyjne, musieliśmy dawać do zrozumienia, że to na długi w nocnych lokalach.

Pozycja społeczna, Idealista,  
Matka, Syn

<sup>104</sup>*was sind das: Juden* (niem.) — co to jest: Żydzi. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*billige Bleisoldaten; deine sind viel, viel bessere* (niem.) — tanie ołowiane żołnierzyki; twoje są dużo, dużo lepsze. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*Dann aber kehrten wir zurück; in dem Ghetto war nichts zu suchen* (niem.) — Potem jednak wróciliśmy; w getcie nie było czego szukać. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*Deutsch-Jüdisch Wander-Verein* (niem.) — Niemiecko-Żydowskie Towarzystwo Wędrowców. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*deutsch-jüdisch* (niem.) — niemiecko-żydowski. [przypis edytorski]

Marksizm był tylko etapem przejściowym całej grupy i obu braci. Rozłam — raczej rozejście się — rzucił część ich ku komunizmowi. Część ku syjonizmowi. Wiosną roku 1931 grupa syjonistyczna stanęła w Palestynie. Stała się załóżkiem niemieckiego kibucu.

\*

W tym właściwie niezmiernie prostym opowiadaniu były jednak takie akcenty, takie, jak by powiedzieć, podkłady czy odcienie, których niestety nie ujmie najwierniejsze i najstaranniejsze streszczenie, na które trzeba by talentu powieściopisarza. I wtedy już, gdy mówił, i potem, kiedy pożegnawszy go skręciliśmy w lewo ku czerwonym dachom Daganii, miałem wrażenie, że to wszystko budziło we mnie pewne zdziwienie, pewne „ach, więc to było tak?”, a zarazem i pewne, równie nieokreślone jeszcze, reminiscencje.

1. Ten młody człowiek, można by powiedzieć, znalazł się w życiu po raz pierwszy sam wtedy, gdy nas spotkał. Dotąd wszystkie reakcje duchowe, wszystko, co czynił, wszystkie procesy ideowe i kryzysy, które przebywał w życiu, przebywał w całej grupie, w całym zespole. I zwrot do religii, i powrót do asymilacji, i socjalizm, i syjonizm — przez wszystko to przechodził z *innymi*.

2. Nad tymi młodymi ludźmi, moimi rówieśnikami z innego kraju i narodu, zawisło jakby sokratyczne dajmonion<sup>109</sup> doktora Judyma<sup>110</sup>, ale już o pewnym pozytywnym, nie przeczącym tylko, sensie, w formie duchowego imperatywu, musu. Ten imperatyw rzucał nimi dosłownie w różne strony, aż wreszcie rozbił ich rodziny i dom. Pozwalał porzucić wszystko z tym niezmaconym spokojem, który odgadywałem u mego przypadkowego towarzysza, porzucić bez cienia walki ze sobą, porzucić, jak się porzuca znoszone ubrania lub książki, od których ducha już się odeszło. Ten młody człowiek doskonale zdawał sobie sprawę, czym i on, i brat jego byli dla swej matki; ale dla nich obu była ona bodaj przede wszystkim matką od *Bleisoldaten*, tą, która łatwiej dawała pieniądze na bumberkę niż na ich pismo. Odchodząc od niej, uczynili to z tym wielkim, niezmaconym spokojem, który istnieje u dzieci idących do klasztoru i który, przynajmniej dla mnie, ma w sobie prawie zawsze coś z podskórnego okrucieństwa.

A przecież nie te dwa momenty uderzyły mnie najbardziej. Oto wtedy na drodze polnej z Tel Or do Tyberiady spotkałem *pierwszego w moim życiu* młodego człowieka, mego rówieśnika, z Niemiec, z Zachodu. Słyszałem o nich i czytałem bardzo wiele. Wiedziałem, że — do bardzo niedawna — ich klasa społeczna, ta sama co moja, nie uległa tej co u nas pauperyzacji wojennej. Uczono nas, że panuje tam ogromna, zupełna swoboda, w każdej dziedzinie i dla wszystkich. Przyzwyczajono do myśli, że jest to świat bez burz i zgrzytów, zarządzający życie jak wnętrza mieszkań: z troską o komfort, zajęty jedynie racjonalizacją jak najpełniejszego, jak najradośniejszego pochłaniania całej urody życia. Przeogromna swoboda, „łatwość” stosunków płciowych. I naraz, po tym wszystkim, słucham takiej żywej, szczegółowej relacji jednego z tych, o których się pisało. I wszystko, co mówi, jest przeciwieństwem tego, co pisano. Ta cała młodzież, ta z pierwszego planu opowiadania i ta z drugiego — hitlerowcy — wszystko jedno nawet która, to przecież ludzie, których troska życiowa jest *odwrotnością tego, co nam mówiono*. Doskonale pamiętam, jak jednego z mych przyjaciół w lekturze *Miłości koleżeńskiej* Bedela uderzyło najbardziej nie to, że *chacun a sa chacune*, ale po prostu to, że na każde studenckie *couple* przypada co najmniej — *jedno auto*. Mogłem najwiarogodniej sądzić, że mój towarzysz mógł je mieć — a może i miał nawet — i mogłem stwierdzić, że auto i reszta to były rzeczy, które na giełdzie jego młodości nie liczyły [się] wcale.

<sup>109</sup>*dajmonion* (z gr. *daimōn*: bóg, demon) — w filozofii staroż. rodzaj odzywającego się w duszy człowieka wewn. głosu, sumienia, głosu bóstwa itp. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>*doktor Judym* — Tomasz Judym, główny bohater powieści Stefana Żeromskiego *Ludzie bezdomni*; sam pochodzący z nizin społecznych, dzięki szczęśliwemu rządzeniu losu oraz własnym zdolnościom i ciężkiej pracy uzyskał świetne wykształcenie: ukończył studia medyczne na Sorbonie w Paryżu; jednak nie uległ pokusie konsumowania swojego sukcesu i nie zajął się np. leczeniem zamożnych pacjentów, lecz, kierując się ideami altruizmu, organicyzmu oraz pracy u podstaw, poświęcił się ostatecznie działaniu na rzecz podniesienia warunków życia ludzi ubogich i najbardziej potrzebujących pomocy lekarskich, jak robotnicy w Zagłębiu Dąbrowskim; aby realizować ten wzniosły cel, idąc za głosem wewnętrznym, zdecydował się nie zakładać własnej rodziny, poświęcił osobiste szczęście i zerwał narzeczeństwo z pokrewną mu duchowo kobietą, Joanną Podborską. [przypis edytorski]

Z opowiadania młodego Żyda buchnęła nagle erupcja całego krateru sił walczących i niszczących, ale tworzących również. Wszystko jedno, czym było, jak się zwało — odrodzeniem religijnym czy bezbożnictwem, pacyfizmem czy militarystką, komunizmem czy nacjonalizmem. Na Zachodzie, któryśmy chcieli widzieć w pogodzie i „bez zmian”, tuż za naszą miedzą wrzało coś, co bardziej niż wiek temu miało prawo do nazwy *Sturm und Drang Periode*<sup>111</sup>.

Młody Żyd niemiecki, socjalista i syjonista, był już, gdyśmy go poznali, człowiekiem mającym poza sobą cały okres tej burzy. Odnalazł już wtedy, co szukał, i nie pragnął poznawać nowych dróg. Myślę jednak, że gdyby teraz właśnie mógł wziąć do ręki *Wyznania* św. Augustyna, odnalazłby jednak w tej małej książce, w jej początku zwłaszcza, bardzo wiele z siebie i bardzo wiele ze swoich towarzyszy drogi. Poprzez przepaść wieków i celów.

*A daemonio meridiano...*

Temu jeszcze akurat dziewiętnaście lat, a nawet dużo mniej, pan Szymon K. nigdy by nie przypuszczał, że będzie czynił z pomarańcz tak nieprawdopodobny i egzotyczny użytek jak sadzenie ich. Ale temu dziewiętnaście lat był po prostu rok 1914 i wtedy pan Szymon był kasjerem u jednego z moich krewnych na wsi. Codziennie po śniadaniu defilował przez dawno już będące w ruchu podwórze i zabierał się do pracy w dużym, czysto bielonym i dość pustym pokoju, gdzie zimą bywało chłodnawo z racji stałych defektów pieca, latem zaś dobrze gorąco i „much dostatek”, choć wieś ta leżała na Podolu, nie na Litwie. I niezmiennie, wiosna czy jesień, wypełniał tu zawile rubryki różnych ksiąg rachunkowych drobnym, starannym pismem. Był przez wszystkich we dworze i na folwarku, i w okolicy nie tylko szanowany, ale i szczerze lubiany. Pana Szymona uważano za akuratanego, pewnego pracownika, za spokojnego, oddanego rodzinie człowieka. Być może, siedziałby w tym domu do samej śmierci, a na pewno tak długo, jak tylko by chciał, gdyby nie wojna i wszystko, co po niej przyszło. Jakoś ocalał pan kasjer i dostał się do Polski. Przez kilka lat pracował w dużym majątku pod Przemysłem. W roku 1924 czy 1925 zjawiał się u swego dawnego „chlebodawcy” w Warszawie i powiedział, że jedzie do Palestyny.

— Jak to? — spytał mój wuj nieco zdziwiony. — I cóż pan tam będzie robił? Buchalterii Arabów uczył?

— W Palestynie dają ziemię pod kolonizację — zaczął rozpowiadać kasjer — po dziesięć hektarów na rodzinę...

— I pan będzie orał, siał, żął?

Pan Szymon przytaknął.

— A czy pan raz w życiu pluga się dotknął?

Pan Szymon, jak wieść niesie, również przytaknął — ale bardzo niepewnym głosem. Coś było jednak w tych odpowiedziach takiego, że już go więcej nie pytano.

— No — rzekł wuj — niech się panu lepiej powiedzie niż u nas...

I pan Szymon wyjechał. Pisał, że kartofle drogie, a pomarańcze strasznie tanie. Że ciężko. Że już w kwietniu tak duszno, jak na Podolu nie bywało nigdy w lipcu.

Potem przestał pisać, a może mu nie odpisano. Niewiele lat minęło od tego czasu, ale wiele się zmieniło. Trzeba było wreszcie, aby ktoś z domu, przy którym pan Szymon przepracował tyle czasu, sam pojechał do tego kraju, z którego jedni się naśmiewali, a inni uczynili po raz wtóry *ziemię obiecaną*.

\*

Siedzę z panem Szymonem przed jego domem w niewielkiej młodej kolonii Nahlat Jehuda. Dom jest taki jak wszystkie tu domy drobnych kolonistów prywatnych, osadzonych na ziemi funduszków narodowych, tylko jedna jego ściana zgrubiała u dołu

<sup>111</sup> *Sturm und Drang Periode* (niem.) — okres burzy i naporu; opisowa nazwa dla epoki preromantyzmu niem., przypadającej na lata 1767–1785 związanej z działalnością w dziedzinie filozofii i literatury: Johanna Gottfrieda Herdera, Johanna Wolfganga Goethego (por. przede wszystkim jego powieść epistolarną *Cierpienia młodego Wertera*) oraz Fryderyka Schillera (por. tegoż dramat *Zbójcy*); w muzyce do tego nurtu zalicza się natomiast m.in. symfonia Haydna z tego okresu. [przypis edytorski]

w obieloną chłopską przyzbę — taką samą, jakie bywały niegdyś na Podolu, z tą wszakże różnicą, że zbudowaną od północy, nie od południa. Przez te dwie godziny powiedzieliśmy sobie wszystko, cośmy powiedzieć mogli. Z dawnych czasów nie pamiętałem już wcale wyglądu pana Szymona; teraz, patrząc na niego, przypominam go sobie powoli. Musiał się bardzo zmienić; z pewnością nie miał wówczas ani tak śniadej, prawie rumianej twarzy, ani tak białej, jak u starych ludzi, siwizny. Tylko zdaje się, że jest bardziej żywy, niż był. Wraz z żoną pytali o tylu dawnych znajomych — i coraz częściej w tych pytaniach pokrywali długim milczeniem braki. Do jednego nazwiska wciąż powracał, o jedno pytał jeszcze wiele razy. — Taka szkoda, panie... ej, taka szkoda... — A potem pokazywał mi swój ogród, pełen pomarańczowych drzewek o cienkim pniu i o metr niespełna nad ziemią burzy jaskrawozielonych liści. I nawadniania, i wszystko. Tylko w pole mnie nie prowadził, bo, jak mówił, takiego jak na Ukrainie już pan tutaj nie zobaczy. Mówiliśmy i o sytuacji finansowej, można by powiedzieć, że pan Szymon okazał się najlepszym buchalterem, gdy kupił kartę okrętową do Jafy. Dziś jest zamożnym człowiekiem. Za ziemię, którą kupował po sześć funtów, płaci się w tych stronach po trzydzieści osiem. Pomarańcze owocują dobrze, grapefruity jeszcze lepiej. O, teraz jest dobrze w Nahlat Jehuda... Ale nie zawsze tak było.

Pijemy herbatę pod drzewami, moi gospodarze opowiadają. Gdy ich osadzono w roku 1924, nie było tu nic. Trochę drzew i wydmy. I studnia. Studnia już była. Żydowski Fundusz Narodowy osadził w Nahlat kilkanaście rodzin, dał ziemię, nieco inwentarza, podtrzymywał. Ziemia pozostała własnością Funduszu, ale koloniści mogą ją eksploatować jak właściciele, tylko sprzedaż podlega przepisom Funduszu, mającym na celu zapobieżenie spekulacji. Nie wolno im używać siły najemnej. Pracowali więc sami wraz z dziećmi. To wszystko zrobili oni sami. Pan Szymon, gdy tu przyszedł, miał lat czterdzieści dziewięć, w tym trzy ciężkie lata rewolucji rosyjskiej i wojny. Pan kasjer, który młode lata i wiek siły przesiedział na krzeselku w oficynie, zgięty nad księgami rachunkowymi lub inwentarzem, pan kasjer, który przychodził do pracy gdzieś o dziewiątej, zrywał się teraz o czwartej rano i okopywał przez długie godziny czerwone piaskowe wzgórze. On to zasadził tu paręset drzewek, poprzekopywał rowy nawadniające, obetonował je, zbudował oborę, orał, siał, żął. Żyd, który długo jeszcze po ucieczce z Rosji doznawał nerwowego wstrząsu na każdy niespodziany odgłos, nawet trzaśnięcie drzwiami, przypominające mu huk wystrzałów, stawał tu wieczorami z karabinem na warcie. Mówił o tym wszystkim jak o rzeczy zupełnie naturalnej. Pokazuje ręką na wzgórze, zza którego, podczas ostatnich rozruchów, bronili się przed Arabami. Jego ręce są ciężkie, przypominają krótkie ostrze motyki. Jestem pewien, że były zupełnie inne wtedy, gdy przez dwadzieścia lat przesuwały jedynie lekkie drewniane krążki na drutach liczydła.

Pan Szymon opowiada dalej, ale ja myślę o czymś zgoła innym niż opowiadanie o życiu, które po czterotygodniowej włóczędźce znam z dziesiątków innych opowiadań takich samych. Nie, nie to mnie ciekawi. Co mówi pan Szymon, opowie mi każdy tutejszy kolonista. Ale pan Szymon może powiedzieć i coś takiego, czego mi nie powie żaden młody chaluć. Wszyscy prawie, którzy szli do Palestyny, to byli ludzie młodzi. Wszyscy, którzy tu przyszli użerać się z piaskami o urodzaj, ze skalą — o wodę, z Arabami — o pokój, przynieśli tu młode, najpierwsze siły. Ten zaś człowiek miał za sobą prawie pięćdziesiąt lat życia. Ale to nie wszystko jeszcze, co mógłby mi powiedzieć eks-kasjer. Osobiście pamiętam go bardzo mało, ale z ustnych relacji mych krewnych znam jego duchowy profil z tamtych czasów: to nie był ani ryzykant, ani spekulant, ani jakiś zapaleniec, ideowiec. To był sobie zwykły prosty człowiek, tyle tylko, że nad wyraz porządny i sumienny. Byłby doskonałym małym urzędnikiem. Wiem, że posadę w owym majątku pod Przemyśłem mógł mieć zapewnioną do końca życia. To nie wszystko. Widziałem ludzi w wieku pana Szymona, którym tak samo przewrót rosyjski odebrał dorobek całego życia. Bardzo zamożnych i średniozamożnych. W każdym razie zamożniejszych od eks-kasjera? Być może. Ale zamożność pana Szymona to była zamożność wypracowana dużo ciężiej, zdobyta dużo większym nakładem energii. Otóż tamci ludzie jakże często wychodzili zupełnie załamani. Prawda, iluż z nich się wybiło, iluż z nich w najgorszych warunkach dokonało istnych cudów. Ale jednak nie popędziło na kraj świata, nie przeobraziło się w prostych kolonistów, w dziesięciohektarowych chłopów. Skąd wzięła się siła w tym człowieku do takiej przemiany? I nie tylko do wytrzymania w tych warunkach, ale i do zwycięstwa?

Aż wreszcie mówię mu o tym wszystkim. Jedno zdanie powiedziałem i burzę je nowym, aby lepiej wypowiedzieć. Chcę, żeby mi odpowiedział w nastroju nie poważnym, nie bohaterskim, ale prostym, dobrodusznym. Więc dla kontrastu kończę tak: — Jest u nas, katolików, taka stara, średniowieczna tradycja. Znali ją zakonnicy odmawiający łaciński pacierz, w którym prosili Boga o ochronę przed tym diabłem, który nasyła pokusę o południu. *A daemonio meridiano* — mówiła ta modlitwa łacińska. Wierzono wtedy, że o południu przychodzi na człowieka największa pokusa. Południe to nie było jedynie południe dnia. To było także i południe, sam środkowy wiek, życia. Wtedy na ludzi najspokojniejszych nachodzi coś, co robi, że nagle wszystko zmieniają. Coś ich pędzi, rzuca...

I mówiąc to, jestem pewien, że pan Szymon wejdzie w ten na poły żartobliwy, na poły poważny ton, w który chcę go wprowadzić. Że przecząc sile *daemoni meridiani*, tym samym powie mi, co i jak go jednak aż tu zagnało. Jakież jest moje zdziwienie, gdy eks-kasjer odpowiada najspokojniej:

— A może i jest ktoś taki?...

Trochę mnie to detonuje. Nie wiedziałem, że wśród syjonistów są mistycy. Bodaj że moje zdetonowanie widać, bo pan Szymon ujmuje mnie za rękę — no nie, niezupełnie tak chciał powiedzieć.

I po tych słowach zaczyna opowiadać. Kiedy był młody, już słyszał o Palestynie. Już dawno przed wojną Żydzi z Polski jechali. W Petach Tikwa, starej kolonii, jest trzech Żydów z Cudnowa. Właściciel pewnego hotelu w Jerozolimie jest synem Żyda z Połonnego. Pan Szymon to pamięta. Oni jechali. On — bał się. Bał się i pomyślał, że to nie dla niego. Ojciec dał mu edukację, wykierował na buchaltera. W tych czasach był to bardzo dobry kawałek chleba. Czuł zresztą, że się do tego nadaje.

Pan Szymon opowiadał mi dalej, jak rzucił pewną dobrą posadę, gdy się przekonał, że właściciel majątku żyje za rozrzutnie. Aż do przesady szukał rzeczy pewnych. Pieniądze lokował w najpewniejszych listach zastawnych. Nigdy po ludziach. Czy mogło być coś pewniejszego niż listy zastawne albo papiery rządowe?

I pan Szymon machnął ręką.

Opowiadał mi, jak na miasteczko, gdzie się schronił w roku 1917 czy też 1918, spadły pierwsze rozruchy antysemityczne. Opowiadał, iż już tym, co zaszło przedtem, był tak ogłupiały, że się nawet nie ukrywał. Ma nazwisko nieżydowskie, nie wygląda na Żyda, jakoś się i uchronił. Ale sam nic w tym celu nie robił. W chwili gdy to opowiadał, przejścia z roku 1918 były odległe o lat piętnaście i o tysiące kilometrów, a jednak w jego słowach drgało jakby jeszcze echo konsternacji, która sparaliżowała w nim nawet lęk przed pogromem. Pan Szymon siedział teraz przed swym domem w Palestynie, ale jeszcze się dziwił, jeszcze jakby nie był zupełnie pewien przeszłości. Że takie wielkie państwo, taki rząd i taki pewny, spokojny kraj, raptem...

Już zrozumiałem. Co potem mówił eks-kasjer z Podola, to było tylko sprawdzenie rozwiązania jego zagadki.

Przewrót rosyjski stał się przewrotem w życiu Szymona K. nie dlatego, że pozbawił go dwudziestoletnich oszczędności, że przejściami nadwerżył jego siły. Przewrót dokonał w nim czegoś o wiele większego niż proste przekreślenie pewnych rezultatów, umniejszenie jego sił ekonomicznych. Przewrót złamał w Szymonie K. *wiarę w pewność czegokolwiek bądź*. Jeszcze dziś w Palestynie, w roku 1933, ten człowiek zapytywał siebie i mnie: czy mogło być coś pewniejszego, bezpieczniejszego, trwalszego niż Rosja carska i jej ustrój? Wierzył w nią niegdyś tak samo, jak dziś inni, często rodacy pana Szymona, wierzą w inną Rosję. Widać, że kraj ten ma szczególny przywilej kredytu moralnego wśród ludzi, choć nie można powiedzieć, aby nie zgłaszał od czasu do czasu upadłości.

Wróćmy do Szymona K. Jego niewiara w pewność czegokolwiek bądź może wydać się niezwykle rzadkim objawem; większość ludzi, która niegdyś wierzyła w trwałość rubla, przeszła później do wiary w dolara, zmieniła przedmiot swej wiary, nie zmieniła samej wiary. Szymon K. nadaje się ze swym absolutnym zwątpieniem o jakiegokolwiek pewności do *panopticum*<sup>112</sup> skutków rewolucji.

<sup>112</sup>*panopticum* (z łac.) — zbiór osobliwości a. wystawa rzeczy osobliwych. [przypis edytorski]

Dawny Szymon K. nie miał w swej psychice nic ze spekulanta. Czuł się do wszystkich ryzykownych rzeczy zupełnie nieprzydatny. Chciał być pewny, jak najpewniejszy. Obliczył sobie, że sumienna praca w jego zawodzie da wszystko, co mu potrzeba. Wyliczył to sobie z biegłością i niezawodnością swego buchalterskiego fachu. Na przepadłe.

Jeżeli pan Szymon przyjął ową posadę pod Przemysłem, to nie dlatego, żeby wtedy jeszcze wierzył w jakąś pewność. To było tylko nabranie czasu do zupełnego przekształcenia swego życia. W rzędzie ludzi, którzy, po swojemu, wyciągnęli dla siebie najpełniejsze konsekwencje powojennych przemian, pan Szymon winien się upomnieć o jedno z czołowych miejsc. Dokonał zupełnego odwrotu. Z chwilą gdy nie ma rzeczy pewnych, nie ma rzeczy niepewnych. Z chwilą gdy świat należy do ryzykantów, wczorajszych bankrutów, strażników, trzeba odzyskiwać świat ich śladami.

Tego wszystkiego w tej formie nie powiedział pan Szymon, ale taki był tok jego wywodów. Ten człowiek był człowiekiem o bardzo dobrej pamięci, a bardzo zacieśnionej fantazji — Pamiętał, że miał — przed dwudziestu dziewięciu laty — dwie drogi do wyboru: ryzykowną Palestynę, nieryzykowną Rosję. Poszedł jedną, zawrócił. I nie szukając innych, poszedł drugą. Teraz ta droga nie wydawała mu się niepewna. Teraz, po przejściu dwóch lat przewrotu, nie wydawała mu się zbyt niebezpieczna i trudna. Wszystkie siły, które kiedyś przydużyły w nim żydowski instynkt tęsknoty za Erec Izrael, przestały działać.

Bąłem się, że nie zdążę na ostatni autobus do Jafy, więc musiałem się pożegnać. Raz jeszcze pan Szymon poprosił o powtórzenie owej legendy o szatanie południowej pory. W ostatniej jednak chwili znikła dla nas i Palestyna, i wszystkie jej problemy; uścisk podanych sobie rąk przyjęliśmy jak ludzie, którzy wiedzą, którzy zdają sobie sprawę z tego, że jest to ich ostatnie pożegnanie nie z innym człowiekiem, ale z całym światem zaginionych bezpowrotnie ludzi, prac i wierzeń.

#### Szosa

Od strony morza broni Jerozolimy długi wał górski. Broni jej źle, bo dotąd na niektórych wzgórzach sterczą cyklopiczne ruiny jakichś zamków czy strażnic, o których nikt już nie wie, czy wznosili je Saraceni, czy krzyżowcy. Z najwyższych szczytów wygląda całe pasmo jak stos porozrzucanych i zachodzących krawędziami jedno na drugie potwornie dużych skorup żółwów. Ma ono szary, z lekka w brąz przechodzący, martwy kolor. Jak strumień niewysychający w największe nawet upały wije się przez nie lśniącą i sina wstęgą szosa. Tak jest w całej Palestynie. Mam wrażenie, że wyruszywszy wczas z Jerozolimy dobrym autem, można by do wieczora przejechać ten kraj we wszystkich kierunkach, być w Jerozolimie, Jerycho, nad Morzem Martwym, Betlejem, Hebronie, Jafie i Tel Awiwie, stamtąd przerzucić się na północ przez Nahalal i Afulę do Hajfy, z Hajfy dalej na północ do Nazaretu i Tyberiady. Wybredni turyści podziwiają asfalt szos palestyńskich. Wszyscy podróżnicy oddają pod tym względem jednomyślny hołd świetnym rządowi Wielkiej Brytanii budującej szosy. W tym momencie administracja angielska skromnie chyli czoła: istotnie, możemy zapewnić, że szosy są w rzeczy samej zupełnie dobre, do budowy nawierzchni głównych szlaków użyto asfaltu, który jest identyczny z asfaltem szkocko-walijskiego traktu.

Ale administracja brytyjska myli się. Asfalt szos do Jerozolimy i Hajfy (gdzie tylko jeden odcinek przedstawia się fatalnie, podobno dlatego, żeby ruch samochodowy nie zgnębił zupełnie kolejowego) jest zupełnie inny od asfaltów walijskich i szkockich autostrad, a także od wszystkich asfaltów świata.

\*

Tych szos, które dziś są tu wszędzie, nie było czternaście lat temu nigdzie, a przed jedenastu zanosilo się zaledwie na możliwość zbudowania paru odcinków niezbędnych dla celów wojskowych. Rządy tureckie pozostawiły Palestynie drogi odziedziczone po Solimanie i Ryszardzie Lwie Serce. Plany angielskie rozbiły się o niepokonalną trudność: brak robotnika. Lenistwo Arabów sprzymierzyło się z pierwszymi próbami *no cooperation*. Jednocześnie fachowcy orzekli, że praca przy budowie szos w Palestynie jest ponad siły białego robotnika, nie mówiąc już o tym, że biały człowiek w kolorowych krajach

Droga, Państwo, Żyd,  
Walka, Praca, Odrodzenie

pracować na szosach nie może. W pierwszym z tych orzeczeń nie było przesady; przyszłe szosy trzeba było wykuwać w górach, na wyżynach dochodzących do tysiąca metrów. W niektóre dni lata agencja Cooka wstrzymuje wycieczki tymi szlakami: gorąco bijące od rozpalonych skał jest nawet w luksusowym, ocienionym i przewietrzanym autokarze nie do zniesienia. Co jest jednak naprawdę groźne, to zmiany temperatury. Przychodzą zupełnie nagle; zza jakiejś krawędzi skalnej, zza zbocza góry zawieje nagle lodowatym wiatrem, podnoszącym z głębokich dolin strugi zimnego powietrza. Noce są nie chłodne, ale mroźne. Brak wody lub niebezpieczeństwo malarii, na którą jeszcze dziesięć lat temu przypadało 30–60% ogólnej ilości zgonów w Palestynie.

Do budowy szos zaciągali się młodzi Żydzi. Każdy pamięta powątpiewanie, z jakim przyjmowaliśmy wiadomości o pędzie Żydów do pracy na roli. Nie wierzyliśmy ani w ten pęd, ani w ich zdolności do tej pracy. Nie wierzyliśmy, że będą pracowali na roli. Oni zaś tymczasem pracowali na drogach. Nie był to żaden ofiarny gest w stosunku do Wielkiej Brytanii. Przeciwnie, praca na szosach była zagadnieniem politycznym dla syjonizmu. Żydzi docenili najzupełniej „antydrogową” akcję Arabów: niebudowanie szos to obrona Arabów przed powrotem Izraela, to zabezpieczenie sobie możliwości pogromów bez obawy szybkiej i skutecznej odsieczy z miast. Żydzi poszli śladami Rzymu, który zakował zdobyte prowincje w łańcuchy bitych gościńców.

Większość szos palestyńskich wykonano w sześć lat. Ten właśnie okres przeszedł do historii Palestyny jako okres kryzysu. Przyczyny jego były różne. Przede wszystkim powojenne zbiednienie środkowowschodniej Europy, połączone z zamknięciem Stanów Zjednoczonych przed emigracją, skierowało w te strony wychodźstwo żydowskie — ale nie syjonistyczne — element pod każdym względem lichy. Jednocześnie bogaci koloniści żydowscy chętniej brali do pracy robotnika arabskiego, jako mniej wymagającego i tańszego. Palestyna ścieśniała w ten sposób imigrację żydowską do warstw zamożnych. W następstwie tych dwóch przyczyn rozpoczęła się w owych latach reemigracja żydostwa. Ale nie to było najgroźniejsze: gorzej, że reemigranci, wracając do krajów diaspory, szerzyli niewiarę w dzieło palestyńskie i jego przyszłość. Idea syjonizmu zachwiała się. Kto żyw walił weń, czym tylko mógł. Walili komuniści i szowiniści, walono w imię Międzynarodówki i w imię narodu.

Palestyny nie widziałem w epoce budowy szos. Ci, którzy je budowali, zeszli w doliny, sadzą wino i pomarańcze. W psychikę człowieka pracującego na szosie trudno mi się może wmyśleć. Ale jeszcze trudniej powstrzymać się od wyrażenia przekonania, tak jak kraj ten znam, że jeśli w owych latach ciężkiego kryzysu idei palestyńskiej potrafiła się ona ostać, zrobiły to szosy, tak jak z drugiej strony nie skwar, zimno i ciężkość pracy były największymi przeszkodami chaluców.

Bo ludzie ci przecież *wiedzieli*, co się dzieje w dolinie. Wiedzieli, że ucieka z Palestyny element, który znalazł tu „za mało” zysku, a „za dużo” pracy, wiedzieli o spekulatywnych machinacjach kolonistów-bogaczy. Wiedzieli dobrze i o tym, że ruch emigracyjny w diasporze zaczął się kurczyć, że maleje, że może się w ogóle załamać. Że spośród nich samych, najlepszego elementu osiedleńczego, wyniszczą się coraz to więcej<sup>113</sup>, z każdym miesiącem pracy, z każdym kilometrem szosy.

Reakcja w takim położeniu mogła być pozornie tylko jedna, taka jak gdy na froncie żołnierz czuje za sobą, w kraju, nieład i defetyzm. Palestyna знаła przykład Saint Jean d’Acre<sup>114</sup> — ostatniej twierdzy krzyżowców, którą poddali islamowi nie na skutek dwuletnich szturmów, ale gdy przekonali się, że w Europie panuje co do losu Ziemi Świętej rosnąca obojętność.

W roku 1926, kiedy napływ emigracyjny zmalał do minimum, do pracy na szosach stanęły kobiety. Po paru miesiącach liczba ich szła już w setki. Oto była cała reakcja. Ale od tej pory reemigrant, najbardziej defetystycznie usposobiony, opowiadał w krajach diaspory o jeszcze jednej rzeczy w Palestynie — o tych szosach, chalucach, dziewczętach. Na tle ponurego obrazu, jaki roztaczał, na tle beznadziejnej sytuacji, czarniejszej od najczarniejszej doli na Bródnie i Nalewkach, wydzwigiwał się w tym opowiadaniu niezrozumiały inny Żyd. I powoli ten zupełnie niezrozumiały nowy Żyd zaczął swoją postawą,

Polska, Polak, Obyczaj,  
Żyd, Praca, Chłop

Kobieta, Żyd, Państwo,  
Praca, Przemiana,  
Zwycięstwo

<sup>113</sup>spośród nich samych (...) wyniszczą się coraz to więcej — w domyśle: ludzi. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>Saint Jean d’Acre — Akka. [przypis edytorski]

nachylony nad budową dróg, przesłaniać dla nich w Palestynie wszystko, nawet całą jej przeszłość, nawet Mur Płazu. Obecność tego Żyda w Erec stała się rzeczą aktualnie najważniejszą. Palestyna snów o lepszym życiu przeistaczała się w obraz twardej i ciężkiej aż do bohaterstwa pracy. Ale z tym obrazem weszła nad diasporą po raz drugi. Teraz każdy reemigrant, najbardziej zniechęcony i zawiedziony, stawał się, sam nie wiedząc nawet o tym, heroldem sprawy, której był dezserterem. Może nie przestawał zniechęcać do Palestyny jednych, ale jednocześnie werbował do niej innych. Kryzys przełamano.

\*

„Tłuc kamienie na szosie” — przyjęło się u nas jako określenie najcięższej możliwej pracy. Ale nie to i nie szczególnie ciężkie warunki były w rzeczywistości przeszkodą największą. Trzeba było mieć ogromnie dużo zapału i po prostu wiary, aby wykuwać szosy z perspektywą, że się je wykuwa, ale dla Anglików, Arabów, turystów amerykańskich, nie dla przyszłego Erec Izrael. Taka myśl musiała ołowiem obciążać ramię za każdym podniesieniem młota, taka myśl musiała, jak bufor, przytłumiać moc każdego uderzenia. Miarowa, wlokąca się praca musiała stawać się jeszcze powolniejsza, jeszcze nieznośniejsza. Stukot tłukących młotów wybijał się wtedy pytaniem: po co? komu? na co?

Gdzieś w tych czasach zjawiał się na szosie Tyberiada-Nazaret nowy robotnik. Był to student z Oksfordu, syn Wysokiego Komisarza Wielkiej Brytanii, Żyd z bardzo jedynie luźnych tradycji domowych, Erwin Samuel. Chaluce pokazywali sobie rumianego i nieco rozlanego syna angielskiego „sira”. Powstała uszczypliwa piosenka, mówiąca, że „Erwin, Erwin, szosa to nie sport”, nie [dla] *training drive’ów*<sup>115</sup> i *smash’ów*<sup>116</sup>. Dopiero dużo później zdobył sobie Erwin Samuel uznanie chaluców. Dziś zarządza obwodem Nazaretu. Wielka Brytania ma po wszystkich kontynentach wielu gubernatorów, ale historia kolonialna Imperium nie zna takiego wypadku, żeby syn namiestnika króla tłukł kamienie na szosie. Swojej białej administracji w Palestynie Anglia nie pozwalała na bywanie w domach tubylców — choćby „tubylcy” wywodzili się z rodów, które chlubią się pochodzeniem od samego Proroka. Anglicy pozwolili jednak synowi namiestnika króla na oczach „kolorowych” poddanych wykuwać szosy i lać asfalt. Ze strony Anglików nie była to ani „polityka”, ani fantazja; ale było to przecież jakby podniesienie w sposób przepisowy dłoni żołnierskiej do daszka mundurowej czapki.

Kolonializm, Pozycja społeczna, Urzędnik, Praca

## GROŻĄ ARMATY SOWIECKIE

Na kilka dni przed moim odjazdem do Syrii zdarzył się następujący wypadek: o świcie wyjechałem autobusem do którejś z kolonii. Tel Awiw budził się dopiero ze snu. W autobusie siedzieli sami jadący do pracy robotnicy. Nagle wszyscy skoczyli do okien: oto na pograniczu Jafy i Tel Awiwu, na skrócie ulicy, którą właśnie mijaliśmy, trzech policjantów ścigało z wysokiego telegraficznego słupa przewieszony przezeń transparent. Transparent był czerwony i w tym kraju, gdzie wszystkie niemal napisy są dwu- lub trójjęzyczne, zawierał on napis w jednym tylko języku: arabskim.

To, co mnie uderzyło, to widoczna wrogość, z jaką moi towarzysze robotnicy komentowali ów widok. Niebawem otrzymałem też zupełnie wystarczającą odpowiedź: komunistyczny plakat zawierał wymowne hasło „Precz z imperializmem żydowsko-angielskim”.

Kolonializm, Robotnik, Nacjonalizm, Idealista

\*

Jeżeli znajdzie się Żyd-komunista, komunista może nie „polityczny”, polityczny w sensie wysługiwania się ZSRR, ale tylko komunista „ideowy”, tj. człowiek na podstawie swych dociekań przeświadczony o tym, że komunizm stanowi tę zarazem i lepszą, i wyższą przyszłościową formę ustroju świata, i jeżeli ten Żyd-komunista miast emigrować do Rosji lub czekać na rewolucję światową wybierze się do Palestyny żyć w kibucu, to

<sup>115</sup>*training drive* (ang.) — jazda próbna. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*smash* (ang.) — uderzenie; także: świetne uderzenie (np. w tenisie). [przypis edytorski]



zaraz po przyjeździe otworzy szeroko ze zdumienia oczy: dowie się, że cały ruch socjalistyczny Palestyny, cały ruch kibucowy jest zaciekle zwalczany przez komunizm. Dowie się, że emisariusze ZSRR podniecają tłum arabski przeciw Żydom nie gorzej, niż to czynią najzjadlejsi szowiniści. O ile trudno może uwierzyć, by między wielkim muftim El Hussejnem, wodzem nacjonalizmu arabskiego, a komunistami istniał kontakt, to współpraca ta, przynajmniej *de facto*, istnieje najwyraźniej między sztabem technicznym, unteroficerami<sup>117</sup>, jednego i drugich. I bynajmniej prywatni koloniści żydowscy nie są jedynym obiektem ataków komunistycznych, przeciwnie. Właśnie tą formą kolonizacji, którą najbardziej emisariusze komunistyczni atakują, jest forma komunistyczna — kibuce. Właśnie tą, którą atakują najsłabiej, to bogate kolonie prywatne.

Teoretyczny komunista najpierw nie może w to uwierzyć, a gdy wkrótce ma aż nadto dowodów, że tak właśnie jest, wszystko zaczyna mu się mieszać. Jak to? Przecież imigracja żydowska, wnosząc tu kapitał, przyspieszyła rozwój stosunków socjalnych tego zapóźnionego kraju, przeprowadziła go od feudalizmu do kapitalizmu, a zatem do ustroju, który wedle doktryny Marksa jest ostatnim etapem przed komunizmem! Przecież imigracja żydowska wносиła tu — przynajmniej w pewnej mierze — i racjonalizm kultury europejskiej, i niechęć do klerykalizmu, tyle znaczącą w takim jak ten kraju. Przecież od niej datuje się tu kwestia robotnicza, przecież ona organizuje proletariat arabski, nawet walczy o jego prawa, szerzy w nim uświadczenie klasowe. Przecież ostatecznie stworzyła tu komuny gospodarcze, które funkcjonują zupełnie dobrze, przecież taki kibuc, sąsiadujący z trzema, czterema nędzarskimi wsiami arabskimi, najlepiej chyba unaocznia wyższość tej formy gospodarki, jest najlepszą jej propagandą. Przecież w historii ruchów rewolucyjnych Europy, komunizmu tym bardziej, udział Żydów był i jest tak wielki, że już to samo powinno — sądzić by można — zapewnić dla ich pracy jeśli nie sympatię, to neutralność. A tymczasem komunizm zwalcza osiedlnictwo<sup>118</sup> żydowskie w Palestynie w sposób równie zaciekle co nacjonałiści arabscy, a może jeszcze bardziej metodyczny.

Jak my sobie wystawiamy Rosję sowiecką? Zdaje się, że choćby bezwiednie, ale na nasz o Rosji pogląd wpłynęło zdanie „białej” emigracji rosyjskiej, tych siedzących po Paryżach i Berlinach „bywszych ludzi”, którzy mówią od lat: „Rosja nie istnieje, Rosja, nasza ojczyzna, dzięki splotowi nieszczęsnych wydarzeń, wpadła w ręce międzynarodowej szajki, mafii, która nią owdładnęła i od całych lat poświęca wszystkie interesy naszej ojczyzny swoim własnym, międzynarodowym celom”. — Pogląd nasz na Rosję jest bodaj właśnie taki, białogwardzijski<sup>119</sup>. Rosja jest dla nas narzędziem komunizmu i komunistów w polityce światowej. Rosja przeprowadza tam właśnie te, a nie rosyjskie cele.

Na wschodzie wygląda to zupełnie inaczej.

Tam walka anglo-rosyjska to nie frazes dziennikarski, rekwizyt wiecowy, substrat do kawiarnianych „wróżb wojennych pana radcy”. To rzeczywistość. Wszyscy tam wiedzą, że każde już nie pociągnięcie Afganistanu czy Persji, ale szefów szczepowych nad Eufratem czy koło Medyny dokonuje się pod działaniem tego czy innego z dwóch walczących o panowanie nad największą częścią świata imperiów. Walka angielsko-rosyjska w Europie, interwencja, krucjata antysowiecka — to zdawkowe frazesy. Nasz europejski wielki przemysł to nie żaden wróg *piatiletki*, to jej usługowy *Hoflieferant*<sup>120</sup>. Ale tam, w Azji, jest inaczej. Tam wszyscy wiedzą, że rozgrywka przyjść musi, że obecnie nie jest nawet przerwana, że dokonuje się wciąż, z zamkniętymi kartami tylko. Indie, Persja, Afganistan, wszystkie chanaty i emiraty, wszystkie szczepy aż do najmniejszych, wielkie narody i ludki z nieprawdopodobnego zdarzenia, wszystko to stanowi pionki na szachownicy Kacapa i Johna Bulla, wie o tym — *i gra na to*. W tej rozgrywce — jak często w długich i zażartych rozgrywkach bywa — zatraciło się niemal wszystko prócz samego instynktu walki. W tej rozgrywce każdy sojusznik jest dobry.

Otóż Sowiety nie mogą liczyć w Azji na żadnego entuzjastę komunizmu. Tam trzeba najpierw ludzi wychować, by mogli hasła komunistyczne w ogóle zrozumieć. Praca nad „rozbudzeniem uświadczenia klasowego” w społeczeństwach, stojących na poziomie naszego XII wieku, jest dla dynamicznego komunizmu Kremla zbyt powolna, zbyt żmud-

<sup>117</sup>unteroficer (z niem.) — podoficer; tu: niższy urzędnik. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>osiedlnictwo — dziś popr.: osadnictwo. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>białogwardzijski — dziś popr.: białogwardyjski. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>Hoflieferant (daw., niem.) — nadworny dostawca. [przypis edytorski]

na. Komunizm w Azji ma tylko jedną drogę: pozyskania mas hasłami niekomunistycznymi, ale hasłami zrozumiałymi dla najciemniejszych, najbardziej zacofanych Beduinów i Afganów i hasłami popularnymi. Takimi hasłami są wszystkie hasła nacjonalistyczne, czy raczej antyeuropejskie. Takim sojusznikiem jest wszelki panarabizm, panislamizm, obojętne, że na jego czele stoją nie tylko magnaci, ale i religijni zwierzchnicy. To na razie (na bardzo długie „na razie”) jest dla komunizmu, jako polityki, zagadnieniem dziesięciorzędnym. Zagadnieniem jedynie ważnym jest to, że walczą oni też z Anglią. *Poputcziki*<sup>121</sup>. Bodajże rosyjscy eserzy są tym stronnictwem, które oskarża bolszewików, że doszli do władzy dzięki „wykradnięciu” im hasła, którego realizować komunizm nie myślał, ale dzięki rzuceniu którego zjednał sobie całą wieś rosyjską: zagarnięcia ziemi wielkich właścicieli. Może kiedyś nacjonałiści arabscy będą jeszcze, i w sposób równie bezpłodny, oskarżać bolszewików na innej emigracji, że „ukradli” im ich hasła i że tylko dzięki temu zwyciężyli. Na razie ostateczna rozgrywka jest daleka. Na razie są to *poputcziki*.

Otóż Żydzi, powiedzieliśmy, są obiektem najsilniejszych ataków nacjonalizmu arabskiego, tym silniejszych, że jak dotąd zupełnie bezskutecznych. Założenie żydowskiego *home'u* w Palestynie, istnienie osadnictwa żydowskiego w tym kraju, przyszły jego rozwój — wszystko to łączy się w umysłach arabskich najściślej z *przybyciem* Anglików, z *okupacją* angielską, z *pozostaniem* Anglików nad Jordanem. Cóż za klasyczny, idealny wprost punkt zaczepienia do agitacji antyangielskiej: sprawa żydowska!

Raz wstąpiwszy na tę drogę, musi komunizm brnąć dalej. Musi zwrócić się przede wszystkim przeciw kolektywnej kolonizacji żydowskiej. Kolektywnej, nie prywatnej. Dlaczego? To bardzo proste. Kolektywna kolonizacja żydowska jest tą formą, której najbardziej nienawidzą Arabowie. Przy kolonizacji prywatnej bardzo często Arab znajduje zatrudnienie na kolonii Żyda, kolonizacja prywatna jest tą formą, która wprowadza do kraju mniej Żydów, a więcej ich kapitału, przy kolonizacji prywatnej rozrodczość jest mniejsza niż w kibucach. Kiedyś łatwiej będzie usunąć żydowskiego farmera niż żydowską wieś. Istnieje dziesięć przyczyn, dla których właśnie ta forma jest i musi być dla nacjonalizmu arabskiego bardziej nienawistna. Komunizm, przyjąwszy ów nacjonalizm muftich i efendich za sprzymierzeńca, za *poputczika*, uznawszy, że rozbudzenie nacjonalizmu przyspieszy automatycznie dzień wybuchu konfliktów klasowych, musiał logicznie iść po jego linii i zaszedł aż tam, gdzie ta linia tworzy front przeciw... innemu komunizmowi.

Ale jest to polityka, która u najzagorzalszego czytelnika Marksa, a mniej obeznanego z metodami sowieckiej polityki z lat rewolucji, musi wywołać gwałtowny sprzeciw. Ludzie ci nie zgłębiają metody *poputczikostwa*, widzą tylko, że w swej walce z Anglią bogoburcze i proletariackie państwo sprzymierza się z klerykałami i kapitalistami, z obozem „czarnej reakcji”. Ludzie ci widzą, że na drodze Sowietów w Azji leży zburzenie Palestyny syjonistycznej, tego kibucu, moszawu, kolonii, gdzie znaleźli schronienie, gdzie są szczęśliwi. Ludzie ci im przychylniej byli ongiś nastroszeni dla ZSRR, tym bardziej stają mu się wrodoży, gdyż prócz upatrywania w nim wroga narodowego widzą w nim jeszcze człowieka, który sprzeniewierzył się swej wielkiej idei, idei, którą sami poniekąd czcili. Ta „wspólna droga” z muftimi i efendimi kompromituje komunizm więcej niż wszystkie wiadomości o sprzeniewierzeniu partyjnych pieniędzy przez małego komunistę w Baranowiczach, Suwałkach. Trzy lata temu wybitny komunista sowiecki, Tatar, poseł na jakimś ze wschodnich dworów, odbył rytualną, przepisową pielgrzymkę mahomekańską do Mekki. Nasza prasa żartowała sobie pocziwie z tego bezbożnika, który oto „z modlitwą Araba był w gmachach Kaaba, odwiedzał Proroka Grobowce”, nasza prasa podawała szczegóły o tym, ile to razy czerwony pątnik musiał się kiwać nabożnie, gdzie i kiedy przyklęknął przykładnie. Nas to bawiło. Ale przyznajmy, że o ile nas mało obchodzi, czy komunizm idzie na najśmieszniejsze kompromisy, czy nie, to jednak dla ideowego, choć niekoniecznie jeszcze podporządkowanego ZSRR, komunisty ta wiadomość miła nie była. Otóż na azjatyckim wschodzie takie, podobne, rzeczy przynosi każdy dzień. Metoda współpracy z *poputczikiem* poszła tam bardzo daleko. Ale zastosowana w tych warunkach przynosi więcej szkody niż pożytku. Dlaczego? Oto gdy *poputczików* wyszukiwano w ogniu rewolucyjnych walk rosyjskich, to samo tempo zmian uzasadniało

<sup>121</sup>*poputczik* (z ros.) — idący tą samą drogą; towarzyszy podróży; współwędrowiec; tymczasowy sojusznik. [przypis edytorski]

konieczność „załamywania linii partyjnej”, to inne zdarzenia pokrywały sobą niebawem wrażenie owych *salto mortale*. Na Bliskim Wschodzie jest względny spokój i powolne tempo przeobrażeń. Tam śmiały kompromis polityczny nie owocuje od razu, nie wydaje tak szybkich, tak wspaniałych rezultatów, co w Rosji lat 1917–1923. Stąd jest i trudniejszy do obronienia w oczach komunisty.

Rosja oglądana od Europy to Rosja opanowana przez komunizm, Rosja, gdzie interesy rosyjskie są podporządkowane najzupełniej interesom doktryny Marksa. Ale Rosja oglądana od Azji, od Bliskiego Wschodu — to inna Rosja. To kraj, gdzie państwo, maszyna polityczna, państwowa opanowała bez reszty naukę marksistowską, uczyniła z niej narzędzie do swoich celów, narzędzie, którym się zgoła nie krępuje, którego używa obok szeregu innych narzędzi. Dwukrotnie usłyszałem w mej podróży brzemienne w treść porównanie: komunizm — to prawosławie Rosji sowieckiej. Właśnie tu, na Wschodzie tureckim, prawosławie było tyle razy krzewione przez Rosję, szły na to wielkie sumy, miało to cele polityczne... Prawosławie było w dybach moskiewskiego cesaropapizmu, było narzędziem rosyjskiej racji stanu. Ale było niemniej oficjalną, nadrzędną doktryną. Dziś komunizm i w jednym, i w drugim, i w trzecim wypadku zajął miejsce prawosławia. Cel natomiast Rosji w Azji pozostał ten sam: rozbić Anglię. Może zmieniły się wewnętrzne przyczyny tego celu, ale cel jest ten sam i wszystkich to uderza. Nacjonalizm arabski jest tu lepszym jeszcze od komunizmu narzędziem. Teoria wywołania rewolucji narodowej, by ją potem przemienić na klasową, zwyciężyła w całej pełni. Oto wielkie linie problemu. Ale z tych wielkich linii mały Żyd, osadnik, ogarnia, zatrzymuje tylko jedno: że komunizm, Rosja, zwalcza osadnictwo żydowskie w Palestynie. Mniejsza dlań jest, że zwalcza.

Paradoksy polityki sowieckiej w Azji wymagają szyfru. Ale jednej rzeczy tłumaczyć za to nie trzeba: że niebezpieczeństwo arabskie, jakie by ono nie było, będzie zawsze niczym w porównaniu z niebezpieczeństwem, jakie przynieść by mogło dla Żydów zwycięstwo Sowietów na Bliskim Wschodzie. Ten moment będzie Palestyny zagładą.

To, co usilnie zwalcza dzieło odbudowy Kraju Izraela, zwalcza i na co dzień, i na przyszłość, to Rosja Sowiecka. W swych rachubach wzięła ona pod uwagę, że lepiej zaskarbić sobie łaski milionów Arabów niż dwustu tysięcy Żydów palestyńskich. Przerachowała się tu ogromnie: Palestynę odbudowują nie tylko ci Żydzi, co w niej już są. Odbudowują ją wszyscy Żydzi świata, odbudowuje kilkanaście milionów. Dla tych mas jest to dzieło największe w dobie obecnej, tak wielkie, jak dla nas niegdyś odzyskanie Niepodległości. Ten, co im staje na przeszkodzie, staje się ich największym wrogiem, choćby nawet nie wiedzieć jak silne były węzły dawnej przyjaźni. Żydostwo było wiernym sprzymierzeńcem wszystkich ruchów rewolucyjnych zeszłego i obecnego wieku. Żydostwo asymilowane stało nieuchronnie po rewolucyjnej stronie barykady. Żydostwo syjonistyczne weszło na teren, gdzie znalazło się pod ostrzałem rewolucyjnej Rosji. I musiało utworzyć przeciw niej front.

Jest to jedna z największych rzeczy, jaką Palestyna wniosła, jest to zapowiedź, początek zmiany całej polityki możnego (jak wykazała historia) narodu. Są to rzeczy brzemienne konsekwencjami nie tylko na Bliskim Wschodzie, ale wszędzie tam, gdzie są Żydzi. Do niedawna jedyną gwiazdą świecącą nad nędzami getta była czerwona gwiazda komunizmu; gdy wschodziła przy niej inna gwiazda, sześcioramienna, syjońska gwiazda narodowego odrodzenia, nie wiadano, że schodzi do walki z tamtą o rząd dusz swego narodu i że ta walka będzie olbrzymia. Dziś znajduje się ona jeszcze w swym poczęciu. Ale już dziś przeprowadzili żydostwo na szlaki, którymi nie stąpało od czasów niepamiętnych. Dzieła palestyńskiemu nie grożą noże arabskie, grożą armaty sowieckie.

## ZAKOŃCZENIE

Jest mi niesłychanie trudno dać na zakończenie mego reportażu coś, co byłoby niejako syntezą mych wrażeń palestyńskich. Przebrnąłem ten kraj we wszystkich jego kierunkach; rozmawiałem z całą masą ludzi, codziennych ludzi i ludzi wysoko postawionych na świeczniku swych społeczeństw. Doznałem wrażeń bardzo wielu i bardzo silnych. Ale mimo tego wszystkiego to nie jest żadna autorska skromność, gdy stwierdzam, że nie umiem dać na zakończenie mych wrażeń czegoś, co by tych wrażeń było godne.

Rosja, Polityka

Państwo, Odrodzenie, Żyd,  
Wolność, Naród,  
Niebezpieczeństwo, Wróg,  
Rosja, Rewolucja

Spółceństwu żydowskiemu trudno może być dalszym niż autor niniejszego re-  
portażu. Pochodzę z ziemiańskiej rodziny kresowej, polskiej, zakordonowej. Prócz han-  
dlowych nie ma się wówczas — jak w mieście — żadnych innych z Żydami stosunków.  
Nawet w najdalszych powinowactwach nie mam nikogo, kto by miał rodzinny kontakt  
z asymilantami choćby. Jestem głęboko przywiązany do mej religii, w której rola żydostwa  
nie zawsze była rolą narodu wybranego, wśród której kleru po dziś dzień nastroje antyse-  
mickie są silne. Zacerpnałem z przeszłości tradycyjnego, wiejskiego domu wiele tradycji  
szlacheckich, feudalnych może nawet, o których wiedziałem, że są żydostwu obce, jeśli  
nie wrogie, a które w każdym razie były dla mnie „swoją przeszłością”. To wszystko do  
żydostwa nie zbliża ani go zrozumieć nie uczy. W dzieciństwie moim ukraińskim wi-  
działem pogromy żydowskie lat 1919. Młodość moja uniwersytecka przypadła na okres,  
gdy werbunek jesienny do organizacji nacjonalistycznych rozpoczynał się tradycyjnymi  
napadami tłumu i całych grup na wystraszone, wyszczone jednostki żydowskie. Kto sądzi,  
że to zwykła krewkość młodzieńcza, bo tak go uspokajały te czy inne gazety, niech sobie  
najbliższą jesienią, najbliższą werbunkową kompanią przejdzie którymkolwiek z naszych  
uniwersytetów. Byłem na nich i mimo najpoważniejszych, najuczestniejszych zapewnień nie  
wierzę. Nie wierzę ani w to, by tak rozwiązywano kwestię żydowską w Polsce, ani by to  
był ów „czyn” zaprawiający młode pokolenie do wielkiej służby Ojczyźnie.

I w pierwszym, i w drugim wypadku stanąłem wobec wielkiego, krwawiącego proble-  
mu. Proste uczucie etyczne nie mogło się nie oburzać w tych latach. Najprostszy instykt  
państwowy kazał mi sądzić, że rozwiązanie kwestii żydowskiej w Polsce to problem wielki  
i problem potrzebny, konieczny może. Sądziłem, że przede wszystkim warto się z nim  
— zapoznać. „Zapoznać się” oznaczało dla mnie i wysłuchanie „tamtej strony”.

Gdy młody Żyd, działacz akademicki, z którym się zbliżyłem, mówił mi o Palestynie,  
słuchałem z początku z takim sceptycyzmem, z jakim o niej słuchają wszyscy w Polsce.  
Ale im częściej zdarzała mi się sposobność mówienia z Żydami o Palestynie, tym silniej  
utrwalalo się we mnie przekonanie, że to jest coś więcej, niż my sądzimy, że ta Palestyna,  
czy Żydzi do niej jadą, czy nie jadą, wysuwa się powoli na plan pierwszy ich myślowego  
horyzontu. To była rzecz, którą konstatowałem, ale której konsekwencji nie rozumiałem  
jeszcze. Po paru latach postanowiłem zobaczyć to na własne oczy.

Znaczenie Palestyny dla sprawy żydowskiej, jak mi się zdaje, polega na dwóch rze-  
czach: na tym, że jest ona terenem emigracyjnym żydostwa i jeżeli tylko uda się przełamać  
opór Anglii, która bezlitośnie ogranicza imigrację, może tu odegrać dużą rolę. Polega ona  
dalej na tym, że Palestyna jest dziś duchową stolicą żydostwa, coś jak nasz Kraków przed  
1914 rokiem. To, co się tam dzieje, ma rezonans w całym żydostwie rozproszonym na  
Zachodzie, w Ameryce, w Polsce... I tradycyjna polityka, i psychika żydowska ulegają  
wpływowi tej przemiany, jaka się tam dziś dokonuje. Na nasze stosunki nie jest to bez  
wpływu. Ten wpływ wydaje mi się dodatni.

Żydom u nas stawialiśmy często zarzut, że popierają komunizm, że komunizm, który  
dla nas oznacza nie tylko przewrót socjalny, ale jeszcze okrojenie Polski o dwie trzecie jej  
ziem, oddając Kresy Rosji, Pomorze i Śląsk Niemcom, bo taki jest program partii komu-  
nistycznych w Polsce, miał wśród getta gorących szermierzy. Komunizmu jako idei nie  
da się zmóc policyjnymi środkami; można jej było jedynie przeciwstawić inną ideę. Stało  
się to bez naszego współdziałania, ale jak by nie było, syjonizm jest tym ruchem, który  
w naszym getcie robi stałe i niezaprzeczalne postępy kosztem komunizmu i zwalczając  
jednocześnie komunizm. Cały hitleryzm może Żydów niemieckich w okropny sposób  
niszczy, znęca się nad nimi, tępi, ale komunizm w Rosji po prostu narodową egzystencję  
jednego z największych ośrodków żydowskich na świecie unicestwił, odciął od reszty,  
przetapia w tyglu swych narodowościowych poczynań. Sowiety wyrosły na najgroźniej-  
szego wroga żydostwa. Sądzę, że niebezpieczeństwo komunistyczne jest rzeczą zbyt ważną  
dla naszej przyszłości państwowej, by na ten moment nie zwrócić uwagi.

Syjonizm jest ruchem, który wśród Żydów zwalcza asymilację, hamuje jej postępy.  
Nic nie mam przeciw asymilacji jednostek, asymilacji, która dała nam nie tylko Juliana  
Klaczkę<sup>122</sup>. Asymilacji mas żydowskich nie życzy sobie w Polsce bodaj nikt, prócz może

<sup>122</sup>Klaczko, Julian (1825–1906) — ur. w Wilnie jako Jehuda Lejb, polski krytyk literacki i historyk sztuki  
pochodzenia żydowskiego, także publicysta polityczny i eseista związany z krakowskim środowiskiem konser-

socjalistów. Asymilacja nie leży też w interesie narodowym żydostwa. Otóż najskuteczniejszą zaporą przeciw asymilacji jest praca syjonizmu.

Syjonizm w konsekwencji zmierza do tego, by zamiast obecnego przenikania Żydów do narodowego społeczeństwa polskiego żydostwo ukonstytuowało się we własne nie tylko religijne, ale przede wszystkim narodowe i polityczne społeczeństwo. Zaryzykowałbym porównanie, z którego wziąłbym pewne tylko strony: to jakby powrót do getta. Tego społeczeństwa, zajętego własnymi sprawami, własnymi sporami, z którym nasze współżycie wiekowe nie ułożyło się w sposób, który by jedność państwową rozdzierał niegasnącymi starcami.

Nie czuję się ani na siłach, ani praca ta nie miała oczywiście na celu szukania rozwiązania sprawy żydowskiej w Polsce. Zdaje mi się tylko, że w dyskusji nad nią nikt nie chciał uwzględnić ruchu syjonistycznego, Palestyny. A przecież ruch ten ogarnia coraz zupełnie trzymilionową masę obywateli naszego państwa, a odbudowa Erec Izrael — Palestyny — jest faktem.

\*

Byłem żydostwu obcy, obcy tym wszystkim, czym inni mogą mu być bliscy, a jednak są miejsca w moim reportażu pisane entuzjazmem najszczerzym. Wiedziałem, że mogą mi odebrać w oczach czytelnika polskiego ten charakter zimnej bezstronności reportera, że zrobią ze mnie bądź człowieka tendencji, bądź sentymentu. Tendencja była mi obca — a młode pokolenie w Polsce jest od sentymentu do żydostwa dalekie. Ale istnieją takie rzeczywistości, które entuzjazm zrodziłyby nie tylko dla rzeczy obcych, ale nawet dla wrogich.

Kraj zaś, który widziałem, ukazywał mi się obok swych wielkich sąsiadów historycznych.

Będąc w starym Egipcie wobec piramid uderzyła mnie ta staranność, z jaką najstarsze cywilizacje usiłowały coś z siebie przekazać przyszłości. Takie na dziesiątki wieków przed Horacym: *Non omnis moriar... magna pars mei vitabit Libitina...* Ten strach przed śmiercią znalazł wyraz w potężnym Egipcie w tych cudach świata, jakimi są mauzolea królów, mężów stanu, kapłanów, mędrców tej kultury. Ale czymżeż to doprawdy jest wobec trwalszego nad kamienie instynktu Hebrajczyków, instynktu wykształconego planowo przez ich ustawodawstwo religijne, obyczajowe, społeczne, przez ich poezję, przez pełnię ich twórczości duchowej, która potrafiła zabalsamować cały naród lepiej, niż tam balsamowano faraonów, ochronić go od wpływów zewnętrznych trwalej niż ściany z największych bloków granitu?

Nie tylko wobec Egiptu — wobec Hellady jak mała jest Judea! Konsul Flamininus. Był rzymskim magnatem, był mężem stanu i wodzem, był tym, który przegnał z Grecji panowanie macedońskie. Legiami, które wkraczały do Aten, dowodzili synowie Romy, mówiący już miękką mową grecką, wykształceni na Ksenofoncie i dyskusjach platońskich. To nie mogło pozostać bez wpływu i bez wpływu też nie pozostało. Z łoży stadionu igrzysk olimpijskich proklamował konsul rzymski wskrzeszenie niepodległości greckiej.

Ta niepodległość stała się pustym dźwiękiem, nie wypełniła jej i nie mogła wypełnić żadna treść. Wskrzeszenie Hellady okazało się niepodobieństwem na wieki przed Irydionem, mimo Homera i mimo Fidasza. Ale jest jednak podobieństwo między tą próbą zhelenizowanej Romy a jej politycznych dziedziców w dzisiejszym świecie — Anglików. Wojska marszałka Allenby<sup>123</sup>, wkraczające do Ziemi Świętej, to byli Anglosasi wychowani na Biblii, na Starym Testamencie, tyle u protestantów znaczącym. Wszystkie rozkazy lorda Allenby tchną biblijnymi reminiscencjami, wszystkie echa prasowe tej ekspedycji również. Wielka Brytania, gdy proklamowała wskrzeszenie Judei, to był to także i czyn

Polska, Polak, Żyd,  
Obywatel, Antysemityzm

Państwo, Naród,  
Odrodzenie, Polityka

watywnym; był prywatnym nauczycielem synów Zygmunta Krasieńskiego, współpracował z Hotelem Lambert, zyskał sobie tytuł c.k. radcy dworu. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>Allenby, Edmund Henry Hynman (1861–1936) — jeden z najwybitniejszych dowódców armii brytyjskiej, marszałek polny; dowódca Egipskiego Korpusu Ekspedycyjnego w kampanii na płw. Synaj i w Palestynie podczas I wojny światowej, w l. 1917–1918 przeprowadził śmiałą kampanię na Bliskim Wschodzie, łącząc działania piechoty, kawalerii i lotnictwa, uznawany z tego powodu za prekursora taktyki Blitzkriegu (tj. wojny błyskawicznej). [przypis edytorski]

historyczny, który miał coś z owego gestu rzymskiego konsula. I tu się analogie kończą. Hellady nie zdołano przywrócić do życia w niecałych parę wieków po Cheronei. Jak Egipt przetrwał tylko pomnikami budownictwa, tak ona przetrwała tylko heksametrami *Iliady*. Osiemnaście wieków nie przemieniło letargu Judei w śmierć. Z trzech starych cywilizacji Bliskiego Wschodu jest ona tą, która ocalała najwięcej, bo naród. Deklaracja Balfoura nie podzieliła losów Flamininuszowej proklamacji. A takie się to zdawało pewne, takie prawdopodobne.

Przeszłość tego kraju waha się stale między dwiema wielkimi krańcowościami, które język proroków określił wschodnio i pięknie. Palestyna bywała krajem, w którym kamień nie pozostawał na kamieniu, bywała też krajem mlekiem i miodem płynącym. Dziś jest znowu w tej drugiej fazie. Z ram historycznej przeszłości tego kraju wychodzi, większa nad nie i tak *inna*, era Narodzin Chrystianizmu. Ale poza nią Palestyna zaważyła już dwukrotnie na dziejach ludzkości, raz historią hebraizmu, po raz drugi wagą wypraw krzyżowych. W obu wypadkach to, co się działo w tym małym, małym kraju, nie pozostało bez rezonansu na świat daleki. Mam wrażenie, że skutki syjonistycznego odrodzenia dadzą się kiedyś zestawić pod tym względem z tymi czasami odległymi, gdy po raz pierwszy i po raz drugi Palestyna wchodziła w dzieje świata.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/pruszyński-palestyna-po-raz-trzeci>

Tekst opracowany na podstawie: Ksawery Pruszyński, Palestyna po raz trzeci, Czytelnik, Warszawa 1996.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Małgorzata Góra.

Publikację wsparli i wsparły: Zbigniew Malinowski.

ISBN 978-83-288-6179-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.